

# Wołowski Michał

## GARŚĆ MONOLOGÓW

### MIŁOŚĆ i PROZA MONOLOG.

(Wchodzi na estradę powoli z okiem utkwionem w przestrzeni — zamyślony i wzdycha głęboko).

Ach! (rozgląda się po sali) Ach! (znów się rozgląda i nadstawia uszów) Czy kto co powiedział?... Nie, nikt, głęboka, ponura cisza na okół, jak zawsze, (kiwa głową) jak od dzieciństwa przy mnie! Takie to już moje szczęście... (kiwa głową) Urodziłem się za późno, nie, za wcześniej (p. chw. pewniej) właśnie że za późno i teraz znajduję się wśród świata i ludzi kamiennych, jak arab wśród pustyni... (nasłuchuje) arab wśród pustyni..... jak to doskonale rzecz określa — jak to maluje stan mojej duszy dosadnie! Mickiewicz nie byłby w możności tego wyrazić, co ja teraz czuję. Ale bo też Mickiewicz nie był tak jak ja nieszczęśliwym.

Jedna Maryla i dosyć... bo te inne, to się nie liczą! Jedną! punktem — pauza. A ja mam ich cały tuzin, całą litanję, cały legion! {ożywia się nieco) O!, o!., świat strasznie się zmateryalizował! Dawniej, przy gitarze, przy blasku księżycy śpiewał kochanek kochance pieśń o Filonie... A dziś popróbuj coś zaśpiewać, to cię razem z gitarą za drzwi wyrzucą. Ja, jak mnie tu państwo widzicie, urodziłem... się (melaiicJtolijnie) urodziłem się... (patetycznie) wśród łąk, lasów i kwiatów, na wspaniałym kobiercu natury. Od dzieciństwa poezją karmiły mnie niańki, babki, ciotki, a w dodatku naturalnie i ciastkami. Pierwszy kontrast poezji z grubym materyalizmem! (wzdycha) Ach! ciastkami, jakie to były smaczne ciastka, [mlaska ustami) aleja nimi gardziłem! (seryo i energicznie) Tak, gardziłem, bo duch mój do wyższych biegł regionów.

Gdy podrosłem, a jakież to urocze, wspaniałe były lata, tego mojego dzieciństwa, patrzyłem tylko w niebo, nigdzie tylko w niebo i już wtedy budziły się we mnie wyższe instynkty.

Pokochałem tedy pierwszą czystą niewinną miłością Polę, córkę naszego gajowego, nieco starszą wprowadzie odemnie, ale czyż miłość prawdziwa o wiek pyta?... Oh! jakże ja tę Polę kochałem, taka była piękna! Cóż z tego, kiedy mój guwerner ujrawszy na kajecie kaligraficznym, wypisane jej imię, zamiast mnie do piersi przy cisnąc, przycisnął, ale do stołka; zamiast cieszyć się z wyższych aspiracji ucznia, pointrygował przed ojcem, który przyciśniętemu piętnaście wyliczył odlewanych. Było to pierwsze moje męczeństwo, męczeństwo miłości. Zniosłem je też z godnością bohatera.

Widocznie jednak ojciec miał nieszczęśliwą rękę, bo od tej chwili, zawsze miłość była przedmiotem rozmaitych „sypan,” które jak grad na mój grzbiet leciały.

Kończyłem naprzykład gimnazyum, liczone się już ze mną, jechałem zdawać egzamin na patent dojrzałości, a więc za parę miesięcy mógłbym być poważnym kandydatem do stanu małżeńskiego. . (z 'przekonaniem) Czyż wobec tego można się dziwić, (sentymentalnie) że pokochałem dziewczę z buzią jak malina, z okiem jak dwa węgielki, z uszkiem jak na włoskiej kamei i dwoma pieprzykami: na lewym policzku jeden a pod uszkiem na szyjce—drugi.

Miłość tak płynie szybko, tak szybko; tak gładko, z ust do ust, z oczów do oczów, z myśli do myśli. Popłynęła też między nami jak ambrozja, jak; jak... pieniający się szampan. Byliśmy w siódmym! el. co w siódmym, w siedemnastym niebie. Przysiągłem jej, że się z nią ożenię i byłbym przysięgi dotrzymał, gdyby... gdyby... jakże to państwu powiedzieć, gdyby nie barszcz z uszkami! Państwo może myślicie, że jaki barszcz

wykwintny, gdzież tam, najzwyczajniejszy barszcz z rura i uszkami...

Po objedzie, miałem powracać do szkoły, a przed objadem splakaliśmy się oboje na rozstanie jak bobry, że ja wtedy z rozpaczą nie umarłem, było to najwidoczniejszym cudem boskim. Ostatnie słowa przysięgi przerwało nam właśnie wezwanie na objad.

Boże! ja myślałem o miłości, a oni, ludzie nie czuli, częstowali mnie barszczem z rura i uszkami! Dusza moja napelniła się wstrętem do wszelkiego jedzenia. Z oczyma tedy spuszczone ku ziemi i rozpaczą w sercu usiadłem do stołu i byłbym tak w milczeniu, jak skamieniały dosiedział do końca, gdyby mnie z tego snu letargicznego nie obudziło jakieś chlupanie. Podnoszę czoło, oczy i.... (kiwa głową) coż widzę?... Ją! mój ideał, tak chciwie połykającą uszka z barszczem, jakbym ja nie był przy niej?!... Nie! (z boleścią) to było okropne! I gdybyż potknęła tylko jedno uszko!!! Mógłbym to sobie wytłómaczyć przymusem, chęcią zamaskowania wyruszenia! Ale ona połknęła ich dwanaście!.., (z wściekłością) Jak Boga kocham dwanaście!.. W chwili rozstania?! Co!? Nie, tego jej przebaczyć nie byłem w stanie. Nie śpój a rżałem już więcej na nią i... uciekłem, wołając: Nie ma prawdziwej miłości tam, gdzie tak niepodzielnie panuje barszcz z rura i uszkami!...

I tak było zawsze... Ja szukałem idealnego, czystego, świętego, pięknego uczucia, a spotykałem czarną ohydą prozę. Ot, przed paru dniami, znów zdawało mi się, że już, już jestem bliski mojego ideału. Miała także buzię, jak malinę, oczęta jak dwa węgielki, nosk z włoskiej kamei i dwa pieprzyki, pod uszkiem jeden, a na buziaku drugi. (Mam szczególniejszą słabość do pieprzyków) (sentymalnie) Spotkałem ją na balu, powiewną jak zefirek i uniosłem ją w mych objęciach, przy dźwiękach melancholijnego walca. Trzymałem ją wpół... Moje serce biło przy jej sercu, nie byłem w stanie zapanować nad wzruszeniem, nad słowami, które wydobywały się z ust drżących mimowoli.

— O pani, szeptałem, jesteś tak boską, tak uroczą, tak piękną, musisz więc być i doskonałą! Pozwól, a ja doniosę cię w mych objęciach w przestwory, usadwię na Rosynancie i jak Don Kichot walczyć za ciebie będę. Między cherubinami cię umieszczę na niebie. Suknie dam ci z obłoków niebieskich, przystroję ją niby perłami w gwiazdy—z tęczy uwiję ci szarfę, warkocze twoje, podobne do fal morskich, otoczę nenufarów wieńcami, słońce nad czołem umieszczę, i tak będziemy szybować bez końca! Bądź tylko moja, o! bądź tylko moja!.., wołałem zachwycony.

I zdawało mi się, że równie harmonijną usłyszę odpowiedź, gdy ona wskazując na pugilares znajdujący się w bocznej kieszeni mego fraka i skutkiem piruetów walcowych, zagrożony zgubą, szepnęła:

— Ostrożnie, zgubisz pan pugilares, a pewnie w nim dużo pieniędzy.

Przy tych ostatnich słowach uśmiechnęła się czarująco, ale mnie już oszukać nie mogła.

— Nie pojedziesz pani ze mną na Rosynancie, zawołałem zrozpaczony, nie dam ci sukni z obłoków niebieskich, ubrania z gwiazd szarfy tęczowej i nenufarów do włosów... tu... posadziłem ją na krześle.

No! czy obmierza proza, nie prześladowa mnie wszędzie?. O tak prześladowa!.., {rozgląda się po sali) Gdyby jednak, która z tu obecnych dziewczec, miała poetyczną duszę, mogła mnie odczuć, zrozumieć, niechaj się ulituje nademną...

Mam kilkanaście tysięcy... a fe, co ja mówię, znów proza!.. Możemy się przecież poznać, choćby przez... korespondencyę prywatną... [kłania się i odchodzi).

DOBRANOC  
MONOLOG  
napisany dla  
panny Jadwigi Czaki  
wypowiedziany w Resursie Obywatelskiej,

DOBRANOC  
MONOLOG.

(Wchodzi na estradę zamykając szybko drzwi za sobą i motui z wyraźnym odcieniem gniewu) Dobranoc!.. Tak mój panie, nie chcę cię więcej na oczy oglądać... To, coś uczynił nazywa się w moim pojęciu niegodziwością! Od tej chwili, ani jednej sekundy w myślach moich panu nie poświęcę! ( Wchodzi na estradę, zwraca się do publiczności, przeciąga rączki i siada na fotelu, jakby zmęczona) Dobranoc!.. (zakrywa rączką usta, jakby chciała ziewać) Przyzywajcie do myśli mojej sny złote, któreście się rozwiały gdzieś bezpowrotnie, jak mgła letniego poranka, po łąkach, po zielonych (p. ch. zrywając sic) Dobranoc! (z pastją) W tem jednym słowie zamknęłam dlań całą moją pogardę, całe moje lekceważenie, a przecież nie

zawsze z nim tak się żegnałam {zaczyna sic śmiać lekko) OJ., nie zawsze! Pamiętam, było to za pięknych dobrych czasów naszej młodości (śmieje sir nanowo coraz żywiej). Przyjeżdżał do nas w mundurku granatowym, był piękny, jak malowanie. Mama spoglądała na niego z pod oka, ale i ja także. O! mama umiała patrzeć z pod oka, ale ja umiałam lepiej (śmieje się serdeczniej) A jaki on był filut. Niby na nic nie zwracał uwagi, niby nic nie widział, ale gdy tylko spostrzegł, że nikt na nas nie patrzy, to formalnie pożerał mnie oczyma. I jak jeszcze pożerał!... Pamiętam, było to w maju. Słowiki śpiewały tak głośno, jaśminy i bzy pachniały tak mocno, że upajały prawie, księżyc świecił tak ładnie, gdyśmy się znaleźli w ogrodzie naszego parku. Słyszałam uderzenia jego serca pod mundurkiem, słyszałam jak moje

wtórowało mu gwałtownie; a przecież nie powiedział do mnie ani słówka, ja tylko ledwie wyszeptalam doń: Dobranoc! (ociera oazy chusteczką) Jak to było wtedy w sercu rozkosznie, jak rozkosznie! Całą noc oka zmrużyć nie mogłam a on pewnie chrapał! Kto nie zna mężczyzn, oni wszyscy tacy (znów ociera oczy chusteczką) Potem nie widziałam go długo, bardzo długo, podróżował podobno, aż w końcu zjawił się w sąsiedztwie, jako pan dziedzic, kawaler do wzięcia, bożyszczce wszystkich mam i pańien na wydaniu. I znów złożył nam wizytę.

— O!, myślę sobie, niechaj ci się nie zdaje, że i dla mnie jesteś bożyszczem. Paplał przez cały wieczór jak najęty, gdzie był, co widział, a ja milczałam jak księżniczka zaklęta, na odjeźdźnym tylko powiedziałam mu: (dumnie i oschle) Dobranoc panu!. Uważałam, że go to zabolalo, ale to trudno, trzeba go było ukarać, on zapomniał zupełnie o tej księżycowej nocy, tych słowicznych trelach, zapachu bzów i jaśminów, a takich rzeczy nie zapomina się nigdy. Niech cierpi, myślałam sobie! Czy cierpiał? — nie. wiem, ale to wiem, że zaczął przyjeżdżać do nas coraz częściej, coraz uporczywiej zaglądać w moje oczy, coraz gwałtowniej ścisnąć rączkę, aż wieczoru pewnego, gdyśmy się znów znaleźli w tej samej altanie co kiedyś, ujął mnie za rękę, usta mu drżały, i.... mówić prędko zaczął, że mnie kocha nad życie, że jestem jego szczęściem, rajem, bóstwem..., o! czego on tam nie mówił jeszcze, czem ja byłam dla niego. Mnie znów tchu w piersiach zabrakło i zdobyłam się na jedno słowo tylko (z uczuciem, rzewnie) Dobranoc! I znów nie spałam przez noc całą, a nazajutrz wszyscy dziwili się, że tak mizernie wyglądam. On jednak zrozumiał wszystko, bo nie pytał się o nic, tylko powiedział mamie, potem ojcu, że mnie kocha i w parę miesięcy zostałam jego żoną. {z irytacją} Niegodziwiec! Teraz poznałam cały ten ród jaszczurczy, teraz rozumiałam całą

jego przewrotność, niegodziwość, fałszywość. Cieszyłam się jak dziecko, gdy mnie w białą ubierano sukienkę, gdy mi wianek mirtowy nakładano na skronie, cieszyłam się wtedy nawet, gdy mi welon i mirty zamieniano na maleńki czepeczek, ale gdy to wszystko zniknęło, gdyśmy zostali sarai, ogarnął mną strach, drżałam, i złożyłam ręce ot, tak (składa ręce) i szepnęłam do niego (z prośbą) Dobranoc!.. On nie usłuchał tego, ujął mnie w pól i patrzył tak w oczy, że aż mi serce bić przestało!, drżałam, jak listek osiki. Dobranoc, znów powtórzyłam. Myślałam, że się oddali, gdzie tam, posadził mnie na kanapce, usiadł przy mnie i jakby nic nie słyszał, trochę także wzruszony pyta;

— Zochno, czy ci się spać nie chce?

— Chcę, odpowiedziałam, a panu?

— Mów mi ty, Zochno.

— Jeśli się panu spać nie chce, to mu opowiem bajkę o żelaznym wilku, którą usypiała mnie zawsze niania.

— Posłucham z rozkoszą, odpowiedział. Zaczęłam więc:

Był sobie jeden taki wilk żelazny!..

— Żelazny?! zapytał z przestachem, ale było to udanie, jak się później przekonałam.

— A tak, żelazny, odparłam, i pilnował prześlizycznej księżniczki.

— Zbrodniarz! mruknął z wściekłością, ale to także było udanie.  
— A zbrodniarz, ciągnęłam dalej. Księżniczka była bardzo nieszczęśliwa, ale znalazł się królewicz, którego poratowała wróżka dobra, dając mu zaczarowany grzebień, zaczarowaną wstążkę, zaczarowane jabłko i najszybszego konia na świecie.  
— Poczciwa wróżka, zawołał z zapalem, który był także komedia, i cóż dalej, i cóż dalej?..  
— Królewicz porwał księżniczkę, wsadził ją na bystrego rumaka i razem uciekać zaczęli.  
— Jak ty cudnie opowiadasz Zochno, mówi Janek. I za nim się spostrzegłam, pocałował mnie w usta.  
Zadrżałam! Ja, kiedy mnie. tę bajkę opowiadała niania w tem miejscu już zamykałam oczy, a on je teraz jeszcze szerzej otwierał. No! ale zobaczymy, myślę sobie, nie wytrzymasz i zaśniesz, mówię dalej:  
— Jada, jada, jada, jada..  
— I dojechali!  
— Wcale nie dojechali, bo królewicz się ogląda, a tu wilk tuż, tuż, za nim i tylko co go nie dogania, rzuca więc za siebie zaczarowany grzebień i wyrósł z ziemi las olbrzymi, który królewicza i księżniczkę od wilka odgradził. Wilk zawył za lasem ze złości i nuż przez gąszcze się

przedzierać, torując sobie drogę zębami. A oni tymczasem jada, jada, jada, jada...

— I dojechali!..  
— Właśnie że nie dojechali, bo królewicz się ogląda i widzi tuż, tuż za sobą wilka, który drzewa poprzegryzał i już prawie dosięga uciekających swą paszczą... Ja w tem miejscu już zasypiałam, ale myślę sobie: zaśniesz ty, zaśniesz, i dalej opowiadam:  
— Królewicz rzuca wstążkę zaczarowaną i wnet wytryska olbrzymie morze, które uciekających od wilka oddzieliło. Wilk zawył, paszczę w wodę zanurzył i pić morze zaczyna. Pije, pije, pije, pije..  
— Kiedyż nareszcie wypije? woła Janek niecierpliwie i nic o śnie nie myśli, a ja mu ciągnę dalej:  
— Wypił morze, i znów dogania uciekających, a królewicz teraz rzucił jabłko zaczarowane i z ziemi wyrosła góra aż pod niebo.  
— Pod niebo?  
— A tak, pod niebo.  
— Już teraz uciekli.  
— Właśnie że nie uciekli. Wilk zaczyna w górze jamę drapać. Drapie, drapie, drapie, drapie..  
— Wiem już resztę, woła Janek, zrywając się z miejsca i padając przedemną na kolana.  
— Wstań pan, dokończę bajki.  
— Znam jej koniec, woła.

Kłamał, bo nie znał, i zaczyna mnie całować po rękach, po paluszkach, paznogiach, wreszcie, śmiałek schylił się, aby ucałować moją nóżkę.

— O mój panie, zawołałam oburzona, tego nadto i zerwawszy się z miejsca, rzekłam: dobranoc!., uciekając do mego pokoiku.

On jednak tem się nie kontentował (ze wstydliwą skromnością) i jeszcze raz przyszedł mi powiedzieć: (z miłością) dobranoc—dobranoc!

Ach, jakież to piękne były dni naszego życia, gdyśmy sobie codziennie mówili te dobranoc, dobranoc!.. Ale to już minęło, dawno minęło. Dziś tylko mały Tadiusz wyciągając do mnie rączyny, co wieczór mówi: Dobranoc mamusi, a on nie powie nigdy, częściej mówi dzień dobry, gdy nad ranem wróci do domu. Powiada, że chodzi na sesye, a ja wiem, że do resursy na winta, a może i gdzieindziej. Dla tego dzisiaj usłyszał odemnie takie dobranoc jak nigdy, jutro usłyszy jeszcze groźniejsze, pojutrze straszne, aż w końcu zamienię się w furyę i będę powtarzać coraz okropniej: (ze iv zrastającą pasyą) dobranoc, dobranoc, dobranoc! {wybuchu płaczem, po pauzie) Ale co to kogo obchodzić może?! To takie nudne dla wszystkich, może więc lepiej będzie, abym i tutaj zebranym powiedziała {dyga) Dobranoc! (zbiega z estrady).

PRAWDOMÓWNY

MONOLOG

napisany dla

p. Władysława Wojdałowicza

PRAWDOMÓWNY

MONOLOG.

(Wpada zadyszany na estradę, zatrzymuje się nagle i oddycha głęboko, jakby mocno zmęczony).

A., a., a., a.! nareszcie, oddycham, ale bo też, jak mi Bóg miły, nie pamiętam, żebym się kiedyś w takich znajdował opałach! I po co?... Dla czego?... Aha! uśmiechacie się państwo, ręczę, że jesteście przekonani, iż mówię o miłości, i naturalnie miłości dla kobiety... .Miłość piękna rzecz, na samo jej wspomnienie idzie ślinka do buzi... Westchnienia, całusy... pieszczoty... coś... tego. Wiem, wiem, znam to wszystko, aż nadto dobrze. Łatwo to bardzo, dla takich przyjemnych poświęcać się rzeczy, brać kije na grzbiet, lub kulę do piersi (przykłada

rękę do ust i mówi nieco ciszej, mrugając z uśmiechem) brałem, brałem, ale nie mówcie państwo, proszę, o tem nikomu. Et, bo nie warto nawet o tem i mówić, kto nie brał?., co?.. To takie proste, takie naturalne, każdy jeśli chce w tej chwili być tak prawdomównym, jak ja byłem dzisiaj, przyzna mi to niezawodnie. Właśnie o tej [...]

W tej chwili, me słowo honoru staje mi przed oczyma w całej grozie. Postanawiam być nie wzruszonym, mówię więc spokojnie prawdę. — Bo tam z Fonsiem jest twoja zona! Antoś wali mnie w łeb, przewraca, wpada do gabinetu, robi chryję. No! nie poczciwa ta prawda? co!

Wpada włas'ciciel restauracyi, uderza się pięścią w piersi i mówi do mnie:

— Panie, jak jestem uczciwym człowiekiem.

— Nie panie, nie byłeś pan nigdy i nie jesteś uczciwym, odpowiadam.

— Jak honor kocham!

— Facecya, niekochalesz pan nigdy honoru.

— Co pan może jesteś gotów twierdzić iż nie jestem człowiekiem honoru?!

— Twierdzę, iż jesteś pan ostatnim łotrem, zgodnie z rzeczywistością i prawdą, której rycerzem jestem od godzin.

Gospodarz się zapala, woła kelnerów, chcą mnie obić. Nie namyślając się więc zmykam co najspieszniej. Tego mi prawda uczynić nie zabrania i ot, przyleciałem tutaj (patrzy na zegarek). Jeszcze kwadrans. A no! muszę państwu, także parę prawd powiedzieć. Najpierw: (pokazuje palcem w głąb' sali) dla czego pani nosi włosy przyprawiane? a oczy ołówkiem podczernia? Co tam? (odwraca się ku drzwiom, jakby leto do niego mówił). Dziękuję panu nie mam zupeł

kami ich zon. I było wszystko jak najlepiej, gwiazdkę dostałem sowitą, pryncypałowa uśmiechała się do mnie od ucha do ucha, rozszerzając usta, a miała piękne i smaczne... Te, te, co ja powiedziałem? (lostrząsa się) smaczne? nie, nie, ja tego nie mówiłem, bo bym kłamał, a ja jeszcze (patrzy na zegarek) mam trzy kwadransy czasu do chwili, w której na nowo kłamać zacząć. Mniejsza zresztą o to. Co państwa obchodzić może smak ust mojej pryncypałowej, więcej ja chyba, męczennik prawdy.

Zakładam tedy sobie ręce na piersi, ot tak, i stoję za ladą (zakłada ręce na piersiach i staje w pozie wyzywającej) szepcząc do siebie: No! teraz zobaczycie przynajmniej jak prawda wygląda. Ledwie to pomyślałem, otwierają się drzwi i włącza się przez nie jakaś pani.

— Czy dostanę czystego jedwabiu na suknię? pyta. .

— Nie; odpowiadam, jest tylko mieszany z bawełną.

Pani pryncypałowa w tej chwili szczypie mnie, ale tak mocno, że aż krzyknąłem i słodziutko dodaje:

— Co pan mówi, panie Janie, przecież tylko co wczoraj odebraliśmy z zagranicy czyste jedwabie.

— A tak, jeśli Łódź jest za granicą, tośmy je odebrali z zagranicy, mówię ze spokojem najwyższym.

nie ochoty, (odwraca się do publiczności) Tu z tej estrady, mogę sobie spokojnie prawdę mówić, wszystkim w oczy, przecież przez samą przyzwoitość nikt mnie tutaj za prawdę bić nie będzie (ku drzwiom). Dziękuję panu niejestem głodny! tylko co jadłem śniadanie, (do publiczności) Więc na czym tośmy stanęli?... aha na oczach i ołówku? (ku drzwiom) Czego pan chcesz jeszcze u dyabła? Już powiedziałem. Co? chcesz pan, abym z nim jechał!—Kupisz mi pan bilet drugiej klasy?... Pojedzie z nami doktor? A to na co?... Do Pruszkowa?—A potem na lewo?... Cor! oszalałeś pan? Ależ ja tam nie mam żadnego znajomego! Nie potrzeba znajomych? więc po cóż?... (przeżony do publiczności) Słyszeliście państwo? Chcą mnie zawieść do Tworków, za to że przez dwadzieścia trzy godziny i trzy kwadransy mówiłem prawdę!.. Ale co by to było, proszę mi powiedzieć, gdybym tak postanowił sobie mówić prawdę przez całe życie?!! Nie, o tem nawet myśleć nie można i czuję, że sam bym do Tworków pojechał (Zbiega z estrady, iv razie okłasków wraca, patrzy na zegar eh grozi publiczności palcem na nosie i mówi) Ej, bo mam jeszcze pięć minut czasu!...

KUJAWIAK WEDLE OBERKA

MONOLOG

napisany dla

p. Józefa Kotarbińskiego.



## KUJAWIAK WEDLE OBERKA

### MONOLOG.

( Wchodzi na estradę i kłania się niezgrabnie).

Nie jestem ci ja nijakim charłakiem, jak państwo widzicie, kontrabasów i wanklizów zawracać nie potrafię, bom na kujawskiej ziemi oczy otworzył i tu, jak się patrzy ojcowizny pilnuję.

Ucony jestem, ale nie wiele. Carne na białem znom i kulfoniki na papierze stawiać umiem. A kiedy państwo takie zachcenie macie abym wam co wedle nasego chłopskiego oberka pojdział, to juścić, przez nijakiej urazy, to uczynię, aby ludzie wiedzieli, ze na naszej kujawskiej ziemi chłopcy swego tańczyć potrafiom.

Stary dziaduś mój, a był to śwarny chłop kiej topola, mówił, co oberek, to ino kujawiaki na złość miemcowi wymyśliły. Miemiec przy wąż

kroił się na Kujawy z pudliskiem i katarynką, wzion grac sztajery, i tańcować na prawo, a zuch kujawiak chwycił dziewczkę pod pachę i kiej nie huknie:

A zawracaj od komina  
A uważaj chłórnej nima  
Jest tam Kaśka i Maryśka,  
Tylko mojej Baśki nima!

kiej nie zacznie zawracać na lewo od pieca, tak ci miemcysko zgłupiało, a z pudlem i katarynką wzieno uciekać za dziesiąty bór, za siódmą rzekę.

Odtąd takie już przykazanie stanęło, coby na kazdziuśkiej zabawie oberka wywijać.

Ho, ho! niechaj ta mazury schowają się w mysią jamę ze swoim tanem, a krakowioki takoz kiej kujawiak stanie, a obracać się zacznie.

A dokumentność w tem taka, coby nikt niemający w głowie, paru kielisków gorzółki, do dziewczuchy i do tańca się nie imał, bo się stydu nazre i tyło.

U nas na Kujawach, jest taki obyczaj, co do wszyckiego trzeba się brać ostro, i do roboty i do zabawy.

Chudzina każda, przez cały tydzień się utrudzi i potem szczyrny się obleje, to w świętą niedzielę siłyby mu nie dostawało kiejby kieli

zwolna przytupujący nogą i pokrzyk ujący „insego,” kiedy mu granie Maćkowe nie idzie, jak chce do gustu.

Maciek zacyna: grubiej, cieniej, prędzej, wolniej, zawdy jednego i tego samego, a Antek prec wykrzykuje „insego.” W końcu Maciek natrafi na granie jakie się żąda Antkowi i... lobogo rety nikt już obaczyć nie może, co się w karcemisku

dzieje, rychtyg śmigowiec u Gotlibowego wiatraka: Kuba z Łucką, Grześ z Brygidą, Antek z Jewką skacą, kręcą się. niby frygi; to ona się koło niego obraca, to on koło niej, a skrzypki swoje pisca: dylu, dylu, dylu, dylu, a basy także, a jakże bum, bum, bum.

Od casu do casu ino, który na kolana przyklęknie w tańcu, albo hu! ha! wykrzyknie.

Stare dziady precz siedzą na ławach pod oknem, oczy wylupiasto wytrzeszczają—dawne swe młode czasy wspominający, i z fajceek dym puscający.

Az tu Antek hyc, stanął, Łucka uderzyła nosem w plecy Brygidę, co az jej swicki w oczach stanęły, za nimi wsysey sieregiem się usikowali, a Antcysko ujeno się pod boki i kiej nie zacnie wydziwiać śpiwki, to ci brzuch, az się trzęsie. Maciek do ena wychyło półkwaterek, co mu Srul znający obycaj przynosi a Antek wása podkręca na Jewkę zyzem zyrka i śpiwa. Ale bo tez, jak tu nie śpi wać, dziewczuchy kiej frygi,

ska niepokostował. A kiedy go pokostuje, to capcysko na bakier, albo i kapilus przekrzywiał i hulaj dopiru.

U nas to taki jest porządek:

W karcemsku za synkwasem siada Srul i Srulowa, w kącie pod oknem stary Maciek z młodym Wickiem, jeden basetlę a drugi skrzypki trzymający i jazda: dylu, dylu, dylu, dylu, bum, bum, bum, bum, bum, bum.

Dziewkici słyszą na końcu wsi muzykę, parobki tyz i lecą każdy jak na odpust.

Antek łebski parobcok, zawse rej tam wodzi kanalija z Jewką, tą od Grzegorza, także świarna dziewczucha, jeno figle, psie w głowie mająco; potem idzie Grześ z Brygidą, Kuba z Łucką i hajda!

Stary Maciej, kiej ino zdala ich usłysy, zaraz basy stroi a Wicek się uśmiecha, bo cuje, że gdy Antek oberka wiedzie, trzygroszniaków mu do skrzypek narzuca,

Srul tyz głową kiwa a pejsy sobie z zadowoleniem pokręca, bo gdy chłopcy się zagrzeją i gorzołka lepiej odchodzi.

Po kielisecku Antek gębę sukmaną obetrze Jewce kułaka da pod bok i jazda. Dylu, dylu pisca skrzypki, bum bum, bum pomrukuje basetla a Antek ująwszy prawą ręką Jewkę w pół, na lewej zawinąwszy końce sukmany, coby mu się po próżnicy między nogami nie plątała, idzie

parobcaki kiej iskry. U każdego we łbie aż się kuzy z dościpu—i kuzden śpiwa:

Siedzi dudek na kościele

Robi piwo na wesele

Wszystkich ptaków zaprosili

A o sowie zabacyli.

Gdy się sowa dowiedziała.

Na wesele przyleciała

I usiadła na przypiecku,

Kazała grad po niemiecku

I usiadła na kominie

Kazała grad po łacinie  
I usiadła na ławiasku  
Kazała grad po warsiasku  
A wróbel ją bierze w taniec,  
Udeptał ją w mały palec  
Ty wróbelce, ty szatańce  
Połamie ci wszystkie palce.

Dziewki wtedy, gęby od ucha do ucha otwierają, zębiśka szczyrzą, a chłopaki, znów w taniec na odsiebke. I wiercą się tak w kółko i podkówkami przytupują, póki tchu w piersiach nie zabraknie, a kiej zabraknie, znów stają na miejscu i Antek śpiwa do Maćka, co wodzi smykem po strunach: bum, bum, bum i do Wicka, co rzempoli na skrzy picach: dylu, dylu, dylu dylu.

I im za dobre granie trza coś powiedzieć. Więc Antek znów w bok się ujmujący śpiwa:

Hej grajcyku będziesz w niebie,  
A basista wedle ciebie,  
Cymbalista jesce dali  
Bo w cymbały dobrze wali,  
Oj dana! dobrze wali.  
Hej graj graju i baj baju,  
Będzies w niebie, będzies w raj.  
A basista dalej klęcy,  
Co w swe basy dobrze brzęcy  
I tamten tez z drugiej strony  
Gracko siepiąc a powoli  
f Twardym smykem na marynie  
Niebo sobie wyrzempoli...

I tak bez końca idzie to śpiwanie, to tany, az Maćkowi i Wickowi łapy ustana, smycki opadnom, bo dziewczuchom i chłopakom ochoty nie brak nigdy.  
U rias to u chłopów tańca inacej, a między ciarachami inacej, to nijakiego gadania ni ma kiej mowa o obertasie jest.  
My w karcemisku, albo na weselu, tańcujem go zawdy, a ciarachy ino wtedy, kiedy sobie podpijom i to jak, pozał się Boze! A gdyby rozum mieli, to by na pośmiewisko ludzkie nie wydziwiali jakichś prysiudów, inoby od razu

do oberka się wzieni, jak Antek z Jewką, bo to milej spoglądać, jak chłopak się uwija rażno, kiej z tego widać, co on do tańca i do różańca,' a nie jak przyskakuje do dziewczki, odskakuje jak kogut i na swoje buty patrzy a patrzy. Naopowiadałbym ja tutaj państwu jesce wiele innych pięknych rzeczy o naszym oberku, ale teraz naród po miastach taki, co chłopskiego gadania nie chce słuchać więc tez i mojego gadania nie zauwraży. Co prawda to i ja już nie tańce tego oberka od casu, jak mi parobcaki na weselisku zaśpiwali: Siedzi wilcek na górecce, ogoneckiem kiwa, Trzebaby go ożenić—bo ładna bestya... Ożenili chłopą, ożenili, niech im Pan Bóg tego nie zabacy. Baba skrzecy nadełbem: a do karcemiska nie chodź, a, na dziewczki nie zerkaj, a gorzołki nie pij. No jak przy takiej okazji można tańczyć oberka bez zerkania i gorzołeczki. Cłek tez ino od casu do casu wymykający się z domu, pójdzie patrzeć jak młodzi tańczą om i dusycka mu się śmieje... A kiedy umrę, to będę prosić probosca, i ludzi, coby Maćka grającego na basach i Wicka rzempolącego na skrzypcach, zdala od mego grobu trzymali, bo jak jeden zacnie bum, bum, a drugi dylu, dylu, gotowem z ziemi wyskoczyć.

WINCISTA  
MONOLOG  
napisany dla  
p. Mieczysława Frenkla.

WINCISTA  
MONOLOG.

(Wchodzi na estradę z twarzą mocno niezadowolonego, z głową spuszczoną ku ziemi, którą dopiero po nejakiej chwili podnosi).

NnnoL mnno!.. są jednak jeszcze rzeczy na ziemi i niebie, o jakich nie śniło się filozofom— są!., jak Boga kocham. Wczoraj wyjątkowo położyłem się spać dość wcześnie, bo o drugiej, skutkiem czego wstałem dzisiaj o jedenastej. Nie jest to, co prawda, dość wcześnie, ale w każdym razie, nie najpóźniej. Mam zwyczaj po śniadaniu używać przechadzki, wyszedłem więc na miasto i zamyślony nad skandalicznym zejściem się we wczorajszym wincie w moich rękach waleta karo i damy pik, idę sobie najspokojniej, gdy nagle zbliża się do mnie jakiś bęben, około lat jedenaście mieć mogący i całuje w rękę:

— Dzień dobry tatce, woła.  
— Tatce? Co to znaczy u licha tatce! Ty jesteś moim synem?  
— A tak, nazywam się Kazio!  
— Eh! eh! Kazio przecież taki maleńki był jeszcze przed...  
— Ośmiu laty, kończy bęben.  
— Kazio więc to ty?, ty, to Kazio? ale chyba mnie chłopcze obelgujesz?  
— Jak tatkę kocham, ja jestem synem tatki, Kaziem.  
— A cóż u dyabła, dla czego ja cię nie znam, jak że to się stać mogło? ja ciebie nigdy nie widziałem.  
— Bo i kiedyż tatko miał mnie widzieć. Kiedy tatko idzie na winta, to ja ze szkoły przychodzę, kiedy znów tatko z winta przychodzi, to ja wychodzę do szkoły. Podczas objadu tatko śpi — kiedyż więc mieliśmy się poznać?., (pauza). Logiczne, jak Boga kocham, logiczne—teraz dzieci są bardzo rozumne, bardzo obserwacyjne, dawniej takie nie były, o, nie! (pauza) Ale jednakże lat jedenaście!... eeee!... chyba chłopak mnie obelgał, nie, nie, to niepodobna, żebym ja ! znał mego jedenastoletniego syna. Ale wiem co zrobię, zapytam się o to żony... Chociaż i ona twierdzi że tylko spać przychodzę do domu, ale to tylko zwykła kobieca szykana i nic więcej—człek przecież musi coś zrobić dla towarzyszy

— Bezatu, dwa pik. dwa trefl, dwa karo  
(naśladuje głos każdego z partnerów) i tak dalej i tak dalej.  
JVladrygalski się pieni, Wiatrowski dowcipkuje, bo ma dobrą kartę, Fiszelman śpiewa aryę z „Roberta Dyabła," a Skrzewski pogwizduje coś z „Wesołej Dwójki." Boki zrywać. Ja stanowią galeryę, jak wczoraj naprzykład przy początku gry i zaglądam w karty Madrygalskiego. Madrygalski ma tę wadę, że zawsze deklaruje o oczko wyżej, Fiszelman zaś o oczko niżej. Widzę z kart, że Madrygalski wpadnie, a gra właśnie z Fiszelmanem. Akurat nie wychodzi dwóch minut i Madrygalski leży jak baran na małego szlema, bez trzech; zrywka się więc od stolika i skacze do oczów Fiszelmanowi.  
— Hebesy (naśladuje Madrygalskiego) do kroćset dyabłów tylko tak grają, pan nie masz przybliżonego pojęcia o zasadach winta, pan powinienes grać tylko w guziki. Kiedy panu odzywam w piki, to pańskie psie prawo odpowiedzieć mi pikami, rozumiesz pan?...  
— Rozumiem, (naśladuje Fiszelmana) odpiera basem Fiszelman, ale jak ja panu odpowiadać będę pikami, kiedy ja pików na oczy w rękę nie oglądam, czy ja mam przy sobie maszynkę do robienia pików?..  
— Lord (naśladuje Wiatr owski iego) Grimston, powiada Wiatrowski, cedzi słówko po

stwa, dla ludzi—dla bliźnich, zakopać się przecież w domu niepodobna; no i niepodobna odmówić gdy proszą na piątego. Bo cóż to jest wint we czterech? To jak i bez kropki, ja}\* mąż bez żony, jak wesele bez muzyki. A ja tylko

wtedy gram, gdy piątego potrzeba. A co ja temu winien, że prawie zawsze tego piątego potrzeba? Zresztą, ja się na piątego, podkreślam, bawię zawsze tak doskonale, lepiej jak na komedyi w teatrze, doprawdy, że lepiej. Ale u Wiatrowskich dałem sobie słowo, że więcej grać nie będę. Lubię obserwować, ale tam już trochę rzeczy idą za grubo, o! za grubo. Proszę sobie tylko wyobrazić. Z jednej strony siada Fiszelman, bardzo poczciwry chłopiec, mówiący basem, z drugiej gruby Skrzewski, co tak ładnie gwizdże, z trzeciej Madrygalski, chorujący na wątrobę — z czwartej Wiatrowski sam, ironia chodząca, i ja stoję na piątego.—Rozdaję im karty. Fiszelman (naśladuje akcent żydowski i basem) grubo mówi bo jest na ręku: pik; (naśladuje ostry głos Wiatrowskiego) trefl, odzywa się Wiatrowski; (zirytowany, z pasyą) pas, wToła Madrygalski. Takie moje szczęście, niechaj je pies płacze; — karo, (gicizdze) fiu, fiu, fiu, Skrzewski.  
— Tak, dobrze, lord Grimston każe licytować w karo, kiedy się już trefl powiedziało...,  
— Nu bierz, ciągnie dalej Fiszelman.

— Panie!

— Dwa piki!

— Pas, pas, pas.

Gramy trzy trefle i wpadamy z Madrygalskim bez dwóch. Myślę, że go apopleksya trafi, rzuca karty z wściekłością i woła:

— Niech was dyabli porwą z takim graniem!

— Aj jaj, za co nas dyabli wzięść mają, protestuje Fiszelman, za to, co my weźmiemy pańskie pieniądze, pana dyabeł nie wzięł, choć pan nasze ruble brał nie raz....

— Lord Grimston, wyjeżdża także z jakąś sentencją z ust Wiatrowskiego, tylko w nieco żywszem tempie.

— Fiu, fiu, fiu, gwizdże jak zwykle Skrzewski.

— Będziesz pan płacił, będziesz, bo ja ani myślę, irytuje się dalej Madrygalski, czyż pana nie kopnąłem nogą, żebyś pan w piki wychodził, no, powiedz pan, nie kopnąłem? Pan oszalałeś chyba, kiedy ja kopię, wychodzi się zawsze w piki.

— Czy my w gadanego gramy?

— Lord Grimston mówi, że to jest świństwo kopać kogo w nogę.

— Co? pan mnie będziesz uczył co to jest świństwo, pan, który jak sęp żarłoczny zapuszczasz oczy w cudze karty!

słówku, tak że aż się wnętrzości przewracają, że kiedy pików nie ma, trudno w piki wychodzić...

— Fiu, fiu, fiu, fiu, fiu, fiu, gwizdże tymczasem Skrzewski i notuje honory, lewy, korony, białą kredą na zielonym stole.

Kończą robra, ja zastępuję Skrzewskiego i gram z Madrygalskim. Pyszny jest ten Madrygalski. Przetawił lichtarz na drugą stronę, szczoteczkę przełożył, spojrział na sufit czy nie siedzi pod belką i jazda...

— Panie złoty, tylko bąków pan nie strzelaj; nawiasowo powiedziawszy sam gra niemożliwie, mówi mój partner, bo do wszystkich dyabłów. ja mam zwyczaj w takich wypadkach wymyślać.

— O! nic nie szkodzi, odpowiadam chłodno, niech sobie pan pozwoli, gdyż ja w takich razach mam zwyczaj kułakować!

— Lord Grimston powiada, dodaje Wiatrowski, że kułakowanie jest najszlachetniejszym sportem.

— A panu dyabli do tego, co powiada Grimston, z pasją woła Madrygalski.

— Pan potrzebujesz robić licytację, stentorowym głosem zamyka kłótnię Fiszelman.

— A to z pana pechowicz, wToła zaperzony Madrygalski, już takie moje szczęście, ja zawTsze muszę dostać ptaszka dobrego.

— Uhm, odpowiadam, a ja grube zwierzę...

— Ja panu co powiem, coby pan był pościągłszy!...

— Jak mi się podoba, mój panie!

— Podoba albo i nie podoba!...

— Pan dajesz karty, mówi Wiatrowski, kłótnia ucichła na chwilę, aby znów wybuchnąć gdy Madrygalski się przelicytuje i wpadnie.

Nie, zastanowiwszy się bliżej, to przecież jest to coś niemożliwego, choć dosyć zabawne. Tak, dałem sobie jeszcze wczoraj słowo, że już nigdy więcej grać nie będę, żeby nie wiem co! Ale jest przyjemność patrzeć na taką komedię, prawda? choćby do białego dnia. To wesołe, co?, to bardzo wesołe (zastanaivia się) Tylko ten Kazio?! Nie, doprawdy ten Kazio jest kompromitujący, ale jaka śmiała bestya, rodzonemu ojcu coś podobnego powiedzieć. No, że lubię winta, tego się nie zapieram, ale tylko czas wolny tej grze poświęcam, (powątpiewanie) przez lat jedenaście!?. Do czego!...

E! to chyba niepodobna. Ale istotnie ja tego chłopaka nie widziałem.... To szkaradne... O! muszę kres temu położyć.... To wprost jest niemoralne... Ojciec... syna... jedenaście lat... Muszę się zrehabilitować. I dziś tu wobec wszystkich daję raz jeszcze najsolenniejsze słowo honoru, że grać... (obraca się ku drzwiom)

— A co tam? — Czekacie panowie na mnie?..

— A po co? — Na piątego do winta? — Kiedy?

—Będzie i Madrygalski?.. Szkoda czasu?.. A no kiedy kto rozumnie przemawia, to trudno go nie usłuchać. Przepraszam muszę zmykać, bo tam bezemnie gotowi zacząć robra. — (zbiega z estrady).

PULS  
MONOLOG  
napisany dla  
p. Władysława Szymanowskiego.

PULS  
MONOLOG.

(Wchodzi na estradę elegancki mężczyzna we fraku z klakiem pod pachą). Jeden tryumf nareszcie, ale jeden tylko. Dla mnie wprawdzie niesłuchanie wielki, ale dla nauki?!... Z pacjentami jeszcze jako tako radę dać sobie można, ale z pacjentkami ani rusz. Płeć piękna, chociaż tak nabożnie się modli, jednak jest przepelniona niedowiarstwem. Mów jej o nauce, o wynikach ostatnich badań, roześmieje ci się w oczy, mrugnie filuternie i w dodatku za plecami jeszcze języczek pokaże. Na sposób jest jednak sposób, a dla chcącego, nie ma nic trudnego. Jestem wprawdzie młodym doktorem, ale mam nadzieję że ten pierwszy mój tryumf

przekona starszych praktyków odemnie, ii nie ma niepodobieństw na świecie. Że zaś lubię agitować na gorąco, i że być może te słowa moje przekonają nie jednego niedowiarka w spódniczce, opowiem przeto państwu historią nawrócenia pewnej ładnej osóбки, nawiasowo powiedziawszy prześlicznej nawet, która wczoraj nareszcie, dzięki mnie, uwierzyła w pewniki medycyny. Mieszka., e, nie powiem gdzie mieszka, w każdym razie w kamieniczce dużej, będącej własnością jej papy. Ta nieszczęsna emancypacya przewróciła jej w głowie. Wchodzę więc do nich, mamy i papy nie ma—będziemy więc prawdopodobnie przez czas krótki pozostawać sami. Podaję tedy jej rękę i jako w dniu imienin składam przedewszystkiem życzenia zdrowia.

— Zdrowia? odpowiada, i pan doktor życzysz mi zdrowia?

— Pani o nas lekarzach, masz takie złe wyobrażenie?

— Naturalnie, jesteście wszyscy zimni, wychłodzeni...

— Najkategoryczniej zaprzeczam takiemu pogładowi na naszą sztukę...

— Sztukę! no proszę. Co też w pańskiej nauce jest sztuką? O! co do mnie, to wierzę w to najgoręcej, iż u was wszystko się zasadza na:



A! zarumieniłaś się pani, nowy dowód że nie lubisz i komplementów.

— To wszystko wie każdy i bez medycyny.

— O! ale to dopiero początek, my posiadamy jeszcze gadatliwsze znaki od języczka.

— Jakież, jakież? racz mi doktorze objaśnić, ciekawość moja wzrasta,

— Puls!

— Ten, to już panu z pewnością nic nie powie.

— A no, zobaczymy, daj pani swój paluszek i połóż go tutaj na moim pulsie, jednocześnie patrząc na małą wskazówkę zegarka... Czujesz pani, uderzenie pulsu?

— Czuję!

— Proszę więc je liczyć.

— Raz, dwa, trzy, cztery... piętnaście...

— To znaczy że puls mój bije na minutę go razy. Teraz proszę uważaj pani, ja uczynię, toż samo.

Tu ująłem za puls pannę Maryę.

— Także dziewiędziesiąt. A teraz proszę słuchać i znów uderzenia mego pulsu liczyć.

Tutaj zwróciłem moje oczy na jej przepiękną twarzyczkę i utopiłem wzrok w tej pełnej czaru główce. Puls mój w tej chwili zaczął waryować,

przypuszczam, zdaje mi się, a w rzeczywistości każdy z was powiedzieć sobie musi, nic nie wiem i basta.

— Przepraszam panią, ja sobie tego nigdy nie powiedziałem.

— To zarozumiałość.

— Nie, to pewność siebie i stanowczo twierdzą, że my doktorzy wiemy wszystko tak dokładnie, iż omylność nasza jest prawie fenomenem.

— Pozwalam się przekonać!

— Przekonać?

— Bo ja w doktorów i medycynę nie wierzę.

— Dobrze, przekonam panią, ale proszę o pięciominutowe posłuszeństwo dla mnie.

— Z ochotą.

— Proszę mi tedy najpierw pokazać języczek.

— Języczek więc ma być dowodem przekonywającym?

— A leż tak.

— Niezawodnie?

— Najniezawodniej.

— Zatem służę!

Tu moja pacjentka, wiedziona jedynie ciekawością, pokazała mi swój języczek.

— A widzisz pani, zawołałem: różowy, małeńki, — dowodzi kolorem, że jesteś pani zdrową, wielkością, że ludzi obmawiać nie lubisz.

a panna Marya zaciekawiona wielce doświadczeniem natychmiast to zauważyła, wołając:

— Oh! jakże się ten puls pański śpieszy, naliczyłam już .

— A widzi pani, odpowiadam, co się dzieje w mej głowie. Myślałem sobie właśnie, jak jesteś pani dobrą, zacną, pocziwą. A teraz dodam jeszcze słów parę.

Tu ująłem ją znów za rączkę i znów mój palec do jej przyłożyłem puls, a potem szepnąłem trzy słowa:

— Ja kocham ciebie!

Puls panny w tej chwili tak przyśpieszył swoją systematyczną wędrówkę, iż żaden sekundnik nie byłby go w stanie obliczyć. Wyrwała mi swą rączkę z dłoni i drżąca, blada, opuściła oczęta ku ziemi.

— Cóż, czy wierzysz pani teraz w środki i potęgę mojej nauki, czy wierzysz, iż możemy się dowiedzieć wszystkiego co dzieje się w człowieku, a nawet w jego sercu, zapytałem przywołując mój własny puls do porządku. Mógłbym pani jeszcze wiele innych dowodów pokazać, gdybyś pozwoliła przyłożyć me ucho do serduszka.

Panna Marya jednak, nie żądała więcej dowodów, nie odpowiedziała nic, tylko odskoczyła odenmie zarumieniona jak poprzednio, o parę

GENJUSZ

MONOLOG

napisany dla

p. Rufina Morozowicza.

GENJUSZ

MONOLOG.

(Wchodzi z nosem zadartym do góry, z uśmiechem lekceważenia na twarzy i na publiczność patrzy zy z em).

Marny tłumie, więc może myślisz, że ja wybraniec boży, człowiek obdarzony iskrą genjuszu w piersiach, zniżę się aż do tłumaczenia przed tobą moich głębokich idei i pomysłów?! (stanowczo) Nigdy!... powiadam wam, że nigdy i proszę

mnie o to daremnie nie prosić. Tobie tłumie zawdzięczam, że dotychczas place publiczne wszystkich miast Europy, Azji, Afryki, Ameryki i Australii, wszystkich, jednym słowem, części świata, nie szczycą się pomnikiem..... tobie zawdzięczam, że ostatnie słowo nauki, wynalazek nad którym wieki łamano sobie głowy i który nareszcie ja zrobiłem, dotychczas pokryty jest całunem nieświadomości.

Tak, perpetuum mobile, już istnieje, już żyje, tu, (pokazuje na czoło) ale tu tylko, bo czyż nie określa pismo święte istot, przed które pereł się nie rzuca, (pauza — kuca głową) Perpetuum mobile!... Ruch nieustający!... Bagatelka może?... Co?... Subtelność mojej maszyny doszła swego zenitu! Oślepiłaby już dziś wszystkich ludzi nauki, powtarzam, nie tej tuzinkowej, jaką się popisywali Newton, Kepler, Kopernik, ale tej wyższej, mojej, gdyby nie gruboskórność osobników mających szczęście mnie dotykać.

Doszedłem już do tego, że na niteczce jedwabiu łut jeden podnosić miał dziesięć funtów. Bloki i kółka były wszystkie gotowe. Trzeba było nieszczęścia, aby mnie w pracowni raczyła odwiedzić moja własna zona! Zona! słyszycie?... Ja, genjusz, mam żonę, czy to nie skandal? I do tego jaką żonę? prostą, wulgarną żonę, z tego tłumu właśnie, który należycie moich zasług ocenić nie umiał i ocenić ich nie zdoła...

Tak, odwiedziła właśnie w chwili, gdym zakładał łut na jedwabną nitkę. Kichnęła, słyszał to kto kichać w tak ważnej chwili, nitka się zerwała i ciężarek spadł na ziemię. Pozbawiony motoru, cały mechanizm w jednej chwili, pod wpływem takiej katastrofy ruszył jak szalony, kółka wpadły w wir niepowstrzymany i połamały sobie zęby (z boleścią) od jednego tylko, od jednego kichnięcia. Owoc mojej dłu

goletniej pracy! dokonanej z benedyktyńską cierpliwością! To się nazywa mieć szczęście! To się nazywa cierpieć za prawdę i genjusz!.. Rozpacz moja nie miała granic, a jednak z tą samą cierpliwością co dawniej, zabrałem się do roboty, z tą samą cierpliwością zacząłem toczyć kółka i wycinać zęby, z góry wiedząc o tem, że genjusz musi mieć cierpliwość, wytrwanie i przygotować się na szykany, ze strony własnej żony nawet.

W mózgu, to tak zupełnie jak w trybunale, każda komórka ma swoje przeznaczenie, to także moje odkrycie; jedna jest od kółek, druga od zębów, a jeśli się gdzie która zawieruszy, bądź zdrów holenderski śledziu, musisz czekać długo, zanim na swoje miejsce powróci. Tak się stało i z komórką, która w moim mózgu miała specjalne przeznaczenie do jednego kółka i z drugą mającą przeznaczenie do jednego zęba. Wyemigrowały one z właściwych sobie regionów, po owem fatalnem kichnięciu mojej żony, powracały, co prawda od tego czasu kilkakrotnie na swoje stanowiska, ale wtedy zawsze jakiś osobnik z tłumu, znów musiał mi wieść w drogę i ludzkość zmuszoną jest cierpieć na tem, pokutować za lekkomyślność jednostki, czekać na odkrycie, które do góry nogami, jak dwa a dwa—cztery, świat przewróci. Boże ty mój jedyny! Śmiejecie się ze mnie, macie za warjata! O! tak

zawsze było, jest i będzie. James Watt, skończył przecież w domu obłąkanych, Kolumb w kajdanach, Galileusz o mało co nie na stosie, a Kopernik także o mało nie pod kłutwą kościoła. A więc i ja mogę cierpieć jak oni, niemniej przeto genjuszem pozostanę. A tymczasem w mej mózgowicy, czuję taki nawał idei i myśli, że mogę was zapewnić wszystkich, jak jesteście tutaj zebrani, że gdybym się był o parę wieków wcześniej urodził, wynalazłbym wszystko to, co dotychczas wynalezionem zostało. Wynalazcy: prochu, melinitu, nitrogliceryny, kanału panamskiego i oleju rycynowego, zostaliby pigmejczykami wobec mojej osoby. Kopernik byłby fuszerem, Archimedes skoczkiem cyrkowym, no! i tak dalej, co to gadać. Zona skrzeczy mi nad głową: wez się do pracy? Ja?! genjusz?!... do pracy? Jak się to państwu podoba? Każcie słowikowi orać, ortu siedzieć w błocie i skrzeczyć, a mnie oddać się pracy za marny kawałek chleba—to jedno. Takie arcydzieło, taki pomysł zniszczyć! nie, za taki czyn w średnich wiekach inkwizycja skazałaby moją żonę na śmierć w płomieniach, o! jakże byłaby błogo sławiona ta inkwizycja! Dziś tłum, z moją żoną, profanuje bezkarnie wszystko, dla czegoż nie ma i moich idei sprofanować? Jemu to wszystko wolno, on wielkim panem. A jednak, gdyby ten tłum chciał pomyśleć przez chwilę, co go czeka, gdy specjalne ko

morki mego mózgu powrócą na swoje stanowisko?!

Przedewszystkiem zapanuje nieśmiertelność, potem ludzie używać będą szczęścia, jak w raju, nie będą potrzebowali oddawać się pracy, bo wszystko moja maszyna za nich uskuteczniać będzie bez ustanku, bez końca.

Tyle wam przynoszę {z wtrziUein) tyle wapi daję, a cóż ty tłumie uczyniłeś dla mnie? Czy zjadłem gdzie kiedy choćby nędzny befsztyk, za który niekazanoby mi drogo zapłacić? czy miałem kiedy kieszeń nabitą złotem?... czy paliłem prawdziwe Alvarez Garcia po rs. i kop. za sztukę?... Czy pokochała mnie kiedy piękna dziewczyna? Nie i nie. Ale ja nawet i tego nie żądałem, bo prawdziwy geniusz i takimi drobnostkami gardzi (nieco czulej). Choć ta Andzia, pokojówka mojej żony, mogłaby doprawdy odczuć wielkość pańskiego genjuszu, przeszłaby przecież razem do nieśmiertelności ze swoim wielkim, genialnym panem, ale czyż ci ludzie mają pojęcie o nieśmiertelności? czyż ten tłum nizki, umie się poznać na wyższych aspiracjach. Przychodzę na proszony obiad na przykład, to co mi dają?... myślicie może czerninę, którą tak lubię, albo bigos myśliwski, którym się zachwycam, lub może bażanta z truflami, który mi tak smakuje?!... Aha! poczekajcie! co ich genjusz obchodzi. Jakaś marną poledwicę, ohydne zrazy

DZIWNÍ

Szkic powieściowy

skreślił

M. Wołowski

LWÓW.

Nakładem autora

.

AGATONOWI GILLEORWI

w dowód czci i miłości mojej.  
tę pracę poświęcam.

Śród czarnych godzin życia, radą swą, dodawałeś mi odwagi, do zniesienia przykrości i niepowodzeń. — Zastąpiłeś mi rodzinę i przyjaciół. Niech ten słaby wyraz mojej czci i miłości ku Tobie, przypomina Ci zawsze tego, który dziś tylko te chwile niestety może w życiu swoim za jasne policzyc, które obok Ciebie przepędził.  
Michał Wołowski.

Kto chciał szukać serca zalet, był ekaran  
Wł. Syrokomla.

I.

Burmistrz małego miasteczka.

Nie uwierzycie, co to za intratna w Kongresówce była posada  
burmistrza małego miasteczka w niedalekiej jeszcze przeszłości.  
Cześć i fortuna, ba nawet i rozum — więc Salomonowe szczęście

łączyło się w tej jednej postaci. Pensya nie zła, dwa do trzech tysięcy — kaszy, mąki, sera, jaj, wszystkiego dostarczą przekupnie; a nuż się zdarzy czy towar nieświeży, czy waga nierzetelna, toć słusznie, by ten, co podstępnie czyha na zdrowie i majątek publiczny, karę na rzecz pana burmistrza zapłacił.

Wszak i okoliczni obywatele względy jego sobie zaskarbić usiłowali, więc parę fur siana i owsa trochę dla koni — czyż można mniejszym kosztem komu się przysłużyć? Jednym słowem posada burmistrza małego miasteczka była to sobie synekura, na którą los szczególnych swoich wyznaczył ulubieńców.

W małym miasteczku O. po nad Narwią, z wielkim dla siebie pożytkiem a ubolewaniem współmieszczan, urząd ten od lat trzydziestu spełniał pan Atanazy Kacper Jacenty trzech imion Weryga.

Co do przeszłości tego człowieka, nic nie udało mi się, po mimo usilnych badań, wyśledzić.

Wprawdzie odbiły mi się o uszy rozmaite wersje, przedsta- wiające w niezbyt jasnych kolorach sfinksowy początek tego czło- wieka, lecz uważam je za złośliwe wynalazki małomiejskich pio-

tkarzy — to tylko wiem na pewno, że pan Jacenty do O. na własne żądanie z takiej samej godności w B. przeniesiony został. Trzeba go było widzieć, jak dwa razy na tydzień w audy- encyjnej sali ratusza judicium dabat. Co za majestyczność! Korzcie się narody! Często wprawdzie zasady prawne trzeba było kułakiem: popierać, by je obżałowany dokładnie pojął i zrozumiał. I trzeba przyznać, że dowody te najbardziej trafiały do przekonania wino- wajeów. Jednym słowem pan Jacenty był burmistrzem, o jakim nigdy filozofom się nie śniło.

Teraz słów parę o małżonce pana burmistrza, pani Honoraci z Jarząbków Weryga. córce niegdyś ś. p. pana Jana Jarzábka miejscowego podsędką. W chwili przybycia pana Werygi do O., pani a podówczas panna Honorata nie zbyt ponętnie wyglądała. Mania — natura postąpiła sobie z nią jak macocha. Lewemu oku rozkazała odwrócić się ku prawemu, a nogom odmówiła równej;: długości i proporcji do noszenia tak wielkiego ciężaru. To też epuzery miasta . utrzymywali, jakoby panna Honorata była ze zowatą i kulawą — i pomimo dosyć znacznego wiana, domu i kilkudziesięciu tysięcy gotówki, nikt się po jej rękę nie zgłaszał. I pewno zostałaby na zawsze starą panną, gdyby nie przybycie do . pana Werygi, który rozważywszy pro, to jest domek, i contra, t. j. zez z przyległościami, nie oświadczył się o jej rękę i na ślubny poprowadził kobierzec.

Nie potrzebuję tu dodawać, jakie zajęcie i złośliwe uwagi obudził fakt ten w mieście. Przez pewien czas na miejscowych mazurach lwy małomiejscy popisywali się z dowcipami kosztem młodej pary, aż powoli rzecz poszła w zapomnienie, zaczęto mówić czemś innym; jakiś nowy falcik godny plotek i obmowy zjawił

się na małomiejskim horyzoncie, i uwolnił pana prezydenta na czas pewien od złośliwych języków.

I znowu w mieście O. szło wszystko dawnym trybem — pan burmistrz jak dawniej w czwartki i piątki udzielał posłuchania obwinionym; a Jakób policyant, jak dawniej, przedmioty sporne i skonfiskowane do domu pana prezydenta odnosił. Pan prezydent dostał żonę lepszą, niżeli się spodziewał. Była to kobiecina dobra, potulna, nabożna i wierząca w niego jak w ewanielję. Jednakże pomimo tej wiary przekonana była, że mąż jej ożenił się z nią li tylko dla domku i kilkudziesięciu tysięcy gotówki. Nie mogła

---

go więc kochać tą miłością, jaka jest warunkiem bytu życia kobiety. Martwiła się więc bardzo i do św. Antoniego suszyła no wenne, a żebrakom skrycie przed mężem dawała jałmużnę, bo ten się gniewał, że demoralizuje miasto, a wszystko na jedne i tę samą intencję, aby mieć co kochać w życiu. Wkrótce też Pan Bóg ulitował się nad temi prośbami i w sam dzień Pożego Narodzenia obdarzył ją synem, któremu na chrzcie dano imię Jerzy. Od tego czasu na horyzoncie pani Honoraty zajaśniało słońce szczęścia. Juruś rósł pod opieką matki na pociechę wszystkich. Chłopiec był dziwnie pojętym i zupełny przedstawiał kontrast z matką co do urody, z ojcem co do usposobienia. I nic już nie brakowało do szczęścia rodzinie szanownego prezydenta, gdy w tem nagle zaszła smutna katastrofa, zmieniająca dotychczasowy porządek rzeczy.

Pewnego podwójnego feralnego piątku, do ratusza przyprowadzonym został starozakonny Icek Sarna, o używanie wag nierzetelnych obwiniony. Jako corpus delicti przyniesiono dwa funty świec, ćwierć funta pieprzu i angielskiego ziela. Po sprawdzeniu na wadze miękkiej przestępstwa, Icek Sarna przewencyjnie w areszcie osadzony a sklep jego zamknięty został. Rychło wieść się rozeszła o tym wypadku, ludność izraelska zatrwożona smutnym losem współtowarzysza, widząc, że pan prezydent tym razem byle czem ubłagać się nie da, w robotę wieczór parlamentować postanowiła. Co dalej zaszło, jak rzeczy się ułożyły, o tem milczą mało miejskie kroniki, dosyć, że Icek Sarna w poniedziałek rano znalazł się za przegrodą ku wielkiemu zadziwieniu obywateli. I znów cisza zaległa, zdawało się bowiem wszystkim, że i tym razem wypadek przejdzie bez dalszych następstw, gdy w tem rezeszła się pogłoska, iż na pana burmistrza z gubernialnego miasta zjeżdża śledztwo. Czy kto z ludzi złej woli, czy też mieszańcy in gremio skargę zanieśli, nie wiadomo; to tylko pewna, że pan burmistrz we środę wieczór wyjechał do L. załagodzić wcześniej zbierającą się burzę. Burzy tej załagodzić nie umiał czy nie mógł, co go tak dotknęło, że wkrótce pani Werygowa z małym Jurusieni dążyła jako wdowa do L.

Otoż tedy mój bohater został sierota. Sierota, ten wyraz

jakoś dziwnie brzmi w uszach naszych; jak to tam dziwnie w sercu się dzieje, gdy człowiek zostaje sam na świecie, gdy zaczyna mu

braknąć tego ciepła, którym go otoczyć mogą tylko najbliżsi, kiedy nie ma kogoś, co by mu podaniem ręki serdeczną i prawdziwie przyjacielską radą wskazywał prostą ścieżkę w krętych drogach życia. Wprawdzie mój Juruś nie został sierotą w najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu, pozostał mu bowiem na świecie jedyny skarb, t. j. dobra i kochająca matka, jednak jemu nie dostawało tej męskiej woli, tego hartu duszy, jakimi tylko obdarzyć może opieka mężczyzny, opieka ojca.

Pani Honorata po śmierci męża w niemałym byta kłopotcie. Mąż jej był zawsze panem domu, wyroki jego były dla niej ewa nielią, a w obecnej chwili nie wiedziała sama, co począć. Juruś dochodził już do tego wieku, w którym książka staje się niezbędną. Pani Honorata, lubo sama nie wykształcona, czuła to dobrze, że dzisiaj człowiek bez nauki wysoko pójść nie może, bo nie potrafi. Pan Atanazy, zostawiając z górą sto pięćdziesiąt tysięcy zło tych majątku, do dalszego kierunku Jurka nie zostawił żadnego rozporządzenia. Mogła wprawdzie posiadając tak silny wabik, jakim jest pieniądz, znaleźć sobie nie jednego ale tysiące opiekunów, lecz kobiecym swym instynktem chciała dla Jurusia za opiekuna człowieka z sercem i z głową. Człowiek podobny jest dzisiaj bibliograficzną rzadkością — białym krukiem; nic więc dziwnego, że i pani Honorata tak łatwo go znaleźć nie mogła. Martwiła się więc bezskutecznie, płakała dniem i nocą i nowenny na nowo wysyła, aby ją Bóg w tak trudnym położeniu. Jakoż Opatrzność zesłała jej wkrótce pomoc w osobie pana Joachima Góry, miejscowego nauczyciela w miasteczku a chrzestnego ojca Jurusia.

II.

Pan Joachim.

Na dwadzieścia lat przed chwilą naszego opowiadania, drogą wiodącą z Ostrołki do Pułtuska, wśród śnieżnej zamieci biegło małe pachole, lat ośm może dopiero liczące, boso, obdarte, z czapką w rękę i łą. która zawisała na rzesach, widocznie wstrzymywała jakąś lepszą myślą.

Postać tego dziecka i otaczający ją krajobraz przedstawiał jeden z tych rodzajowych obrazków, które mimowoli zatrzymują



na sobie oko nasze wraz z sercem. Dziecko szło krokiem przy spieszonym ale pewnym, a doszedłszy do miejsca, gdzie krzyżowały się drogi, zastanowiło się trochę, obejrzało po szerokim świecie i skręciło na lewo, gdzie zdała widniał ubogi kościółek wiejski, a przy nim jeszcze uboższa plebania. Chłopak doszedł do drzwi, otworzył je i stanął przed zdziwionym tak późną wizytą księdzem.

— A cóż to, zapytał, czy do chorego? Gadajże prędzej.

— Nie, proszę jegomości, odrzekło pacholę, prawie niedosły szanym głosem.

— No, więc cóż? Zagadnął staruszek.

Tu chłopie podniosło w górę swoje dwa niebieskie, jak dwie tarki, oczy, spuściło je nazad mnąc czapkę dwoma spracowanymi rękami i łkając bezustannie, siliło się na wyrzeczenie słowa.

— A gadajże bajbasie; cóż tam za nowe nieszczęście, pytał dalej staruszek.

— Ja chcę się uczyć, wyjęknęło łkając pacholę.

— Ty! uczyć? zapytał proboszcz,

— Tak, proszę jegomości, bo mi to mówił Grzegorz, co to .kawał świata schodził, że po za lasem są ludzie, za naszą wioską miasta duże, a to co jegomość mówi na ambonie, to jeszcze nie wszystka mądrość świata.

Zamyślał się pocziwy staruszek, zdziwiony tą mową niezwy czajną i chęcią do nauk wiejskiego chłopaka. Wreszcie jakby koń cząc myśl rozpoczętą, dodał:

— Ha, to dziwna; chcesz się uczyć, mój bracie, mówisz, że mądrość Boża to jeszcze nie wszystko na świecie, — prawda... dobrze... nawet przypuścimy, że pójdziesz po tej drodze, że ja sam ci dopomogę; przejdiesz wszystkie szkoły, wszystkie uniwersyteta, coraz nowe wiadomości zdobywać będziesz, a niepowściągniona żądza coraz dalej pchać cię będzie, i w końcu?... w końcu schwycisz jedno wielkie nic, a sam zostaniesz strudzonym, zwiędniętym kwiatem który już ani barwą, ani zapachem nie bawiac ludzi, zostanie rzu conym na śmiecie ze swoją mądrością świata.

Chłopię zdawało się z tej tak poważnej mowy nic nie poj mować. Staruszek zamilkł, po chwili zaś zapytał:

— A cóż twoja matka na to?

— Matula mówiła mi, że kiedy mi się tak widzi, i tak chcę koniecznie, żebym poszedł do jegomości po radę.

płacząca nia dośpiewa mu reszty dziejów bohaterskiego, powstań czego oddziału. Kicia tymczasem przestała robie robótkę i my ślała także wprawdzie nie o Polesiu, nie o smutnych losach Oksany, ale o młodym lektorze, który do tego czasu nie powiedział jej głośno ani razu słowo „kocham". Gniewało ją to bardzo, czytała bowiem w oryginalnych i tłumaczonych romansach, że zwykle bo

haterzy po trzecim widzeniu się już serdecznie i gorąco palpitują do swych ideałów; a ona — ona tak ciekawa, dziecko tak kapryśne, któremu dotąd niczego nie odmówiono, nie mogła usłyszeć tego. Dzisiejszy więc wieczór wybrała na ostatni podjazd i serce młodego nauczyciela szturmem wzięć postanowiła. Po skończeniu sielanki Joachim spuścił głowę i zadumał się, prawdopodobnie o niebieskich migdałach. Filcia patrzyła nań z uwagą, wreszcie nagle spytała:

— Panie Joahimie, czy pan kochałeś się kiedy?

— Ja, pani? zaczerwieniony odparł nauczyciel. Lecz z kądże to pytanie?

— Ot, tak, dla prostej ciekawości... wreszcie, dodała znacząco po chwili, może mię to bardzo obchodzi.

Joachim był w siódmym niebie, wreszcie wyjąkał po długim milczeniu :

— Miłość, pani, dla mnie, to perła, którą trzeba chować w najskrytszym zakątku, w największej tajemnicy, by ją kto nie skradł i nie zbrudził.

— Oh, jaki pan śmieszny; według mnie, miłość to diament, którym przed wszystkimi pysznić się trzeba, bo roztacza takie same, jak on słoneczne światło.

— Ja inne mam o tem przekonanie.

— Więc pan byś nawet przed osobą, którą pan kochasz, tej tajemnicy nie wyjawiał?

Przy tych słowach zrobiła taką minkę, tak zręcznie mru gnęła oczami, że pan Joachim znalazł się między Scyllą i Charydą swego bytu. Z jednej strony okazała mu się miłość z całym szeregiem upajających epizodów, z cudownym akompaniamentem westchnień, przysiąg, z drugiej strony męką całego życia. Nic więc dziwnego, że wybrał miłość — a zapomniawszy o wszystkich swoich przekonaniach, jednym tchem wypowiedział całe swoje uczucie dla Filci, która z zamyśloną minką i z uśmiechem zado

wolenia na twarzy słuchała go, zapewne porównyując w myśli podobną scenę któregokolwiek z przeczytanych romansów. Wypadek, ten fantastyczny figlarz, psujący nieraz najpiękniejsze ludzkie projekta, i tu wścibić musiał swój ciekawy nosek i pomieszać wszystkie szyki Filci w powodzeniu rozpoczętego dzieła. Pan Fulgenty Nadymalski, ojciec panny Filci, pode drzwiami pokoju wysłuchiwał całej rozmowy córki z nauczycielem, i wszedł tam tylko dlatego, aby podziękować młodemu nauczycielowi za widoczne postępy, jakie jego córka poczyniła w literaturze i dać delikatnie poznać, iż nadal wizyty jego są zbyt częste. Joachim stał jak przykuty na miejscu, słuchając dość długiej mówki pana Fulgentego; wreszcie wzięwszy włożone mu do ręki pieniądze i machinalnie się skłoniwszy, wyszedł. A Filcia? Filcia podąsała się trochę i zapomniała o nim. Wkrótce rozpoczął się karnawał: młodzież poczuwszy nie

małą gotówkę w szkatułce papy i zasmakowawszy w niezłych kołacych, urządzanych przez kucharza Francuza, tłumnie odwiedzała salony państwa Nadymalskich, a Filcia w miejsce jednej żywej lalki z sercem, zyskała kilkanaście lalek z ufryzowanymi głowami.

Joachim tymczasem zgryzł się, zmartwił i zachorował śmiertelnie na tyfus. U Nadymalskich bawiono się, tańczono i spijano szampana, gdy on na nędznym łóżku pasował się ze śmiercią. Po dziewięciu tygodniach przyszedł nareszcie do przytomności. Przy łóżku znalazł zapieczętowany bilecik, roztworzył go więc czem prędkiej i znalazł, co następuje:

„Panie! za tydzień mój ślub. Dowiedziawszy się o jego smutnym położeniu, poczytuję sobie za obowiązek dopomóc mu, spodziewając się, że żart dziecinny nasz zostanie na zawsze w tajemnicy pańskiej. Załączoną sumkę raczysz pan uważać za drobną pożyczkę i takową użyć na swoje wydatki. Filomena.” —Joachim zerwał się na równe nogi, i za chwilę odpowiedź była już gotową.

„Pani! List jak nie mniej zawarte w niem pieniądze, zapewne przez pomyłkę do mnie zaadresowane, — zwracam. Joachim Góra.” Co w piersiach i sercu młodego nauczyciela się działo, to pióro daremnie skreślić by usiłowało. Po wyzdrowieniu zupełnie, schudł, wybladł, wytęśniał a z moralnych sił jego mało co pozostało. Dziś z chęcią wróciłby do tej wiejskiej zagrody, z której wyszedł kiedyś. Matka i proboszcz już nie żyli, a w wiosce

mało kto pamiętał o Joachimie pasącym trzodę. Został więc w mieście, a gdy zawakowała posada elementarnego nauczyciela w O., podał się, i otrzymał niebawem. Opuszczał miasto złamany strudzony, tak jak mu to kiedyś przepowiedział opiekun. Tyle w niem łez wylał i bólu przecierpiał, nie doznawszy ani jednej chwili szczęśliwszej, że dziś wyjeżdżając, nie obejrzał się nawet na mury grodu, z którym go tyle wspomnień łączyło.

Po przybyciu do O., ciekawość, złośliwość małomiejska tych wszystkich, którzy zrozumieć go nie mogli, dokuczały mu jeszcze dosyć długo.

W małym miasteczku ludzie nie lubią zwykle tych, których przeszłości i życia nie znają dokładnie. O Joachimie więc chodzili najrozmaitsze domysły, plotki i baśnie: jedni robili go jakimś bankrutem, drudzy rozbójnikiem. a byli nawet i tacy, którzy dawali słowo honoru, iż nowy nauczyciel nie jest kto inny, tylko Rynaldo Rynaldini, który nauczywszy się po polsku, przywędrował aby ich wyzyskiwać. Przez długi czas opinia miasta O. była przeciw Joachimowi, aż powoli gdy przekonano się o jego poczciwym sercu, gdy ten i ów doznał rady i zasiłku pieniężnego, gdy dzieci zamiast lampartować się po mieście, same prosiły, aby ich do szkółki odesłać — ludziska dali się przejednać, i wkrótce Joachim w miasteczku cieszył się ogólnym uznaniem.

Każdy dałby się za niego, jak to mówią, porąbać w kawałki. Wyższość jego moralną czuli prawie wszyscy. Pan burmistrz nawet,

ów przedstawiciel teroryzmu i bezprawia w mieście, w obecności nauczyciela był zawsze oględniejszym i często w razach ważnych rady jego zasięgał.

W domku za miastem urządził sobie mieszkanie. Po jednej stronie szkołę, po drugiej maleńki pokój napełniony mnóstwem kwiatów, ptaków i książek przeznaczył na swoją siedzibę. Stworzył sobie tam świat, i był szczęśliwym o tyle, o ile nim być mógł a, jak mówił, tchnienie wiosennych piersi wracało mu powoli życie. Dzieci biegły do szkoły jak na zabawę, tak ich umiał zająć i przywiązać do siebie. Całą przyszłość zawarł w tem dzieciennem kółku. Pragnień nie miał żadnych dla siebie, nie więc dziwnego, że taka praca i takie życie wystarczały mu zupełnie. Pomimo tak ciężkiego zawodu w swem życiu, kochał ludzi, chciał im zrobić, ca mógł najlepszego; chciał podnieść ich moralną wartość i przyznać

należy, że z młodem pokoleniem udawało mu się to zupełnie. Ta kiemu to człowiekowi, z taką przeszłością wypadło być przewodnikiem mojego bohatera. Jak go poprowadził przez drogę życia, ujrzymy później.

### III.

Juruś.

Na szerokim świecie naszym, gdyby przejść od końca do końca, jak ongi Dyogenes z latarką w ręku. mało zaiste znaleźć by można ludzi, mających dobro drugich na celu. Każdy z nas, mniej więcej kręcąc się w egoistycznym kółku, mało myśli o innych a, stawia za bożyszcze swoje ja i bije pokłony temu ja.

Pan Joachim był jednym z tych ludzi, przed którymi najnie zawodniej zatrzymałaby się latarka Dyogenesa. Za przykrości i cierpienia w życiu, nie czuł żadnego żalu do ludzi. Winę składał zawsze na siebie, a czyniąc innym dobrze, uważał to za swój obowiązek . niejako za spłatę długu, który zaciągnął w społeczeństwie, a którego nie spłacił. Nic nie umiałem, mawiał. Opiekun mój podniósł mnie i dał mi sposób do życia, jedynie w tej tylko myśli, bym to jego dobrodziejstwo innym wrócił z procentem.

Skoro wieść o śmierci pana Atanazego rozeszła się po mieście, nasz pan Joachim zaraz podążył złożyć wizytę i pocieszyć w nieszczęściu biedną wdowę. Został modlącą się, Jursia zaś siedzącego w kątku i zaczytanego w jakiejś książeczce. Długie, czarne loki, oko jasne, niebieskie, czyniły chłopca dziwnie ładnym, dziwnie poetycznym. Zdawało się, że ta młoda dusza na skrzydłach tego promienistego oka poleci gdzieś pobując, tak jej tam czegoś ciasno było w piersiach. Od pierwszego wejrzenia czuleś jakąś dziwną sympatyę ku temu dziecku.

— A! pan Joachim, zawołała uradowana pani prezydentowa, ujrzawszy wchodzącego nauczyciela.

— Tak pani, to ja przychodzę dzisiaj, aby cię pocieszyć w nieszczęściu, którego doznałaś.

— Pocieszyć? Mój zacny panie, któż mnie pocieszyć zdoła; przyjął ten cios od Boga z pokorą i godzę się z moim losem, to tylko mnie martwi, że nad Jurusiem nie będzie kto miał czuwać.

— Oh! odparł nauczyciel, czyż się godzi tak mówić przy mnie? Jakto, sądzisz pani, że ja mógłbym zapomnieć o tobie i twoim synie dziś, dziś zwłaszcza, gdy jesteś w takim położeniu?

Wracasz mi, drogi panie, życie. W marzeniach moich zawsze wprawdzie naznaczałam cię opiekunem Jurka, ale nigdy nie ośmieliłabym się prosić o to, gdybyś sam tego nie zaproponował. Jurku, dodała zwracając się do zaczytanego chłopca, podziękuj swojemu przysłanemu opiekunowi. — Jurek się podniósł i powoli poszedł do Joachima.

— Cóż chłopcze, zagadnął go tenże, masz ochotę się uczyć?

— O i wielką, odparł zagadnięty.

— A umiesz już co ? ,

— Umie wiele pięknych rzeczy,

— Pięknych? rozpoczął na nowo nauczyciel. No, proszę, a jakież to piękne?

— Bajki o zaklętej królewnie i o kwiatku paproci.

— I o kwiatku paproci umiesz także?

— O, umiem jeszcze wiele innych. Znam abecadło, umiem składać i czytać wyrazy. Mosiek przecię twierdzi, iż na takiego małego chłopca jak ja, to bardzo wiele! zakonkludował rezolutnie. Matka wpatrzona w Jurka, słuchała tego szczebiotu z zachwytem; Joachim także zapatrzył się gdzieś w przestrzeni i rozmyślał. Jurek tymczasem wrócił do swojego kącika i przerwanej literatury. Po dość długiej pauzie Joachim zwracając się do pani Honoraty, tak zaczął:

— Kochana moja pani, przyszedłem tutaj w tej myśli, aby ci zaproponować opiekę moją nad Jurkiem. Chcę go zrobić czło-  
wiekiem tak, jak mnie niegdyś zrobiono; lecz co do kierunku jego wychowania, porozumieć się wprzód musimy. Ja zdaje się mam trochę dziwne wyobrażenie o świecie i o ludziach, może ty pani na nie się nie zgodzisz.

— O! panie, przerwała mu Honorata, ja znam twoje przekonania. Ty mi ich powtarzać nie potrzebujesz. Tu wszyscy ciebie znają.

Nie, pani, posłuchaj mię. W życiu ludzkim są dwie drogi, które się rozchodzą w dwa wprost przeciwne kierunki, dwa punkty leżące na krańcach dwóch przeciwnych sobie biegunów. Jeden z nich — to serce, drugi to kreda. Wychowanie może jeden lub

drugi kierunek rozwinąć lub przytłumić. Idzie więc o to, który z tych dwóch kierunków wybrać. Jeżeli weźmiemy ten pierwszy,, ja go tą drogą poprowadzić będę w stanie, lecz czy on znajdzie z nim szczęście, nie wiem. Drugiego przeciwnego kierunku jabym mu nadać nie potrafił, nie umiał, i gdybyś takowego wychowania dla swojego syna pragnęła, ja swojej opieki byłbym zmuszony odmówić.

— Jako kobieta mało rozumiem się na tem. Chcę widzieć mojego syna takim, jakim ty jesteś, panie Joachimie; ucz go więc,, prowadź i wskaż mu drogę, aby zyskał sobie na świecie takie imię,, jakie ty posiadasz.

— A czy wiesz pani, jaką drogą doszedłem do tego imienia? Czy wiesz, ile łez, ile cierpień przebyłem, zanim zdobyłem sobie tę trochę spokojności, którą posiadam? I sądzisz może, że jestem szczęśliwym? domagasz się odemnie pani, abym syna twego na takiego, jak ja, dziwaka wyprowadził? Zajrzyj tam pod skorupę do serca, pod czaszkę do mózgu, a ujrzysz, jaka tu i tam próżnia.

— Ludzie tak cię cenią! dodała nieśmiało pani Honorata.

— Ludzie \_\_\_ ludzie, ciągnął dalej Joachim, ja dla nich ni gdybym nic nie zrobił; co robię, robię tylko dla siebie, dla swego wewnętrznego zadowolenia, dla tego czuję potrzebę robić tak,, a nie inaczej. Chcesz pani zrobić swego syna sławnym, na co? po co? dla czego? Przyjrzyj się wszystkim ludziom sławnym na świecie, kiedy zyskali tę sławę? Kończąc życie na łóżku w szpitalu,, albo w domu obłąkanych. Ja także chciałem być sławnym, na skrzydłach młodzieńczej fantazyi biegłem aż pod niebiosa, na ta tylko , aby spaść niżej na ziemię. W tych marzeniach widziałem siebie uwieńczonym, otoczonym aureolą sławy, a widzisz pani, czy te marzenia sprawdziły mi się choć w części? I mnie nad kołyską nucono piosnkę marzeń, i mnie nabijano głowę bajkami o zaklętych królewnach i kwiatku paproci. A widzisz pani, dosyć było jednego pośliznięcia się nogi na świecie, jednego nieszczęścia, aby zyskać tu chłód a tu łysinę, zakończył wskazując na serce i na głowę.

— Tak, lecz to moralne wewnętrzne zadowolenie — wtrąciła nieśmiało pani Honorata.

— Wewnętrzne zadowolenie? Masz pani rację, lecz któż co zaręczy, że twój syn, jeżeli pójdzie tą drogą, jaką ja poszedłem..

wytrzyma tak nieszczęście, jak ja je wytrzymałem; kto cię upewni, że go takie ciosy nie zabija?

— Rozumiem cię, panie; mówisz prawdę, ale ja zawsze prosić

cię będę o twą opiekę dla Jurka... prowadź go tak, jakbyś prowadził swego własnego syna, i kochał go tylko, a miłość ta wskaże ci z pewnością kierunek pielgrzymki. ,

— Chcesz pani, więc dobrze; lecz wierz mi, stokroć lepiej byś uczyniła, gdybyś dawszy mu kredkę w rękę, uczyła tylko li czyć na świecie.

W tej chwili Jurek przestał czytać książkę i pobiegł do okna, gdzie go krzyk jakiś zainteresował. Na ulicy klóciła się grupa chłopców, z których jeden trzymał w ręku złapanego ptaszka, inni usiłovali mu go wydrzeć.

— Marno! marno! zawołał Juruś, patrz, co oni robią; złapali ptaszka i męczą go niegodziwcy. Każ, proszę, niech mi go Jakób przyniesie.

Na te wyrazy Joachim wstał z krzesła i z zajęciem wpatrywał się w twarz zaambarasowanego chłopca. Tymczasem matka wysłała służącego, który ptaka od chłopca nabył i do rąk go Juruśowi przyniósł.

— Biedny mój ptaszku, leć, leć sobie żywo, tobie już tęskno do mamy, zawołał Jurek i, otworzywszy rękę, wypuścił ptaka na wolność.

W tej chwili Joachim i matka jak gdyby jedną powodowani myślą, pobiegli, aby uściskać Jurka.

— Patrz, patrz pani, choćbyśmy chcieli, już go przez życie nie poprowadzimy inną drogą serca; on sam sobie ją wybrał, sam ją wskazał.

— Więc go prowadź pan, ucz i kochaj, zawołała pani Honorata. Niechaj będzie człowiekiem w całym znaczeniu tego wyrazu; naucz go tak żyć, jak sam żyjesz, tak kochać, jak kochasz i tak mężnie cierpieć, jak sam cierpisz, resztę powierzmy Bogu, przył szłości.

Długo jeszcze, o bardzo długo gawędził pan Joachim z panią Honoratą o przedmiocie wychowania Jurka. Pani Honorata pozo stawiła mu dokumenta i papiery pozostałe po mężu, oraz siedm dziesiąt tysięcy gotówki. Pan Joachim wyszedł od niej wzruszony i rozgorączkowany. Wspomnienia, które podczas rozmowy przywo

łał na pamięć, rozmarzyły go i uczyniły go dziwnie jakoś ponu rym ; poszedł więc za miasto i tam długo jeszcze rozmyślał o przy szłym swoim elewie.

Oto znów nowy człowiek dla świata, myślał. Z tych młodych piersi czuć ogień, który zagaszą; czuć polot wyższy, który zwichną. Gdyby można jednak przytłumić w nim to wszystko, co go może zniechęcić... ale to się nie uda. Ha... trudno; będę strzegł go na każdym kroku, wskażę wszystko, co go odstręczyć jest w stanie, chcę zrobić z niego człowieka z rozumem i sercem.

Pan Joachim widocznie nie wiedział dokładnie, jak trudno te dwa pierwiastki z sobą połączyć, aby z nich wyszła harmonijna mieszanina. Jeden z nich zawsze przeważać musi, bo co rozumne,

jest zawsze sen owe, a co sercowe, nie zawsze rozumne. Po dość długiej wędrówce i rozmyślaniu, gdy gwiazdy zaczęły się już na niebie ukazywać, machnąwszy kilka razy ręką, p. Joachim podążył z powrotem ku domowi. Tu dał jeszcze jeść ptakom, przed domem polał kwiatki, a następnie udał się na spoczynek. Co mu się śniło, tego ciekawe ucho powieściopisarzy nie było w stanie dosłyszeć. Lecz snąc marzył niespokojnie, bo na drugi dzień widziano go nierównie bledszym, nierównie mizerniejszym.

Jurek wkrótce z domu matki został przeniesionym do szkoły i nie widziano odtąd nigdy nauczyciela samego, lecz zawsze w jego towarzystwie.

Pocziwe serce chłopca, chęć jego do pracy, bystre pojęcie uczyniły rzeczywiście szczęśliwym p. Joachima. Powoli zapomniał o swoich bolach i cierpieniach a żył tylko, można powiedzieć, od dychała Jurkiem. Trzeba to było widzieć, z jakim to zachwytem wpatrywał się w niego, jak go cieszył każdy postęp w naukach malca, jednym słowem uczuwał radość prawdziwego ojca. Lecz nie stety p. Joachim wychowywał Jurka na takiego, jak sam był, marzyciela. Nie starał się czy nie umiał wlać w jego duszę odrobinę tego realizmu, który przy dzisiejszych pojęciach staje się koniecznym, którego ostatecznie on sam nie posiadał. Ucząc go, zamiast przytłumić tak wybujałą i wygórowaną fantazję, coraz wyżej podnosił kamerton uczuć, który kazał się spodziewać w ostatku dysharmonii. Po trzech latach nauki, Jurek stał się we wszystkim podobny do swego nauczyciela; kochał wszystkich i chciałby się wszystkim

z ludźmi podzielić. Przyszedł czas, że trzeba się było wybierać do gimnazjum.

Tu p. Joachim chcąc chociaż w czystości naprawić błąd, którego się dopuścił przy jego wychowaniu, oparł się stanowczo temu, aby pani Honorata z synem w L. zamieszkała.

— Niech idzie do ludzi, oni go tam trochę utemperują. Niech idzie sam. I pomimo łez matki, Jurek został do szkół wysłany. Tu był on jednym z najpierwszych uczniów, kochali i przepadali za nim wszyscy, lecz pomimo tego dali mu przydomek dziwnego. Dla czego?... Oto Jurek miał serce. Wszystko co posiadał, oddawał biednym, a gdy nie stało fundusików przeznaczonych mu przez matkę, a widział nieraz potrzebujących, to nawet sprzedał odzienie, bieliznę i t. d. Zwykle przyjeżdżał do domu na święta w tym tylko, w czym był ubrany. Pan Joachim się gniewał, matka płakała, ale Juruś tak wszystkich umiał rozbroić, tak ładnie poprosić, że nauczyciel i matka przebaczyli mu te błędy; rzeczy sprawiły się na nowo, aby odbyć taką samą wędrówkę jak poprzednio.

Raz, było to zimą, Juruś był już na ukończeniu gimnazjum i lubił pasyami marzyć; wychodził więc w którąkolwiek z oddalonych dzielnic miasta, i tam dumał, a nawet, jak się sam często przyznawał najbliższym swoim przyjaciołom, płakał. W jednej



z takich wędrówek swoich, zapędził się dosyć daleko za miasto. Na uboczu stała pochylona i uboga chatka. Juruś uczuł pragnienie, i tam swoje zwrócił kroki, lecz jakież było jego zdziwienie, jaka go zgroza przejęła, gdy w chacie zastał na nędznym tapczanie leżącą kobietę a przy jej piersiach ujrzał niemowlę, które daremnie ssało pierś matki. Młodym jego oczom pierwszy raz przedstawił się tak straszny obraz nędzy, zamiast więc żądać wody, stanął jak wryty nie wiedząc, co z sobą ma począć.

— A kto tam, zajęczała kobieta.

— To ja, wyszeptał Juruś; eo to wam matko?

— A! Panie, przychodzisz mię zapytać, co mi jest — nędza...

nędza paniczu. Mąż zmarł przed miesiącem, ja także zaniemogłam — dziecko chce jeść — pracować nie mogę, bom chora.

— Ja też przychodzę wam dopomódz, biedna kobieto; mało tu mam przy sobie pieniędzy, ale ot weźcie ten burnusik i sprze dajcie go. — Wystarczy to wam na dni parę, a ja później więcej przyniosę.

To mówiąc, zdjął z siebie szybko burnus, rzucił go na tapczan, nie czekając na podziękowania chorej, i w lekkim tużurku w śród trzaskającego mrozu wyruszył ku miastu.

Święta Bożego Narodzenia się zbliżały. Jurek z powodu braku burnusa ani na krok z domu nie wychodził a co gorsza, zmuszonym był pozostać na zbliżające się święta, gdyby nie dość szczęśliwy pomysł jednego z kolegów. Ze wszystkich akcesoryi Jurka pozostała mu tylko jedna kołdra, zaproponował więc mu, aby go w nią zwią zawszy zaszyć jak mumię egipską, i zostawiwszy tylko otwór do oddechania, tak odesłać do domu. Jurek propozycję przyjął i za aprobował w zupełności.

Proszę sobie wystawić zdziwienie matki i p. Joachima, gdy się w takim stroju przed ich oczyma ukazał. Pani Honorata roz płakała się bardzo, a p. Joachim rozgniewał się na seryo. Lecz, kiedy przyjechał jeden z kolegów i rzecz całą wyjaśnił, to tak matka jak i nauczyciel dali się wkrótce przebłagać.

I cóż myślicie, co o tem mówiono po miasteczku? Ot doprawdy głupi, dziwny chłopiec, siebie samego mrozić dlatego, że się tam komuś jeść chciało ; to trzeba na to co najmniej być waryatem. Tak to zwykle świat przyjmuje wszystkie popędy serca, tak je ceni i sądzi, bo nie może pojąć, jak można swoje ja na drugim postawić planie.

Takich i tym podobnych historii w życiu mojego bohatera wiele naliczyć by można. Matka cieszyła się temi objawami serca, a p. Joachim martwił, pocieszając się tą myślą jedynie, że świat i ludzie później nadadzą może inny kierunek popędom jego wy chowańcy.

Przyszła nareszcie oliwiła opuszczenia gimnazjum; Jurek na pisał list do matki i opiekuna: „Mateczko moja i drogi mój opie kunie! Za dni parę kończę już nauki przygotowawcze; mam więc

wstąpić w świat jako. człowiek... człowiek dojrzały, Coś mię ciągnie do tego świata; wszystko mi się w uim uśmiecha, bo widzę jasno wszystkie te prawdy, których nauczyłeś mię jedyny opiekunie, i ty serdeczna matko moja. Na zakończenie roku mam mieć pożegnalną mowę. Już ją napisałem; mówią, że nie zła, tylko zanadto wybujała i serdeczna. Mój Hoże, czyż mógłbym inaczej napisać? Wstępując w świat, tyle myśli nasunęło mi się na pamięć, tyle uczuć przeszło przez duszę; wszystko co chciałem wypowiedzieć, wypowiedziałem.

Droga moja matko i ty mój nauczycielu, przyjedźcie na tę ważną chwilę dla mnie, pierwszy raz będę mówił głośno w obecności licznego zgromadzenia. Pierwszy krok na scenie życia chcę po stawić śmiało, lecz krok ten niechaj pierw wasze ręce pobłogosławią krzyżykiem."

Na takie wezwanie pani Honorata i p. Joachim pospieszyli natychmiast do miasta i na drugi dzień byli obecnymi na uroczystym akcie, (My wszystkie odbyły się już popisy, Jurek wystąpił na wzniesienie i zaczął mowę. Wszystko co było w niej zawarte, czuć było sercem. Kończył tak: „Tam za progiem tej cichej przyślani, szumiące bezbrzeżne morze, jak mówią, morze grożące co chwila rozbitciem; lecz czyżmy pełni sił i moralnego zdrowia — pełni młodzieńczego życia mamy się tych burz i rozbitcia obawiać?

A więc

Siniało do łodzi

Słonko nam wschodzi

A z nami Bóg!"

Całą tę mowę wypowiedział z takim przejęciem i widocznym wzruszeniem w głosie, że ledwie zdołał ją dokończyć. Po zejściu z wzniesienia, matka i nauczyciel wyrwali go sobie z uścisków. Tak się skończyła pierwsza część życia mojego bohatera. Śmiało szedł w życie, jak się sam wyraził; — słońko wschodzić mu za czymś. miał wiec wszelkie widoki powodzenia.

IV.

Warszawa.

Warszawa... stolica— świadek tak boleśnie przyciśnionej przeszłości, ileż ma w sobie uroku dla tych , którzy po raz pierwszy zbliżają się do niej? Jakaż pierś. jakie serce nie zadrży, jaka myśl na widok tych murów nie przeniesie się w przeszłość aby podumać na ruinach wielkości? Mury te mają coś tajemniczego W sobie, coś, co przejmie cię od stóp do głowy dreszczem, co cię zachwyca i w osłupienie wprawia.

Dziś dla tych, którzy ją widzieli wśród gradu kul, wśród ; bohaterskiej obrony lub krwawej rzezi, zdaje się być zasmuconą, matką, której łzy spływają w srebrzyste tale cudownej Wisły; dla tych powtarzam Warszawa ma urok dzisiaj tylko pamiątki, lecz

dla młodego naszego pokolenia jest jeszcze prócz pamiętki, miastem europejskim. Ucisk i nędzy na każdym wprawdzie, spotkać można miejsce, lecz za to przystrajano ją w nowe szaty, i usiłowano na dać wdzięk nowy. Poprzerałoby ulice i zamieniono chociaż tylko z wierzchu na europejską elegantkę. Wprowadzono mnóstwo świeżego żywności, zrobiono miastem hałaśliwym. Skoro postawisz nogę na tym gruncie, czujesz jak ci się w oczach kręci. Ten szum, ten hałas robi na tobie takie wrażenie, jakby był po wypiciu kilku butelek starego wina — każdy się spieszy, każdy dąży za jakimś interesem, Ty jeden jesteś jak intruz w tym mrowisku. Rok — niedalekie toczy się, każdy z nas je pamięta mniej więcej. Uspione przez pewien czas życie narodowe zaczęło się objawiać. Zaczęto się modlić, zaczęto śpiewać w kościołach patryotyczne pieśni, młodzi krzyczeli się, zbierała po domach, uczyła strzelać do celu, robić broń, jednym słowem wszystko wskazywało przedświt jakichś niezwykłych wypadków. Z przyjazdem Wielopolskiego utworzono szkołę główną i do niej tłumem rzuciła się młodzież.

Pan Joachim na wszystkie te ruchy patrzył okiem młodego entuzjasty i przekonania te same wpoił w Jurka. Jurek kochał ojczyznę, kochał namiętnie, fanatycznie i bieżące wypadki tłómaczył sobie tak, jak wielu innych młodych ludzi. Świeże wypadki uczyły go jeszcze więcej marzycielem, jeszcze więcej tę miłość spotęgowały. Znalazłszy się na bruku warszawskim, sam nie wiedział, co z sobą ma zrobić. Był oszołomiony tym olbrzymim chaosem, tym nieskończonym harmiderem. Wsiadłszy z wagonu, udał się do jednego z hoteli warszawskich, a tam przebrawszy się z podróży, wyruszył na miasto. Ze spuszczoną głową, smutny, zamyślony szedł krakowskim przedmieściem. Świeże wspomnienia domu, matki, nauczyciela i znajomych nastroiły myśli jego na smutną nutę. Szedł machinalnie przez ulicę nie zważając na wszystko, co go otaczało. Rozmyślał nad tem, co się działo w kraju, i co sam ma robić — dotąd bowiem myślano o tem za niego.

Pan Joachim puścił go znów samego do Warszawy dlatego, aby, jak się wyrażał — dać mu bliżej poznać ludzi. Świeżo założona szkoła główna warszawska otwierała pole dla młodzieży do wyższego kształcenia się. Jurek, jak już wiemy, skończył gimnazjum i dla niego szkoła główna była celem przyjazdu; szło tylko o to, jaki wybrać fakultet.

Pan Joachim radził medycynę, wystawiając ile to dobrego na świecie zrobić można nieszczęśliwym, będąc doktorem; Jurek też po części ku tej nakłaniał się propozycyi.

Jak długo tak chodził i dumał, trudno to zaiste odgadnąć, rzecz to pewna, iż z krakowskiego zaszedł na koniec alei belwederowskich, a jeszcze nie myślał o odwrocie. Nagle z ubocznej ulicy wyszedł młody człowiek, a postrzegłszy Jurka, powiódł po uim oczyma, postąpił parę kroków ku zamyślonemu i uderzył go po ramieniu. Jurek obejrzał się i zawołał:

Katon!

— Dziwny, ozwało się jednocześnie z dwóch młodych piersi, i tak Jurek, jak nasz nieznamy spolił ramiona w tym szczerym serdecznym uścisku niekłamany, do jakiego zdolne są tylko młode dusze.

— Co robisz mój dziwaku?

— Ha! nic; przyjechałem na uniwersytet.

A ty?

— Ja także.

— Gdzież mieszkasz?

— Dotąd nigdzie, a właściwie w hotelu.

— No jakże ci się podobała Warszawa?

— Tak — dosyć, lecz jam ją sobie inaczej wystawiał. Są dziłem, że to miasto świętości, a od pierwszego mojego kroku po czułem dziwną woń stęchlizny.

— Eh! nie dziwacz do licha; czyż nie wiesz, że mamy teraz gości? Ale da Ióg, że się to wszystko zmieni i przecie polityczny byt zajaśnieje dla nas. Margrabia z Petersburga przywiózł nam łaski.

— Łaski!? Albożmy ich potrzebujemy? We własnej sile po winniśmy ich szukać, a nie w protekcji margrabiego.

— At, co ty mi gadasz! Wiesz, że jestem Katonem, rozumowania więc twoje, choćbyś chciał „bratku, nie przekonają mnie wcale; jestem czysty jak złoto, ale patrzę na świat nasz nie z dziwnego stanowiska, lecz ze stanowiska zdrowego rozumu. Margrabiego cenię, bo widzę w nim jedyne go człowieka, który tę hałastrę wstrzymać potrafi. A oni co?! pchają ją na oślep, prowadzą w przepaść, w bezdeń i na takich słomianych podstawach chcą budować gmach wielkości narodowej! Nie... taką drogą nie dojdziemy do niczego.

No — dajmy pokój — takie polityczne spory "do niczego nas nie doprowadzą, odłóżmy to na inny czas; a teraz powiedz mi, gdzie mieszkasz? Ja dotąd nie mam mieszkania i chcę się gdziekolwiek zawieść.

— Wiesz, jakie to wielkie szczęście, że mnie spotkałeś.

Masz pieniądze?

— No naturalnie... któż do Warszawy przyjeżdża bez pieniędzy? Może ci potrzeba?

— Eh! schowaj swoje pieniądze do kieszeni. O ile sobie przy

pominam, nawet w gimnazjum nie należałem do tych, co cię z nich obdzierali, chcę ci tylko wytłómaczyć, że podwójnem jest dla ciebie szczęściem spotkanie ze mną. Primo, wynajdę ci pomieszkanie, o jakim twa dusza nie marzy; secundo, nie pozwolę wydawać ci tyle pieniędzy, ile byś wydał sam tutaj siedząc.

— O kochany mój Katonie, czemu ci za to wszystko odwdzięczę?

— Tylko proszę... bardzo proszę; wiesz, że ja tych komplementów nie lubimy. Siedzieliśmy przez siedm lat na jednej ławie, dokazywaliśmy razem i dziś to, co jest moim obowiązkiem, ty uważasz za jakieś grzeczności? Chodź, zaprowadzę cię do naszego mieszkania; zapoznam cię zresztą z kompanią i tam zamieszkasz w pokoju między nami.

To mówiąc zwrócił wraz z Jurkiem w stronę krakowskiego przedmieścia, przeszedł Świętojańską ulicę i udał się w stronę Starego miasta. My zaś wyprzedźmy ich na chwilę i zajrzyjmy na czwarte piętro do kamienicy znanej pod nazwiskiem „Iwa Rozdartego”.

To czwarte piętro, podobne zresztą do wszystkich czwartych pięter, w wnętrzu swoim przedstawiało dość oryginalny widok. Cztery rzędem poustawiane łóżka, na środku stół, na nim parę kawałków niedojedzonego chleba, butelka spełniająca funkcję lich tarza, szczotki do butów, mnóstwo książek i papierów, oto całe bogactwo jego mieszkańców. Pokoik ten, jak to widzieć można było z liczby czterech poustawianych łóżek, był zamieszkały przez czterech młodych ludzi, przybyłych z różnych stron ziemi naszej.

Na drzwiach przyklejony był kawałek papieru białego, na którym wypisanymi były półtora calowemi, kaligraficznymi literami

następujące słowa: „Trzy prawdy, w które każdy wierzyć i wiedzieć powinien pod utratą zbawienia.”

„My niżej podpisani obowiązujemy się i stanowimy raz na zawsze i po wszystkie wieki eo następuje:

I. Jedność, zgoda i braterstwo ma panować w gronie naszym.

II. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

III. Ponieważ dowiedzionem jest, że gdzie się wmieszają bogactwa, tam najpiękniejsze przedsięwzięcia spaczają się muszą, przeto postanawiamy, iż, jeżeliby któremu z nas przyszła myśl za kochania się, z grona naszego wyłączonej zostanie.

Podpisano: Cezar, Sokrates, Mozart, Katon.”

Teraz przystąpmy do bliższego zaznajomienia się z tymi czterema młodymi ludźmi.

Pierwsze łóżko od okna zajmował najstarszy ze zgromadzenia, Cezar. Stary wyjadacz, medyk; łysina zaczęła mu przeświecać, nos orli, oko bystre, włosy ciemne i coś imponującego w twarzy nadało mu pewną majestatyczność w postawie; w zdaniach swoich był zawsze stanowczy. Nigdy się nie zawahał przed niczem, i nie namyślał przepląć Rubikon lub nie, ztąd też przez współloka

torów swoich Cezarem nazwany został.

Drugi z kolei Sokrates, z powodu swego kontemplacyjnego usposobienia zyskał miano greckiego filozofa (chodził na filozofią i rozpowiadał wszem w obec i każdemu z osobna o nowo przez siebie wynalezionym systemacie filozoficznym, który dotychczasowemu myśleniu i przekonaniu miał zadać cios stanowczy).

Trzeci, była to dusza zupełnie inna od tych poprzednich tak co do usposobienia, jak i co do powierzchowności. Mozart był dzieckiem ludu, miał skrzypce i na nich grywał, a tak umiał podchwycić ducha melodyi naszego ludu, tak grać serdecznie, że Cezar nawet, ów pobójczy Cezar schylał głowę przed tą muzyką. Dostyc było spojrzeć na Mozarta, aby w uim odgadnąć artystę. Włosy blond długie, spadające pierścieniami na ramiona, oko czarne ogniste, wzrost średni, czoło wyniosłe, nos grecki, biała nadzwyczaj cera, oto mniej więcej powierzchowność Mozarta.

Czwarty nakoniec, był to przewodnik Jurka, równy z nim wiekiem, dwadzieścia dwa lat bowiem zaczynał, był od niego nieco wyższy, więcej silniejszym barczystszym — na twarzy malował się pewien upor. Rył purystą w całym znaczeniu tego słowa, wszyst

kim mówił prawdę w oczy, kłamstwem się brzydził, ba nawet żar tem nigdy nie skłamał piorunował przeciwko obecnym czasom, a chwalił dawne, i wciąż mawiał: Jeżeli czasy ide zmieniają się, ja żyć nie będę w tej dusznej atmosferze, i zład Katonem nazwany został. W przekonaniach swoich równie jak Cezar był nieugiętym, raczej dałby się w kawałki porąbać, aniżeli by się zdecydował zmienić swoje zdanie.

Do takiego to towarzystwa dostał się Jurek, Dyli to chłopcy młodzi, w żyłach ich płynęła krew świeża, gorąca, nieskażona jeszcze żadną przymieszką.

— Niegodna istoto, bezczelność twoja nie ma miary; jakto? wiedząc, żeśmy od dwóch dni nic nie jedli, tyś śmiał w walizce swojej ukrywać półtora łokcia kielbasy, wołał zapyrzony Cezar stojąc na środku pokoju.

Jak Boga kocham, wierz mi, nie wiedziałem o tem. tłu maczył się z pochyloną głową Sokrates.

Tak?! cudownie, to twój nowy transcendentalny systemat, żeby kielbasa w kuferku ześniedziała, a my tutaj cierpieli męczar nie Tantala. Mozart masz tu twoją część kielbasy, a ja mam drugą, dla Katona trzecią, a ty będziesz patrzył na nas, jak będziemy jedli i myślał o twoim transcendentalnym systemie.

Na tak krótką wyrocznię Sokrates posmutniał, czyli, jak się Cezar wyraził, nos na kwintę spuścił. Wreszcie zaniósł replikę: Ależ na Doga Cezarze! ja już od trzech dui prawie nic nie jadłem; Marcinowa, przekupka dała mi na kredyt ten kawałek kielbasy jeszcze przed tygodniem, schowałem ją na cięższe czasy, i teraz wierz mi, że zapomniałem.

— Co mi tam twoja Marcinowa, nie dostaniesz ani kawałka.

Mozarcie, urznij mu od ucha „włazł kotek na płotek”, niechaj tony twojej boskiej muzyki wynagrodzą mu kawał stęchłej kiełbasy. Sokrates zaczął dowodzić swym transcendentnym systematem, że muzyka niezdolną jest zastąpić w żaden żywy i umarły sposób jedzenia, gdy w tem drzwi się otworzyły, i w nich ukazał się Katon wraz z Jurkiem.

E viva, zawołał! Cezar, a gdzieżeś się włóczył? Wyobraź sobie ten niegodziwy Sokrates transcendentnym sposobem ukrył przedemną a raczej przed nami kiełbasę.

— No potem o tem; mam teraz ważniejszą kwestyę do przedstawienia szanownemu zgromadzeniu. Oto przedstawiani wam Jerzego Werygę, poczciwego i zanego chłopaka, który chce mieszkać między nami. Czy zgadzacie się na to?

— Skoro ty go przyprowadzasz, zgadzamy się w zupełności, zawołali chórem.

— No kiedy tak, niechże was zapoznam; patrz Jurku, oto Jan Wilcz vulgo Cezar, przyszła znakomitość medyczna, szef naszej ligi; dalej ten Stanisław N. wynalazca nowego systematu, człowiek mający skłonność do astronomicznych obserwacyi, a jak się przed chwilą dowiedziałem, człowiek niebezpieczny dla państwa, posiada bowiem defraudackie zdolności, gdyż zdefraudował kiełbasę. Na koniec ten Wincenty Wujcik, przyszły europejski maestro, co najmniej Mozart, jak go tu w przewidywaniu przyszłości mieliśmy szczęście nazwać; ot całe nasze grono.

— A przepisy, zawołał Cezar.

— Wiem, wiem już, mówiłem z nim o tem, i przyrzekł je spełnić jak najakuratniej, obejdzie się więc bez tej ceremonii odparł Katon.

Jurek słuchał oszołomiony tej rekomendacyi, spoglądając ze zdziwieniem i ciekawością na Katona i jego kolegów. Nareszcie po małej pauzie odgarnął z czoła włosy i tak odparł:

— Panowie! Przychodzę do was, abyście mnie w swojo przyjęli grono. Przyjmcie więc, a przyjmcie mnie z takim sercem, jakie ja wam ofiaruję.

— Hurra! zagrzmiało z wszystkich piersi, i Jurek ujrzał się podniesionym czterema silnemi rękoma do góry.

— A jakże cię nazywają, huknął Cezar.

— Dziwnym, objaśnił Katon.

— A twoje przekonania polityczne? ciągnął dalej Cezar.

— Nieco odmienne od twoich, lecz równie polskie, równie zacne, dorzucił znowu Katon.

— No więc nie tracąc czasu, przenoś się do nas.

— Wtej chwili, odparł Jurek; jedziemy Katonie do hotelu dorożką i sprowadzamy się tutaj.

— Co? dorożką! — zainterpelował Cezar.

— Idziemy z tobą wszyscy i mienie twoje na naszych barkach tutaj przyniesieni.

Ależ?

— Nie ma żadnego ale... raz, dwa, trzy i marsz!

A kiełbasa? wtrącił Sokrates.

— No... udzielimy ci amnestyi; jak przyjdziemy, będziesz mógł jeść z apetytem, teraz ruszaj z uami. I cała liga wybrała się, aby przenieść Jurka,

V.

Zwichnięty zamach.

Rynek Starego Miasta w Warszawie, ta najdawniejsza jej dzielnica, dziś zamieszkała jest przez ludzi najuboższej ludności Warszawy i same przekupki. Lecz powiedzieć można, że właśnie w tej najuboższej części chowa się jej serce, cała jej poczciwa i zacna strona. W chwili naszego opowiadania, ludność Starego Miasta srodze zaafierowana manifestacyami, politykowała, zbierała się na rynku i czynny przyjmowała w nich udział.

Dwudziesty siódmy lutego i ósmy kwietnia tysiąc osiemset sześćdziesiąt pierwszego roku poświadczyć mogą, ile bohaterstwa, zaparcia się siebie i odwagi mieści się w tych suterenach napęcznionych zgniłym powietrzem — w tych prawie aż do nieba się gających poddaszach.

Tu znaleźć można nie jednego prawdziwego bohatera, godnego stanąć obok bohaterów Rzymu, obok męczenników wiary. Ściany dziewiętego pawilonu cytadeli i sam niecny Tuchołko mogą poświadczyć, ile batów spoczęło na grzbietach mieszkańców Starego Miasta, ile kul w ich piersiach ugrzęzło, a czy choć jedno słowo, jedna zdrada ztamtąd wyszła? Każdy czuł i rozumiał, że jest Polakiem, że jest synem tej rozszarpanej ziemi, i każdą kropelkę krwi przyjmował jako namaszczenie, każde nowe prześladowanie jako bodziec do zemsty, z pewnego rodzaju zaciętością, z chęcią zwrócenia go w dwójnasób. Młodzież kipiała chęcią do boju. Każdy był w przewidywaniu rychło mającego wybuchnąć powstania. Przekonania najróżnorodniejsze tworzyły niezliczoną liczbę partyi, zawsze jednak wszystkie stronnictwa godziły się na to, że tak dalej być nie może, że stan rzeczy musi się zmienić; różniono się tylko co do dróg, jakimi dojść można do tej zmiany stosunków. W tych politycznych zamiarach niepoślednie miejsce zajmowały kobiety.



Takie główne agitatorki patriotycznego ruchu dawały zwykle początek wszystkim manifestacyom i brały się do tego z właściwą sobie energią. X oczami wzniesionemi w górę a modlitw;! na ustach, klęczały wobec rozwścieczonego żołdactwa.

Któż nie pamięta Sgo kwietnia, komu do dnia dzisiejszego nie stoją w pamięci mordy i okrucieństwa, których się w tym dniu dopuszczała Moskwa, a zarazem heroizmu, z jakim te mordy przejęły nasze Polki ? Każdemu pewnie wiadomo, jaki koniec miał zamach Jaroszyńskiego na życie Konstantego, lecz przedtem zanim zamysł ten przyszedł do skutku, próbowano go kilka razy. Otoż jednym z takich właśnie był zamach, który tutaj mam zamiar opisać. Spełnić go miał jeden ze znajomej nam młodzieży, Sokrates. Wejrźmy na chwilkę w dniu tym, w którym wchodzimy do ich mieszkania.

— Powiadam wam, że gdybym na jeden strydzek mógł zaciągnąć wszystkie głowy tej hydry, co się nazywa Rosssyą, nie za wahałbym się ani na chwilę przed spełnieniem tego czynu, i wnet widzielibyście zsiniałego trupa na pierwszym lepszym drzewie. Ja każ to dla mnie byłaby rozkosz, radość, bo ja czuję w sobie posłannictwo być mścicielem narodu. Prosiłem na wszystko Komana, żeby mi powierzył dokonanie zamachu, ale on się uparł i wreszcie ustąpić mu musiałem, krzyczał żywo gestykułując Cezar.

— Mów sobie co chcesz, mój Jasiu, odparł Katon, ja ci powiem, że to nas do niczego nie doprowadzi. Idźmy drogą legalną, domagajmy się wszystkiego — nawet z bronią w ręku, ale nie strydzkiem, nie sztyletem.

— Robespiera nam potrzeba, przerwał Cezar, nie mazgajów; postawić gilotynę, mordować, wieszać wszystkich białych, wszystkich rozumujących.

— Wszak nie jesteś dzieckiem, ciągnął dalej Katon, znasz siły Rosssyi, wiesz co ona zrobić może, gdy zechce, a my dotąd bezsilni prawie. Na interwencyę innych liczyć nic możemy, bo oni wtedy nam tylko pomogą, gdy im będziemy potrzebni. Dla nas jeden ratunek, jeden środek, jedna osobistość, która może nas z tego wszystkiego wydzwignąć, a nia margrabia. W niego wierzyć, jego popierać winniśmy, ale nie kuuc przeciwko niemu zamachy ; do czegoż one nas wreszcie doprowadzić mogą, jakiż rezultat, jaki koniec? Nieraz przecież powtarzam, że nie ten mądry, kto robi

na dziś dobrze, lecz kto robi dobrze na przyszłość, chociaż w tym wypadku i na dziś, czy zamach się uda czy nie, oprócz pogorszenia sprawy nic wyniknąć dobrego nie może.

— Niechaj wie Moskwa, odparł zapalczywie Cezar, że my ich z duszy serca nienawidzimy; niech wie, że nie przebieając w środkach, dążyć będziemy do celu.

— Nienawidzimy? dlaczego? owszem ja nawet kochać mogę

Moskali, jeżeli uznają słuszość praw naszych.

— Oh! gdybym nie wiedział, że jesteś dobrym Polakiem, jutro byś nie żył za twoje przekonania; tym sposobem szkodzisz świętej naszej sprawie patrz, jakie wrażenie sprawiły na So kratesie twoje mile słowa.

— Bogdajby one mogły go odwieść od czynu, do którego go popychasz.

Sokrates oparty o ścianę, w automatycznym milczeniu słuchał tej polemiki. Mozart zamyślony trzymał w ręku skrzypce i smyczek, Jurek zaś machinalnie przewracał kartki jakiejś książki.

Na ostatnie słowa, Sokrates wstrząsł się i zawołał:

— Odwieść mnie od powziętego zamiaru, byłoby to już da remnem staraniem; komitet centralny rozkazał a zrobił to słusznie, nie mam żadnych obowiązków, jestem sam na świecie, słusznie więc, zebym to zrobił, ja, nie kto inny. Prędzej czy później to wszystko jedno, mam jakieś przeczucie, że z tych wypadków nie wyjdę cały; dziś w teatrze dokonani czynu; chciałem to zrobić już dawniej, lecz nie miałem sposobności. Wszystko już przygotowane, a to — dodał wyjmując taszeezkę z kieszeni, wystarczy, jeżeli się nie uda.

Na te słowa wszyscy pobledli, wszyscy spuścili oczy, nie śmiejąc nic powiedzieć. Mozart tylko sparł skrzypce o piersi i brzęczał cicho jakąś melodyę na strunach smyczkiem. Snać myśl biegła z piersi do strun, bo powoli, powoli muzyka stawała się coraz wyraźniejszą, ze smutnej, rzewnej, cichej piosnki przechodziła w jakieś smutne i bolesne jęki. Dalej znów przeleciała jakaś straszna melodya, ozdobiona trylami, fioriturami i passażami dyssonansów, potem słycać było jakiś ton wiejskiej fujarki, aż nareszcie przeszedł w hymn, który znają wszystkich uszy: „Boże coś Polskę.

Mozart grał z takim uczuciem, że łzy biegły mu z oczu. Gdy zagrzmiął hymn, nagle przez ścianę dała się słyszeć muzyka, będąca niejako dalszym ciągiem pieśni Mozarta. Na fortepianie grał ktoś; kobiece ręce po miękkości uderzenia poznać było można. Mozart grać przestał. Muzykę przez ścianę coraz wyraźniej było słychać, lecz ile w pieśniach Mozarta było zwątpienia i bolesti, o tyle w muzyce słyszanej nadziei dosłuchać się mogłeś. Były tam wszystkie bohaterskie pieśni naszego ludu; muzyka ta trwała z pół godziny; zakończyła się religijną pieśnią „Kto się w opiekę!" Wrażenie pieśni było potężne — powoli Jurek zaczął ją nucić, za nim Mozart i całe grono wkrótce złączyło się w jeden chór. Z drugiej strony ściany do tego chóru przyłączyło się kilka głosów kobiecych i tak aż do ostatniej zwrotki, silne męskie głosy wezbrane uczuciem — rozchodziły się po komnatach. Wreszcie chór się skończył; wszyscy stali w głębokiej zadumie, aż Cezar zawołał:

— Cóż u licha, czyż to my baby, czy nam płakać przystoi?

Sokratesie! odwagi, jam z tobą. Słyszałeś muzykę Mozarta i tamta,

to nasza przepowiednia. Śmiało do czynu!

Mozart wraz z Jurkiem zdawali się nie słyszeć tej odezwy Cezara. Dla nich brzęczały jeszcze tony słyszanej melodyi, jeden marzył jako artysta, drugi jako człowiek. Wreszcie ocknąwszy się z lej zadumy, odezwał się Jurek:

— Ha! trudno, taka widać wola przeznaczenia. Sokratesie, bądź zdrow, będę dzisiaj w teatrze. Mozarcie, ty także? Prawda?

— Będę, odparł lakonicznie Mozart, do widzenia, i podając rękę Sokratesowi, wyszedł z Jurkiem zamyślony.

Po chwili wyszedł także i Katon. Cezar został się sam na sam z Sokratesem.

— Cóż? nie braknie ci odwagi, zapytał Cezar ponuro?

— Czyś brak jej zauważał kiedy we mnie?

— Nie, ale widzisz co innego być odważnym i stać naprzeciwko kuli moskiewskiej, a co innego mieć odwagę, puścić ją komuś pod piątę żebro.

— Stało się, tak być musi; co dzisiaj grają w teatrze?

— Jakiś balet.

— To źle, nie lubię baletu. Bądź zdrow, wychodzę na miasto zrobić niektóre przygotowania. Zobaczymy się w teatrze.

Zaledwie kroki jego ucichły na schodach, gdy do pokoju wpadł zadyszany młody człowiek, lat zaledwie mieć mogący.

Cezar wstał ze stołka i zapytał:

— Cóż tam nowego?

— Naczelnik kazał się wstrzymać.

— Co! znów wstrzymać? Długoż się tak w tę ciuciubabkę bawić będziemy?

— To do mnie nie należy, przyszedłem tylko objawić rozkaz

— Dobrze, oświadczył naczelnikowi, że rozkaz jego spełnionym będzie.

Młodzieniec wyszedł — Cezar zaczął chodzić zamyślony po pokoju i taką z sobą wiódł rozmowę:

— Wstrzymać się, to niepodobna, rozkazu nie cofnę, im prędzej tem lepiej, pora po temu. On, Moskal, żyć nie może, czemu umie nie dozwolono tego dokonać? Koman boi się białych; oj ci biali, ta magnaterya zgubiła kraj, gubi go i gubić będzie, dopóki na rynku Starego Miasta nie stanie gilotyna, a na każdej ulicy zparę szubienic. Według mojego obliczenia, śmierć Konstantego będzie hasłem ogólnego boju a ja go pragnę, ja w krwi ich chcę ugasić pragnienie zemsty — za tyloletnie cierpienia. — Cezarze! śmiało... „alea jacta est. Z temi słowy wyszedł.

Niebo zaczynało się zachmurzać, Cezar podążył ku teatrowi i wstąpił przechodząc do Loursa. Przy bocznym stoliku siedział Jurus, Katon i wielu innych młodych ludzi pijących herbatę. Śnać rozmowa była dosyć ożywioną, na wszystkich bowiem twarzach zauważać można było rumieńce; Cezar przyłączył się do grona i wmieszał w rozmowę.

— Cóż podobno zamach odwołany? zagadnął go Jurek po cichu.

— Nic o tem nie wiem, odparł niecierpliwie zapytany.

Jurek nachylił się znów do ucha Cezarowi i szeptał mu coś żywo gestykulując, gdy w tem ukazanie się młodych ludzi zwróciło uwagę wszystkich. Dyli to jedni z liczby tak zwanej złotej młodzieży, a kapelusze na bakier i nogi wytwarzające rozmaite piruety kazały się domyślać, że nowi goście byli w niezwykajnym usposobieniu. Niesmaczny uśmiech politowauia osiadł na twarzy gawędzącej młodzieży na widok przybyszów i rozmowa ucichła.

— Rzymskiego pączu! a później moje bilety!

Dwie szklanki zamrożonego pączu podano natychmiast, chłopek Wybiegł po bilety do kasy. Młodzi Judzie racz) ii się pączem, gdy garson wbiegł napowrót.

— Bilety wszystkie rozprzedane, zawołał.

— Jakto. i moje?

— Tak, Jaśnie Panie.

Młodzieniec skrzywił się i dodał:

— Na honor! mam ochotę być dzisiaj w teatrze; garson ! dziesięć rubli za bilet.

— Coż mam zrobić, kiedy nie ma.

— Pięćdziesiąt rubli za bilet! — z większą wykrzyknął niecierpliwością młodzieniec. — Sto rubli za bilet!

Tu Jurek przypatrujący się z ciekawością tej scenie, wstał i przystępując do młodego panicza, rzeki :

Za sto rubli gotów jestem odstąpić panu mój bilet.

Zagadnięty panicz obrócił się z ciekawością.

— O i owszem, oto pieniądze, rzekł wydobywając stu rublowy paperek z pugilaresu, a teraz proszę o bilet.

Jurek wydobywszy z kieszeni zegarek, dodał:

— Bilet mój doręczę panu u mnie w mieszkaniu; możemy tam jechać, mamy teraz pół do siódmej, pół godziny więc czasu pozostaje do rozpoczęcia widowiska.

— A owszem, z szyderczą miną wycedził młodzieniec, kareta moja przed cukiernią.

Nie, pojedziemy dorożką, była odpowiedź Jurka.

— Ha, kiedy taka wola, z ochotą; czekaj Stasiu, zaraz przybędę, zawołał panicz do swego towarzysza, i wyszedł wraz z Jurkiem przed kolumnadę. Dorożka zajechała, Jurek nachyliwszy się do ucha dorożkarzowi, szepnął parę słów i konie pomknęły w stronę Starego Miasta.

— Tu mieszkam, zawołał Jurek ciągnąc za połę dorożkarza; proszę pana ze sobą.

Złoty młodzieniec z pewną obawą i bez uśmiechu wysiadł z dorożki i podążył za Jurkiem. Drapał się długo, bo aż na piąte piętro. Jurek szedł przed nim, wreszcie otworzył ostatnie drzwi. Zaduch i stęchłe powietrze owionęło przybyszów, weszli do

izby zamieszkałej przez nędzę, matkę niewidomą z czworgiem ma  
leńkich dzieci, każde wołało jeść, jeść mamó a matka i płakać

nic mogła — widok był straszny. Jurek wszedł najprzód, za nim  
nieśmiało postąpił młodzieniec, spuścił głowę i oczy na dół, zro  
biło mu się coś dziwnego na sercu, zapewne zapach nędzy tak go  
odurzył, bo stał nie wiedząc sam, co ma robić.

— Oto mój bilet, zawołał Jurek wyjmując z bocznej kieszeni  
paltota bilet pierwszego rzędu krzesel, tu racz pan zostawić swoje  
sto rubli.

Młodzieniec położył na stole wynagrodzenie za bilet i zwrócił  
się ku drzwiom, Jurek podążył za nim. Gdy wyszli na ulicę, panicz  
wskoczył do dorożki. Pogardliwym uśmiechem pożegnawszy złotego  
młodzieńca, Juruś spiesznym krokiem podążył także w stronę te  
atru. — Czy to umyślnie czy też wypadkiem, dnia tego tłumy za  
legły wszystkie miejsca. Galeryę zapełniła młodzież i niższe warstwy  
urzędników i ich rodzin, zmuszone do bytności straszmem widmem  
dymisyi.

Wielki ksiązę przybył, dzwonek dał znak do rozpoczęcia wi  
dowiska.

My wstąpmy jeszcze na chwilę do Loursa, gdzie znajoma  
nam młodzież z niecierpliwością wyglądała Jurka, gawędką skra  
cając sobie chwile oczekiwania. Cezara i Sokratesa już nie było.  
Wkrótce wbiegł Jurek, a w oczach jego z pierwszego wejrzenia nie  
trudno było dopatrzeć się pewnego niepokoju.

— Gdzie Sokrates? było pierwszym jego słowem.

— A! wyobraź sobie, zawołał powstając Katon, ten Cezar  
zwaryował na piękne — zamach odłożony — ani można mu było  
wyperswadować, aby nienamawiał Sokratesa, a to ciele da się tak  
na sznurku prowadzić, jak baran na zarznięcie.

— Ależ na Boga! trzeba radzić, zawołał na wpół z oburze  
niem a na wpół z żalem pocziwy Jurek.

— O już pomyśleliśmy o tem — słuchaj! idź do teatru, masz  
tu mój bilet, jest to numer krzesła obok krzesła Sokratesa, staraj  
się tylko, aby głupstwa nie zrobił w teatrze, a my tutaj go strzedz  
będziemy. Jeżeli tam nie dopuścisz, za resztę ja ręczę. Powiedz  
mu... powiedz co chcesz wreszcie, szeptał coraz więcej zapalając  
się Katon, aby go tylko od tego uchronić szaleństwa. Mozarcie, ty  
idź z Jurkiem, ja tu z niemi zostanę, zakończył.

— Po tej rozmowie Jurek wraz z Mozartem udali się do te  
atru, Katon zaś wraz z innymi podążył w stronę Niecałej ulicy.

Akt I. już się skończył, W. książę Konstanty oglądał się po wszystkich stronach teatru — zadowolony z tak licznej zebra-  
nia się ludu, gdy wtem Jurek wszedł i usiadł wraz z Mozartem  
obok krzesła Sokratesa, Ten ostatni siedział jak nieprzytomny  
z oczyma wlepionymi w łożę W. księcia.

— Słuchaj, szepnął mu do ucha Jurek.

— Co? odparł drgnąwszy Sokrates.

— Zamachu masz koniecznie dokonać przed teatrem, taki  
rozkaz Cezara.

— Ależ!... Cezar mi mówił...

— Nic nie znaczy, to mi wyraźnie przed chwilą kazał tobie  
oświadczyć.

— Dobrze...

Widowisko miało się już ku końcowi, Sokrates wstał, za nim  
Jurek i Mozart, a po za drzwiami ujawszy się pod rękę, wyszli  
przed teatr. Cezar tymczasem ujrawszy wychodzącego Sokratesa  
i domyślając się, że ten do pewnej części zmienił jego rozporzą-  
dzenie, przez swoich agentów rozkazał uczynić forsowny tłok przy  
wyjściu. Kurtyna zapadła. Z ręką umieszczoną po zanadrzem, So-  
krates oczekiwał W. księcia. Chwila oczekiwana nadeszła. Wielki  
książę się zbliżał i Sokrates wyjął rewolwer i już rękę wyciągnął,  
aby posiać kulę tam, gdzie miało bić serce, gdy nagle kilka sil-  
nych rąk schwyliło go za ramię. Z placu podjechała dorożka, osłu-  
piały młodzieniec z zawiązanymi oczyma został wsadzony do niej  
i powieziony! gdzie?... Nie trudno odgadnąć... Nie do dziesiątego  
pawilonu, ale na czwarte piętro do mieszkania poczciwej młodzieży.  
Wybawicielem był Katon.

Jurek i Mozart oddaliwszy się nieco od Sokratesa, obserwowali  
pilnie cały ten manewr, który był dziełem jednej chwili, a widząc  
iż sprawa tak pomyślny obrót wzięła, bezmyślnie chwilę jeszcze  
przypatrywali się tumultowi, jaki urządził Cezar; ze wszystkich  
stron tłoczono się na przebój, duszono się formalnie, krzyk, hałas  
słychać było nieustający.

— Patrz! co ten waryat narobił! szepnął do ucha Jurkowi  
Mozart.

Jurek miał mu już coś odpowiedzieć, gdy w tłumie ujrzał  
dwie młode panienki usiłujące wyrwać przyciśniętą do muru w po-  
deszłym wieku kobietę.

— Mozarcie za mną, zawołał Jurek i w tejże chwili obadwa  
poskoczyli na ratunek przyciśnionej, która niezawodnie znalazłaby  
śmierć tam, gdyby nie spieszne i energiczne znalezienie się dwóch

młodzieńców.

— O! doprawdy! ledwie dosłyszonym głosem ze zmęczenia, szeptała ocalona—myślałam, że mnie tam uduszą: jakie to czasy! jakie to czasy, dawniej! mój Boże, jeździłam karetami i nienara załam się na takie historyę. To strasznie! to strasznie! ma fol doprawdy. Milciu, podaj mi rękę. Dziękuję panom, stokroć dziękuję.

— Panie pozwolą się odprowadzić, zawołał Mozart.

A! ... jeżeli panowie tacy łaskawi, ozwała się jedna z pańienek.

— Ależ Milciu! jak można tak być niegrzeczną; to nieprzyzwoicie, panowie się będą fatygować...

— O! pani! grzeczność jest naszym obowiązkiem, odparł zwykłym frazesem Jurek... i podał rękę najstarszej damie, Mozart zaś dwóm młodszym.

Przez parę sekund milczenie było ogólnem. Mozart pokaśliwał, widocznie chcąc rozpocząć rozmowę. Jurek zapatrzony w błękitny niebios, zamyślony, szedł jak automat obok swojej towarzyszki. Krząkanie Mozarta zwróciło wreszcie uwagę jednej z prowadzonych przez niego pańienek, wkrótce bowiem z uśmiechem, który dostrzedz było można przy świetle rewerberu gazowego, zawołała:

— Pan ma kaszel? pan się zapewne przeziębził?

O! nie! to tylko chwilowa niedyspozycja gardła, to prze minie.

— Pan akademik? powtórzyła zapytanie natarczywiej.

— Tak pani!

— Medyk?

— Nie, pani! filozof.

— I artysta muzyk, dorzucił Jurek.

— Tak! no proszę, tobyście się państwo zgodzili z Lolą, bo ona także filozofka i także bardzo lubi muzykę.

— Czy można jej nio lubić, odparł Mozart.

— No tak, lecz lubić i lubić to wielka różnica; ja naprzykład lubię skoczego mazura, ochoczą polkę, melancholicznego walca,

Lola zaś lubi jakieś symfonie, sonaty, dumki, jakichś Chopinów, Hajdenów, Bethowenów, Mozartów.

— Tego ostatniego właśnie ma pani przed sobą, dorzucił znów Jurek.

— Jakto?

— Tak pani! kolega mój i przyjaciel nosi właśnie to miano między nami.

— A więc Lolu! masz przed sobą twój mistrza, zawołała ze śmiechem indagatorka.

Na te słowa idaea z drugiej strony pańienka, zwróciła swą główkę ku indagowanemu i dosyć nieśmiało spytała?

— Więc pan na seryo tak lubi muzykę?

— Nie tylko ją lubię pani, ale ją kocham, kocham całą mą

duszą, całym sercem, całym istnieniem, tak jak kochają ludzie matkę, kochankę, idee swoje.

— O! to piękne, ale... ja panu powiem, że to ale, — bo ja więcej kocham mego dziadunia, jak muzykę, a ją dopiero po nim, a gdybym miała mamę, tobym dwie osoby nad muzykę przenosiła.

— Niestety! pani, ja nie mogę nikogo przenosić nad muzykę, bo nie mam nikogo.

Szczęściem, że w chwili, kiedy Mozart wymawiał ostatnią myśl swoją, cień padł na twarzyczkę drugiej jego towarzyski, cień ten ukrył przed jego okiem sarkastyczny uśmiech, który pojawił się na jej twarzy. Towarzystwo dochodziło już końca Jańskiej ulicy, dochodzono do domu, w którym mieszkała nasza młodzież. Jedną z pań zatrzymała Mozarta przed nim.

— Tu mieszkamy; — odezwała się najstarsza.

— A... ten dom jest i naszym mieszkaniem...

— Panowie tu mieszkają? w formie zapytania rzekła najstarsza.

— Pod niebem pani! na czwartym piętrze, odparł z uśmiechem Jurek.

— My także! z widoczną przykrością w głosie odparła najstarsza.

— Więc panie naszymi sąsiadkami?

— Podobno!

— Więc to pani grałaś na fortepianie dzisiaj rano, kiedy ja... zawołał ukontentowany Mozart.

— Tak! tak!... to ona, śmiejąc się odpowiedziała Milcia.

Pani!... wyszeptał Mozart, a dobrotliwe światło rewerberu dało mu poznać prześliczną twarzyczkę artystki.

— Pozwolą więc panie złożyć sobie jutro nasze uszanowanie? zapytał Mozart nieśmiało.

— I owszem, mruknęła stara dama.

— Prosimy! prosimy, zawołała jedna z młodszych, amatorka różnych mazurów i ochoczej polki.

— Ale ja tutaj nie mieszkam, dorzuciła zwolenniczka Mozarta, ale tam obok z dziaduniem na Starem Mieście.

— A więc ty Jurku odprowadź panie do nas na górę, a ja pani służyć będę.

— Zgoda.

— A więc dobranoc paniom!

— Do widzenia! do widzenia...

I po tych słowach, Mozart podprowadził o parę kroków ładną artystkę, Jurek zaś towarzyszył paniom do mieszkania.

U samych drzwi swojej, jak nazywali budy, zeszli się wybawiciele.

W mieszkaniu na łóżku leżał rozgorączkowany Sokrates, Katon chodził po stancyi szerokimi krokami, kilku z młodzieży stało w kątku rozmawiając, Cezara jeszcze nie było.

— No, chwała Bogu! zwyciężyliśmy! zawołał Katon ujrawszy wchodzących.

— Ale Mozart został zwyciężonym, zawołał Jurek.



— No jakto!

— O tem długa historia, teraz idźmy spać.

I po krótkiej wymianie najświeższych wiadomości politycznych, młodzież się rozeszła. Mieszkańcy pokoiku kładli się już do snu; o czym oni śnili, tego nawet ciekawe ucho powieściopisarza do wiedzieć się nie było w stanie.

VI.

Miłość i miłość.

Z kolei wypada nam teraz kilka słówek powiedzieć o po-  
znanych w przeszłym rozdziale kobietach.

Ale bo dziwne są te kobiety. Spoglądasz się na jej oczy,  
nosek, buzię i na tych danych wedle wskazówek Lawatera czy Galla,  
tworzysz pewne pojęcie o jej usposobieniu — z jakiegoś postąpię

trzonym w okulary młodości, okiem rachuby. Była pozytywistką,  
pojmując ten pozytywizm tylko jako materializm. Niestety poję-  
cie takie dzisiaj jest powszechnem prawie, bo mało jest ludzi poj-  
mujących prawdziwy pozytywizm. Dla tłumu wydaje się on czemś  
okropnem, jedną z plag Faraonowych — zbrodnią przeciwko naro-  
dowości, rodzinie i temu wszystkiemu, co jest szlachetne, piękno i  
wzniosłe. Gdy tymczasem pozytywizm, pozytywizm prawdziwy, to  
niewyrugowanie z życia ludzkiego tego wszystkiego, co się nazywa  
uczuciem, to niezmodyfikowanie wszelkich szlachetnych dążeń do  
zwierzęcych popędów, pozytywizm rozumny, to taki, jakim chcą  
go. widzieć nie zapaleni jego nauczyciele, ale ludzie społecznie  
rozumni. To nie pozbycie się wszelkiego uczucia, ale spotęgowanie"  
go do kulminacyjnego punktu, t. j. do punktu, w którym przynosi  
owo czy moralne, czy materialne teorye. Niestety taką patriotką  
nie była Milcia, ona na świat patrzyła okiem interesu, okiem są-  
dzącym, ile w danym razie z pewnego indywidualium lub rzeczy można  
mieć brzęczącej korzyści. Był to czas modlitw; wszędzie w naj-  
dalszych zakątkach ziemi słyhać było jedne pieśń, jeden chór,  
jeden jęk, jakże tu mogła wobec takiej gorącej modlitwy ogólnej  
nie modlić się jedna kobieta, która mieszkała w Polsce i mówiła  
po polsku. A więc modliła się i Milca, ale modlitwa jej była  
zwykle tą suchą modlitwą dewotki, która kłopie pacierze nie rozu-  
miejąc znaczenia wzniosłych słów jego.

Matka Filci, to dawna nasza znajomość, to przedmiot west-  
chnień biednego nauczyciela literatury, pana Joachima Góry. Da-  
wne to czasy, zmieniły się okoliczności, zmienili ludzie, zmieniła  
twarz, ale Filomena Nadymalska została tą samą bezmyślną panią  
Sielską. Mąż jej, za którym wraz z całą Warszawą spodziewała  
się świetnej przyszłości, skutkiem spekulacji utracił cały majątek,  
zostawiając żonie wraz z córką zaledwie nikły fundusik, z procentu,  
którego zaledwie można było jako tako wyżyć, Z trudnością wpraw-  
dzie pozbyła się pani Sielska manii o wygodnem życiu, wycie-  
czkach za granicę, ale nieubłagana konieczność kazała czynić tak, a  
nie inaczej, słuchała więc pani Sielska tej nieubłaganej konieczności, |

budując dzisiaj świetną przyszłość jedynie na pójście za małżonka Miki.  
jak dawna arystokratka pytała widząc młodziana: „kto rodzi?”  
tak ona zwykle zapytywała: Co posiada?

Wszystkie lepsze popędy, wszystkie pierwsze zasady rodzinnego życia nauczyła się Milcia od Loli nie od matki, ztąd takim ścisłym był ich stosunek: chodziły razem na pensje, w domu zaś tłumaczyła jej Lola zadane lekcje i inne czyniła przysługi. Pani Sielska więc pomimo dziwnego wstrętu, jaki czuła ku demokratycznemu Napoleończykowi, nie mogła córce zabronić odwiedzania jego domu, gdyż stał się on dla jej córki nieodzownym. Taki był stosunek dwóch przyjaciółek.

Nazajutrz rano, jak nakazywały prawa etykiety, Jurek wraz z Mozartem wybrali się dla złożenia wizyt wczoraj poznanym sąsiadkom. Każda pierwsza wizyta w towarzyskim świecie, to pierwsze wystąpienie żołnierza na pole bitwy: wysyłają się tam rekonesanse spojrzeń, podjazdy zapytań, bombardowanie życzliwości gości i gospodarza, szermierka słów, oskrzydlenie serca, a w końcu zwycięstwo lub porażka. W taki sam sposób odbywała się i wizyta Mozarta i Jurka w mieszkaniu pani Sielskiej. Najbardziej niebezpieczne oko jednak nie mogłoby tu dojrzeć, kto był szturmującym, a kto szturmowanym. Z początku młodzież nasza trzymała się ostro, była elegancką, ale chłodną, w końcu dopiero rozmowny Jurek zaczął się ożywiać, coraz częściej wpatrywać w oczy Milci i widocznie w tej furcie duszy, jak tam któryś z filozofów powiedział, bardzo mu być wygodnie musiało, skoro z niej oczów swych prawie wyprowadzić niechciał. Mozart przeciwnie coraz więcej posepniał, coraz mu duszniejszą była widać ta atmosfera, i chciał się z niej najspieszniej wydobyć, to też kilka razy dawał znak do wyjścia Jurkowi, ale ten widocznie zrozumieć go nie chciał. O stanie majątku Jurka pani Sielska była już dobrze poinformowaną od starego Jana, co usługiwał paniczom; wiedziała ona dobrze, że matka jego jest dosyć bogatą, że Jurek ma przed sobą wielką przyszłość, ma sto sunki i że wysoko stanąć może. Wszystkim tym więc wiadomościom odpowiadało i dobre przyjęcie. Milcia także nie szczędziła swych powabów niewieścich, aby Jurkowi zabałamucić w głowie, co też z niewielkim wysiłkiem udało się jej w zupełności.

Często bardzo zastanawiałem się nad tem, dla czego ludzie myśli tak zajmują się wszystkimi złymi skutkami — namiętności ludzkich a nigdy nawet nie pomyślą nad skutkami pierwszej miłości, i wtedy przychodziła mi następująca myśl do głowy: młody człowiek jeżeli ma serce, kochać się musi, to naturalne, musi się ko

chać po raz pierwszy, to jeszcze naturalniejsze — pierwsza kobieta spotkana na progu życia, może być wtedy przedmiotem jego myśli i marzeń, westchnień i straty apetytu, szaleństw tysiąca i bzików, a czasami i gorszych następstw. Czy by się więc nie udało wymyśleć jakiej automatycznej lalki, któraby przez pewien czas zastępowała pierwszy przedmiot miłości młodziana, do niejby się wtedy palpi tował, jej palił kadzidła, a rozczarowanie byłoby wówczas łago duiejszem i tak strasznych nie przynosiłoby skutków.

Jurek właśnie był w tym wypadku. Milcia była pierwszą kobietą, którą spotkał; niemógł jej niepokochać. Był tylko nieszczęśliwym, gdyby bowiem wizyta pierwsza wypadła uprzednio u Loli a nie u Milci, przedmiotem jego miłości byłaby pierwsza a nie druga. Losy chciały inaczej, inaczej też się stało i Jurek z domu pani Sielskiej wyszedł oszołomiony, rozkochany i marzący. Jak Jurek się zakochał, zakochał pierwszy raz w życiu: czy Milcia odpowie działa mu na to uczuciem wzajemności! Obiczymy z dalszego ciągu powieści.

W inny sposób zupełnie odbyła się wizyta u majora Zaręby; tu nikt już nie potrzebował zdobywać, bo od razu wszyscy zwy ciężonymi byli. Mozart i Jurek zastali majora siedzącego w krześle, a Lolę siedzącą u jego kolan z książką jakąś. Piękny to był obrazek. Mozart wszedł pierwszy. Niebieskie ozy Loli spoczęły na nim z jakimś na wpół zachwytem, na pół zadziwieniem. Mozart był ładnym, dodać nam wypada. Lola zerwała się ku niemu, podbiegła i podprowadzając do majora, zaczęła szczebiotać:

— Dziaduniu! dziaduniu ! mamy gości I

— A kto? kto? moje życie! pan Józef pewno?

— Nie dziaduniu, to ci panowie, co nas z tego wyratowali tłoku w teatrze!

— Tak! a kogóż mam przyjemność?

— Wincenty Wójcik, student filozofii.

— Jerzy Weryga, medyk, .zaprezentowali się dwaj młodzi ludzie.

— Bardzo mi przyjemnie! bardzo mi przyjemnie, odparł major, niechże panowie siadają. — Major był ociemniałym, twarz jego przypominała tych wszystkich bohaterów z pod Somosierra i Egiptu, szczerłość malująca się na twarzy wraz z poczciwością i męztwem,

to była ich główna cecha. Na widok tego wieku i powagi, obaj młodzieńcy schylili głowę z uszanowaniem.

— Jestem już stary moi panowie, nie widzę, a wiec z po

wierchowności i poznać nie mogę, mówcie jednak, ja was zrozumie.

— O pan panie Mozarcie, pan dziaduniowi zagra na jego skrzypcach, to już pewno cię zrozumie, zawołała Lola.

— No proszę, ty mała figlarko, to ty już wiesz, że ten pan gra na skrzypcach? śmiejąc się zapytał major.

— A wiem, bo mi to powiedział, odparła Lola.

I następnie rzecz poszła o bieżących wypadkach, o tem, co mówią na świecie o tej biednej Polsce, która zawsze była baranem polityki sąsiadów, dającym się strzydz z wełny z bezmyślnością i bez oporu, młynem mielącym wyśmienitą mąkę, z której jednakże inni chleb i pieczywo pożywali. Major z Jurkiem utworzyli jedną gawędkę, Lola zaś z Mozartem drugą. Major co chwila wykrzykiwał Mórbleu! a Jurek coś mu prędko wypowiadał, Mozart zaś stroił podane sobie skrzypce i także opowiadając jakieś wydarzenie Loli, która mu je chichotem przerywała od czasu do czasu. Po małej przerwie Mozart szepnęła Loli ton improwizacji i oboje zaczęli marzyć, Mozart na skrzypcach, Lola na fortepianie. Co tam marzyli, nie wiem, bo kto zdoła dowiedzieć się, co kochające dusze powiedzieć sobie mogą. Tak jest, Mozart także pokochał Lolę, a muzyka ich była jednym serdecznym wyznaniem. Jurek i major przerwali gawędkę i poczęli przysłuchiwać się marzeniu temu, aż wreszcie gdy Lola przy końcu wzięła kilka minorowych akordów, Mozart zaś ciągnął jakąś rzewną wioskową sielankę, wstali obadwa i po ostatnich tonach uderzyli W ręce.

— Bravo! bravo panie muzyku, wołał zachwycony major.

To się nazywa myśleć i mówić w muzyce.

Jurek milczał; i jemu muzyka trafiła do serca: zachwyty swo jego dla niej słowami wyrazić nie umiał, przystąpił więc tylko do Loli i uściśnął ją serdecznie za rękę. To co się z nim działo u Milci, w tej chwili działo się w sercu Mozarta, i on pokochał, lecz miłość ta jego o wiele różną była od miłości Jurka. Mozart pokochał tą miłością, jaką wywołuje zobopólne porozumienie się dwojga dusz i charakterów, Jurek zaś pokochał tą miłością ślepą, szaloną a bezbrzeżną, która wiedzie na rozdroża, gdzie jego zaś zawiodła,

zobaczymy. — Czemuż zamiast Loli nie spotkał automatu? Tak się skończyła druga wizyta u majora Zaręby i takim sposobom powstała miłość" i miłość.

VII.

Zaranie.

Dziesięć lat mija z górą, jak naród nasz zmuszony brutalnym postępowaniem Moskwy, schwycił za oręż. Dziesięć lat zaledwie, a posłuchajmy z różnych stron, co mówią ludzie o tym rozpaczliwym kroku. Nie braknie takich, którzy patrząc na same złe tylko skutki, bezczelną ręką obrzucają błotem to, co było może największego w kartach naszej historii. Nazywają szaleńcami, dziwnymi tych, co nie mieli odwagi na karkach swych znosić

ciężkie jarzmo, co z przekonaniem, że walczyć nie mogą, umrzeć chcieli. Niejednokrotnie zdarzyło się słyszeć nam takie głosy, a co gorsza niejednokrotnie w dziennikach wyczytać kłutwę na tych, co tylko umrzeć chcieli. Głosy takie pochodzić mogą tylko albo z ust, w których serwilizm jest ideałem szczęścia, albo też takich, które nie mają pojęcia, jaką drogą wynikło i jaką drogą szło zbrojne powstanie nasze. Dla nas, cośmy własnem, okiem patrzyli na rozwój i początek samego faktu, co później gdy wszystko zostało straconem, nie jedną noc ślęczeliśmy nad rozjaśnieniem mniej jasnych stron tego ruchu, krzyk, czy głos taki, wydaje się więcej jak nie uctwem, więcej jak lekkomyślnością, bo świętokradztwem. Łatwo jest krzyknąć, gdy się coś nie uda, zrobiono głupstwo! jak rozmyśleć umiejętnie nad tem, czy udać się może. Czy ludzie mający w rękach kierunek rządu, mieli to przekonanie, że powstanie udać się może. Według naszego rozumienia takiego przekonania mieć nie mogli — bo byli ludźmi rozumnymi. Spytacie, dla czego do puścili do takiej chwili. Ja was także zapytam, czy niedopuszczyć mogli? — Oto jedna scena, która da wam możność poznania usposobienia ówczesnego ludności warszawskiej. Scenę tę widzieliśmy na własne oczy i za autentyczność ręczymy.

Idąc ulicą Marszałkowską, skręca się po lewej ręce na ulicę Zgoda. Każdemu ze znających choćby troszeczkę Warszawę, znajomym jest niewielki gmach prosektoryum anatomicznego, gdzie

początkowo odbywały się wszelkie narady młodzieży i gdzie właśnie w chwili naszego opowiadania wejść mamy.

Pod samą ścianą ustawiona katedra, stołki rozrzucone w nieładzie, kilka ławek pod ścianą, oto całe umeblowanie ówczesne tej sali, w której miało się stać to dziwactwo, to szaleństwo — powstanie.

Był już wieczór, śnieg pruszył pomieszany z deszczem, na końcach ulic od czasu do czasu pokazywały się małe grupy dążące do głównych drzwi prosektoryum i w nich znikaly. Podążyliśmy i my za nimi. W sali zastaliśmy całą prawie młodzież uniwersytecką, a więc i naszą młodzież z czwartego piętra, wiele nieznanomych twarzy rzemieślników — cisza panowała powszechna. Po chwili drzwi się otworzyły do sali, wszedł człowiek, brunet, o małych przenikliwych oczach, błydy; na twarzy jego malowało się jakieś zmęczenie, półuśmiech dobroci otaczał mu usta pokryte u góry małym wąsikiem — znać człowiek ten wiele przecierpiał — przywitał się z jednym i drugim, tamtemu skinął ręką, innemu przesłał uśmiech.

Wybiła godzina siódma; od pół godziny już, nikt nie przybył. Człowiek, którego opisaliśmy wam powyżej, wszedł na katedrę, usiadł i zapytał:

— No i cóż tam macie nowego?

Pierwszym był Cezar; postąpił on parę kroków i zawołał:

— Naczelniku, robimy powstanie zbrojne. Margrabia zarządził pobór, lud nie wytrzyma, sądzę, że lepiej przyspieszyć.

— O poborze wiem, Margrabia chce usunąć żywioł rewolu cyjny, jest to jednakże niepodobieństwem: o wybuchu nie ma nawet co mówić, lud nasz nieprzygotowany — proszę wszelkimi siłami naród powstrzymywać, bo wszelki dzisiaj wybuch, to plód niedonoszony w żywocie matki, która go poronijając, sobie śmierć, jemu kalectwo przynieść może.

— Naczelniku ! zawołał występując drugi, powstrzymanie wybuchu jest niepodobnym; dziś trzystu młodzieży kryje się po rozmaitych zaułkach, jutro ma wyruszyć, aby się schronić do lasu. Co robić?

— Powstrzymać się, zawołał gwałtownie wstając z katedry naczelnik, a smutne jego oko jakiś dziwny w tej chwili zapalił ogień — to w tej chwili jest niepodobieństwem, prawdziwym szaleństwem.

— Ja ci naczelniku także lepszych nowin dostarczyć nie mogę, rzekł Cezar, sta pięćdziesięciu moich już się w kampsanowskiej kryją puszczy. Od innych dziesiętników podobne odebrano wiadomości.

Więc cóż, czy jeszcze będziemy czekać, czy garstka tych ludzi na to stworzona, aby ich jak wieprzy dać pozarzynać, czy my już mamy się na zawsze wyrzec nadziei boju!

— Naturalnie! naturalnie! ozwało się kilka głosów z różnych stron sali. My chcemy się bić, bić się koniecznie, na śmierć i życie.

— Czem? lakonicznie spytał naczelnik.

Zgromadzenie na chwilę ucichło, po małej jednak pauzie burzenie rozpoczęło się na nowo: tu i owdzie głos coraz bardziej podnoszono, w końcu wystąpił jeden ze zgromadzenia i w te mniej więcej odezwał się słowa:

— Panie naczelniku, nie czas już dziś powstrzymywać — za nadto długo oczekiwaliśmy tej chwili. U nas w Polsce już jest taki zwyczaj, każde pokolenie musi oddać część krwi swojej za grzechy i winy ojców. My nie mieliśmy czasu i sposobności po temu aż do tej chwili; ta chwila się zbliża, mielibyśmy ją z rąk jak za bawkę dziecko wypuścić? A o powstrzymaniu wybuchu ten tylko mówić może, kto z nami razem nie cierpiał i z nami razem batów moskiewskich nie brał.

— Ależ na Boga! z czemże pójdziecie? czy macie wojsko? czy macie broń? czy macie lud za sobą?

— O! są tacy, którzy wiedzą, że wszystko musi iść jak z płatka; ja do takich nie należę, widzę wszystko, co jest i co być może; próżnemi nadziejami się nie łudzę, ale cóż robić, tak być musi. Naczelnik wzruszył ramionami. Przed niego wystąpił Katon i Jurek.

— Panie! zawołał pierwszy, jeżeli macie choćby odrobinę siły nad tym tłumem, wstrzymajcie go. Margrabia, prawda, srodze mnie zawiódł, wierzyłem w niego, jak w ewangelię, zdawało mi

sie, że on polityk wielki, przekonałem się, że dumny pyszałek i nie więcej, ale dzisiaj poświęcić cały naród dla kilku lub kilkunastu? a nawet kilkuset nieszczęśliwych, byłoby zbrodnią ,  
— Co pleciesz, zawołał Cezar, poświęcić! kogo poświęci: czy ty wiesz, że lada chwili cały nasz lud polski powstanie.

— Marzenie, odparł Katon.

— Uwłaszczymy go natychmiast, przywiążemy do siebie!

— Nieuwierzy w dobre chęci.

— Dla czego nie ma uwierzyć, kiedy zostanie obywatelem kraju, jednością wielkiej masy narodu...

— Trzeba było o tem wprzód pomyśleć.

— Wielopolszczyk! precz z Wielopolszczykiem, poczęto wołać ze stron różnych, gdy Jurek wystąpił naprzód i Katona cofnął za siebie.

— Panowie! zawołał, mówie do was głosem rozumu i serca; wybuch wstrzymać całemi siłami, koniecznie, to jest nasz jedyny obowiązek, tak chce komitet centralny, i tak my chcieć powinniśmy — na obcą pomoc liczyć nie możemy, szalonym być trzeba, aby z takim kolosem jak Rosya, tak mało posiadając środków, rozpoczynać bój z myślą o zwycięztwie!

— My nie myślemy o zwycięztwie! My myślemy o boju, znów odezwano się ze stron różnych.

— Tem gorzej, odparł Jurek , i siebie i innych pogrążacie w nieszczęście.

— Dostyc już tego, zawołał jakiś barczysty jegomość, smar kacze tutaj nami dowodzić nie będą, jest tu nas blisko trzystu; kto za wybuchem, proszę podnieść rękę. — Kilka set rąk się podniosło — były to ręce wszystkie spracowane, widocznie właściciele ich nie rozumowali lecz czuli.

— Przeliczyć głosy, zawołano! — Przeliczono głosy, wypadło kilkaset.

— Kto nie chce wybuchu, zawołał po raz drugi. Ręce się znów podniosły, było ich zaledwie kilkadziesiąt.

— A więc idziemy! idziemy wszyscy, zawołał Cezar.

— Idziemy! ze wszystkich ust się ozwało.

— Co i wy także? ozwał się znów gruby jegomość, do gro madki stojącej w kąciku.

— Zobaczmy się tam mój Panie, ozwał się Sokrates, który także do partyi zachowawczej należał; jak tylko rzeczy taki obrót bióra, my tak jak i wy idziemy wszyscy, bo zostać pomimo prze konań nie możemy.

— Obok Sokratesa stal jakiś Francuz, który w swoim języku w tej chwili powiedział:

— Głupi Polacy, oni nawet w polityce serce mają — dziwni  
doprawdy dziwni, widzą, że zgina, a przecież idą. Gdzie zajdą, czas  
pokaże,

W tym samym dniu kilka takich scen się odbyło: wszędzie  
domagano się wybuchu i wszędzie ze strony ówczesnego rządu na  
rodowego też sama była opozycja. Gdy jednakże wybuch stał się  
nieuniknionym, gdy wszystko zdawało się palić gorączką jakiejś  
zemsty, pragnieniem krwi, czy możebnością było wtedy, zapytuję,  
wstrzymywać

— Głupi Polacy, oni nawet w polityce serce mają — dziwni  
doprawdy dziwni, widzą, że zgina, a przecież idą. Gdzie zajdą, czas  
pokaże,

W tym samym dniu kilka takich scen się odbyło: wszędzie  
domagano się wybuchu i wszędzie ze strony ówczesnego rządu na  
rodowego też sama była opozycja. Gdy jednakże wybuch stał się  
nieuniknionym, gdy wszystko zdawało się palić gorączką jakiejś  
zemsty, pragnieniem krwi, czy możebnością było wtedy, zapytuję,  
wstrzymywać tę całą rozhukaną lalę? Jak się cała znajoma nam  
młodzież zapatrywała na sam zbrojny wybuch, widzieliśmy to  
w prosektryum. Wszyscy więc oprócz jednego Cezara, powracali  
do domu ze spuszczonei głowami myśląc o skutkach, jakie  
z dzisiejszych obrad wynikną. Jeden tylko Cezar szedł z podnie  
sioną głową, przepłynął już Rubikon, to też szedł gwizdząc sobie  
piosnkę Mazaniela z Niemej z Portici. Jemu się zdawało, że już  
jest sam Mazanielem, że cała Europa zadrży, gdy on wystąpi.  
Takich jak on, było wielu, ale też i takich jak resztę, nie mało.  
Do takiego usposobienia ludności dodawszy ultimatum komi  
sarzów wojewódzkich, postawione na zgromadzeniu w Skierniewi  
cach rządowi narodowemu, w którem oświadczają, iż jeśli sam  
rząd inicjatywy do boju i walki nie da, sami na swoją rękę dzia  
łanie rozpoczną, każdy zrozumie, iż ówczęśni kierownicy ruchu  
znaleźli się w tym położeniu, z którego prócz jednej drogi, walki,  
innego nie było wyjścia. Wiemy nawet, iż w łonie samego rządu  
narodowego opozycja silna była i ruch dwukrotnie już zamierzony  
wstrzymała. Pessymiści jednakże i dziś zwrócić na to uwagi nie  
chcą, a co śmieszniejsza, krzyczą na powstanie r., albo ci,  
co możnaby powiedzieć kilkuwiekowem postępowaniem swoim  
przyczynili się do jego upadku, albo też ci, których ciasne mózgi  
i zajęcze serca do obecnej chwili spostrzegają tylko ujemne strony  
a dodatnich nie widzą wcale.

Spojrzyjmy na każdą drogę myśli ludzkiej i jej działalności.  
Czy na pole sztuki, czy na pole literatury, handlu, przemysłu,



przed rokiem i porównajmy go z dzisiejszym stanem. Weźmy stopień umysłowego wykształcenia ze statystycznych danych i okiem bezstronnego sędziego osądzmy dzisiejszy. Wniknijmy w punkt główny tej przemiany, idźmy jak po nitce w tym labiryncie a przekonamy się, że ileśmy stracili materyalne, tyle zyskaliśmy duchowo,

dalej ujrzymy, choćby mierzące straty powstania miarą wydanych cekinów, żeśmy do obecnej chwili w dwójnasób już to odbili wszystko. A cóż dopiero pomyśleć nad wielkim faktem oczyszczenia włościan.

System naukowy Muchanowa przed powstaniem, gdyby jeszcze potrwał lat parę, byłby pochłonął ze szczętem wszystek nasz duch narodowy i uczyniłby nas Moskalami, — wyrugowałby z pamięci młodemu naszemu pokoleniu całą pamięć o przeszłości, a tem samem nagiąłby je do swoich celów. Kto zna historję kościoła ruskiego w Polsce, Rusi i na Litwie, kto zna męczeństwo takich niewiast, jak Makryny Mieczysławskiej i prześladowanie bezecnej pamięci Sie miaszki, które błędnie przy prześladowaniu, jakiego dzisiaj się do puszcza Moskwa, kto zajrzy do martyrologicznych spisów cytadeli i więzień warszawskich, następnie zastanowi się nad odrobiną swobody daną przez rząd moskiewski Kongresówce, ten powstanie potępiać nie będzie, a tem więcej świętokradczemi usty mu zło rzeczyć. Można było niezgadzać się wreszcie na chwilę, na czas wybuchu, ale przyjąć go jako konieczny, było rzeczą nieuniknioną — konieczną.

W owym już czasie, kiedy ruch wybuchnął, już utworzyły się dwa stronnictwa: białych i czerwonych, niesłusznie tak nazwane, powiedzieć by należało patryotów, i tych, którym zbyt zasmakowała niewola, którzy zdecydowali się nawet przystać na podanie tak haniebnego adresu do cara, jakim był adres Wielopolskiego zaprojektowany Towarzystwu rolniczemu, z wyrażeniem żalu i przyznaniem się do winy za powstanie roku. Tak zwani bowiem biali — już w marcu gdy powstanie było faktem spełnionym, przystąpili do Rządu Narodowego i dyrekcyja z nim się w jedną złąła całość działając odtąd wspólnie.

Wróćmy jednak do dalszego ciągu naszej powieści. Oto po wyżej opowiedziane posiedzenie miało miejsce dnia . stycznia S roku, to jest dwa dni przed wybuchem zbrojnego powstania. Nasza młodzież była już gotową do boju. Było to zaranie — a co dzień miał przynieść, każdy wiedział. Wszyscy nam znani powrócili do domu smutni i zadumani. Jeden tylko Cezar śmiał się na całe gardło, był w nadzwyczaj wesołym usposobieniu. Drwił z Jurka, z Katona, z Mozarta, z całego świata, a oczy jego dziwnym błyszczwały ogniem.,

plućie na wszystko, pojutrze dzień wielki, zaraniem przyszłości  
świetnej, olbrzymiej, promieniejącej, dalej bagnet do ręki, a jeśli  
go niema, kosę i marsz na Moskala —tam znajdziecie wszystko,,  
i wszystko inaczej w życiu wam się złoży.

— Ol nie wążp drogi mój, prawie jednocześnie zawołali  
Mozart i Jurek — my pójdziemy z tobą, ale \_\_\_\_\_

— Ale, dodał Sokrates, to im wcale kochać się nie prze-  
szkadza.

— Jeszcze i ten musiał swoje trzy grosze wtrącić—krzyknął  
Cezar, a Sokrates załamawszy na krzyż ręce zamilkł i zwrócił się  
w stronę drzwi, Jurek zaś wystąpił naprzód i tak się odezwał:

— Masz rację Cezarze, my nie powinniśmy byli tak łatwa  
pozwolić się podbić, cóż jednak robić — stało się — tego napra-  
wić już niepodobna. Sprzeniewierzyliśmy się przepisom, słowu da-  
nemu, ależ przez to na utratę waszej przyjaźni, waszego serca nie  
zasłużyliśmy;—kochajcie nas — kochajcież nas całe życie! tak jak  
serce podług serca po dawnemu, dziś zaranie dla nas wszystkich,  
kto wie jakie jutro nam zabłyśnie, jasnym słońcem czy chmurą,  
nocy. A. więc kochajmy się na nowo — dzisiejszy wieczór my  
przepędzimy tam Mozarcie? prawda?

— Tak !

— A jutrzejszy do was należy!... Pozwalacie?...

— Ależ pozwalamy! pozwalamy do stu pioruuów, zakrzyknął  
Cezar chwytając w swoje objęcie rozognionego Jurka. Nicponiu!  
niegodziwcze, toś ty taki przyjaciel? idziemy z tobą wszyscy i po  
mimo opozycji Jurka i Mozarta wraz z Sokratesem pociągnęli ku  
mieszkaniu majora Zaręby.

Takie było zaranie dla naszej młodzieży.

VIII.

Pożegnania.

— Czy wolno? zapytał Mozart otoczony całą swoją gromadką,  
pukając do drzwi majora Zaręby.

— Proszę! proszę! bardzo proszę, zawołała Lola podbiegając  
ku drzwiom i klaszcząc w dłonie; jak to dobrze! doprawdy, jak to  
dobrze żeś pan przyszedł. Dziadunio już kilka razy dopytywał się  
o pana.

— Ale dziadunio łaskawej pani nie dopytywał się o nas za-  
pewne wcale, a my tu zrobiliśmy mu prawdziwe najście tatarskie

No! przedstawże nas Mozarcie, mówił, prędko Cezar.  
— Wszyscy moi przyjaciele, ludzie zacni, których kocham i szanuję, oto najlepsze przedstawienie, jakie im udzielić mogę.  
— O! przyjaciele pana są tem samem i naszymi przyjaciółmi.  
Pana już znam dawniej, dodała Lola podając Jurkowi rękę, a panów Wszystkich z opowiadania pana Wincentego.  
W tej chwili major usłyszawszy gawędkę przy drzwiach za wołał: A proszę tu do mnie; to pan panie Wincenty?  
— Ja i moi koledzy — przyszliśmy tu spędzić ostatni wieczór razem, rozgrzać się opowiadaniem pana majora... bo jutro! ... dodał smutnie.  
Jutro?... powtórzyła Lola. cóż jutro?  
— Jutro już nas nie stanie wszystkich, pójdziemy w świat daleki, gdzie woła obowiązek!  
— Jaktó! morbleu! zawołał major! co tam nowego? chodźcie tu do mnie i opowiedzcie wszystko, jak się należy.  
Lola zwiesiła główkę, łzy się jej w oczach zakręciły, bo zrozumiała wszystko, a raczej przeczuła gorącym niewieścim swem sercem. Sokrates nawet to zauważył i trącając Katona w łokieć, szepnął:  
— Wiesz ! Dali Bóg żał mi jej bardzo, bo to taki aniołek, takie rozkochane stworzenie, że gdyby nie Mozart, ho! ho! i ja bym szturm rozpoczął. Szkoda jej — ona się bez jego muzyki zamartwi tutaj.  
Katon kiwnął głową. Rozmowa ożywiała się przy majorze — postąpili więc trochę dla tego, iżby się jej przysłuchać , a trochę też i dla tego, żeby Mozartowi dać sposobność pogawędzenia z Lolą.  
— Inaczej być nie może panie majorze, to już stało się, to jest niemal takt spełniony. Mamy wszystko , co tylko mieć może naród do uchwycenia za broń, zwlekanie i kunktatorstwo nie doprowadziłoby nas do żadnego rezultatu, chwila jedna stanowi wszystko ; jeżeli dziś zaniedbamy skorzystać z niej, zginiemy bezpowrotnie, nie będziemy już mieli wyjścia innym razem. Lud rozentuzjasmowany...  
— Czy wszystek? spytał major.  
— Niezawodnie! odparł Katon, a jeśli i zostało się trochę takich, co nie radzi widzieć zbrojnego ruchu, toć ich piersią swoją roz

grzejemy, i do czynu zmusimy swoim postępowaniem. Oczynszowanie włościan prawie już dokonane, my skutecznymy resztę  
Gdy kmieć zrozumie, że jest takim dobrym obywatelem kraju, — jak każdy pan jego, kiedy zrozumie, że i jemu tak dobrze ciąży jarzmo na karku, jak i nam wszystkim niezawodnie schwyty za kosę i do ruchu się przyłączy.  
— Ale czy uwierzy w dobre chęci ?  
— No! to byłby już chyba szalonym; nie, to niepodobna!  
— Bądź co bądź kochani młodzi moi przyjaciele podejmujecie rzecz nader ważną; biłem się i ja, a Bóg widział i matka ojczyzna, żem nie żałował i swojej krwi i sił swoich, aby tylko godnie od

powiedzieć temu oczekiwaniu , z jakim oczy całej Polski na nas zwrócone były. I w całym życiu mojem nikt mi zaprzeczyć nie może, że szedłem ścieżką godną Polaka i patrioty dobrego, dziś więc powiem wam z doświadczenia, iż bez ludu nic nie uczynicie, sami zmarniejecie, zgubicie wiele sił narodu, a sprawy nie postawicie na tym stopniu, żeby z niej niepodległość wyniknąć mogła... Nie ignorujcie sił Rosyi, starajcie się wejść z jej ludem w stosunki, z rozumnymi i poczciwymi ludźmi. Dla tego dzisiaj nie rozpoczynajcie dzieła, bo się nie uda.

— Niestety! odparł Katon, dziś już nic innego robić nie można. Branka Wielopolskiego spowodowała wyjście młodzieży do puszczy i lasów; zmarnować ich nie można, i jakkolwiek niektórzy z nas całemi siłami staraliśmy się dawniej powstrzymać wybuch, dziś widząc tak roznamiętione i rozgorączkowane umysły wszystkich, głosujemy za uim.

Gdy taka gawędka toczyła się przy fotelu majora, Mozart tymczasem z Lolą usiedli przy fortepianie i wiedli z sobą szept inny, bo szept miłości. Lola ze spuszczoną główką i z załamanemi rączkami siedziała nieruchoma jakby porażona gromem, Mozart wpatrywał się w nią z nieopisanem szczęściem, a tęsknemi oczami swemi badał na rumianej, przypominającej Murilla aniołki twarzyczce wrażenie wywołane wiadomością prędkiego rozstania.

— Ty! jedziesz? spytała Lola po chwili milczenia.

— Jadę jedyna moja, bo jechać muszę. Samabyś mną pogardzić musiała, gdybym tu został. Tak było przed wiekami, tak i dzisiaj być musi. Każdy Polak obowiązany jest dać na ofiarę ojczyźnie to, co ma najdroższego... Dla mnie tym najdroższym skarbem

jest miłość twoja, a więc cóż mam robić; ją muszę poświęcić dla tamtej, bo tamta większa i droższa mi od ciebie słońko moje!

— A ja tu sama zostanę? szepnęła Lola i łza się jej zakręciła w oku.

— O nie! najdroższa — ja tutaj myślą zawsze będę przy tobie—i nie będzie jednej chwili w mem życiu, żeby mi w niej twój obraz nie towarzyszył. Kto jak ja przez lat tyle , oprócz tych zacnych ludzi — nie miał nikogo, coby mógł kochać na śmierć i życie i kto jak ja spotkał jedyną istotę co mu to serce okazała, ten serca tego zapomnieć nie może. nie zapomni.

— Ludzie ci każą zapomnieć o mnie, i ty zapomniesz — a ja ci mówię drogi mój, — że bez twego spojrzenia, bez tonu twoich skrzypców, umrę z tęsknoty. Jest coś we mnie, czego ja zrozumieć nie mogę—a tem jest uczucie, które mam dla ciebie; gdy pa trzysz we mnie, gdy grasz na twoich skrzypcach albo opowiadasz co dziaduniowi, to zdaje mi się , że jaki apostoł z nieba zeszedł i dla mnie, umyślnie dla mnie i mówi. Jak mi tego głosu zabraknie! coż ja pocznę ?

— O! bądź spokojną, głos ten i z pola bitwy doleci cię nie zawodnie! O, ja bym został przy tobie, został na wieki, ale wi

dzisz , my Polacy mamy coś wspólnego z owemi bohaterami starej Grecji, jedni stworzeni jesteśmy do tego, aby walczyć, drudzy, którym Bóg wlał w duszę poezji dosyć, aby walczyć i zagrzewać do boju. A ci, którzy jak ja ten ogień mają, jak Tyrteusze z harfą stać winni na strażnicy narodowych uczuć. Ja czuję, że jestem artystą, że mam w duszy ten boski ogień i sprzeniewierzyć się mojemu powołaniu nie mogę, choć kocham cię jak moje bóstwo, jak świętość. Miłość twoja może tylko prowadzić mnie do nieba, ale w błoto pewnie nigdy nie wciągnie, czego byś i ty jedyna moja nie chciała. Tyś świętą, przez ciebie droga dla mnie do czynu, do sławy, do wawrzynowej choćby śmierci.

— Ale ja nie chcę, nie chcę sokole mój najdroższy; ty żyć będziesz, musisz żyć dla mnie, ja u Doga to życie dla ciebie wyproszę, wszakże na wojnie nie wszystkich zabijają kule, nie wszyscy przecież giną? Ziemia nasza zostanie wolną, swobodną, a ja będę się szczyścić tobą, bo ty będziesz jednym z tych filarów, co ją podpierają. Prawda? ty nie zginiesz, powiedz mi, że nie zginiesz!

— W rękę Boga jest wszystko Lolu ty moja, on nas swoją osłoni opieką, powiedzcie nas na baj krwawy i zwycięzcami uczyni. Bądź mężną i spokojną jedyna.

— Mam być spokojną, zawołała znów smętnie Lolu, o I to nad moje siły... i sznurek perełek stoczył się z ocz jej po licach. Tyś Polką Lolu moja, pamiętaj na twoje posłannictwo wielkie, spytaj dziadunia czy twoja babka a jego zona tak go wyprawiała na boje krwawe. Ol nie ! zachęcała go do boju i wskazywała na bohaterskie czyny naddziadów: „Idź i bij się, ażebyś się za siebie wstydzic nie potrzebowała.”

— Tak złoty mój, ty mówisz prawdę, tak i ja uczynić bym powinna, ale mi siły braknie, jam już nie z tych kobiet dawnych, co z suchem okiem umiały patrzeć na męczeństwo swych synów, braci i mężów, jam już słabym kwiatkiem, którego lada podmuch wiatru zwieje i zdruzgoce. Ty dla mnie jesteś podporą; jeśli ją burza połamie, i ja zginę. Pamiętaj ! co wtedy będzie robił mój dziaduś. Ja cię nie wstrzymuję, bo nie mam do tego prawa. Ojczyzna powinna być pierwszą panią twojego serca, ale nie bierz mi za złe mojego żalu, mojej rozpacz, bo ja ciebie tak kocham, tak kocham, jak ty nawet przypuścić nic możesz. Idź więc, idź, rób to, co ci powinność każe czynić, a ja tu z moim dziaduniem i z moją muzyką wciąż tylko o tobie marzyć i myśleć będziemy.

— Tak! tak, ciągnął przy oknie major, mieliśmy wrszystko, i wojsko i lud za sobą i męztwo i poświęcenie, a upadliśmy, bośmy upadli duchem, bo nie było w nas spójni, jednego ducha Bożego, bośmy szli mając w sobie odwagę, ale nie mając odwagi wyrzucenia z pomiędzy siebie śmieci. Niedorośliśmy wielkości zadania, bo pragnie nie wolności było wielkie, ale pragnienia poprawy nie było. Nie pierwszy to już ruch u nas w Polsce, było ich nie mało, ale nie

było w Nich wszystkich zgody, każdy wyżej stawiał swoją zasadę nad główną myśl oswobodzenia ojczyzny. Demokrata wołał: co mi po Polsce, jeśli ona ma być arystokratyczną, nie chcę takiej Polski. Inny arystokrata uważał za stosowne odpowiedzieć: co mi po Polsce demokratycznej, lepiej niechaj będzie tak jak jest, jak mają mi przewodzić ludzie gminu. I każdy stawiał wyżej, jak to już powie działem, swoje egoistyczne zapatrywanie się na rzeczy, nad świętość naszej sprawy, nad przyszłość uświęconej ojczyzny. Dla tego upadliśmy.

Cezar się na te słowa zamyślił, a Sokrates tak odpowiedział:

— O teraz jest zupełnie co innego; nauczeni jesteśmy już jednowiekowym doświadczeniem, gdzie jest cel nasz i jaką drogą nam iść wypada do zdobycia tego upragnionego słońca. Dziś idą tam wszyscy, czy chłop czy szlachcic, mieszczanin czy rzemieślnik, demokrata czy magnat, bo zrozumieli, że jedyna nam tylko łódź do ocalenia szczątków korabiu została, że tej łodzi wszystkimi siłami winniśmy się trzymać.

— Masz rację mój Stachu! szepnął powoli Katon, i jakkolwiek byłem przeciwny wybuchowi, to jednak gdy on już postanowiony, cofnąć się prawa nie mamy, pójdziemy więc, pójdziemy jak chciałeś Cezarze na śmierć i życie, wszyscy razem, jak jeden mąż. W tej chwili trzymając się za ręce, przybliżyli się Lola z Mozartem, ona wpatrzona gdzieś w błękity, on w jej niebieskie lazururowe oczy. Wyglądali jak dwaj cheruby zapomniani na ziemi, tak, jakby im tutaj niedobrze było a zdawali się oczekiwać chwili, w której mogliby ulecieć razem w przestworza.

Cała ta grupa nadzwyczaj harmonizowała z sobą. Major siedzący w fotelu, siwy jak gołąbek, u podnóża jego na małym stoleczku Cezar z rozognionymi oczami i włosami zarzuconym w tył głowy, jasny blondyn Sokrates wsparty o jego ramię, Jurek o okno, Katon z myślącym okiem zdający się rozpamiętywać chwilę obecną i ta młoda para dwojga jakby dla siebie stworzonych istot, przed stawiła typ Dożej czeladki, nad którą wizerunek Matki Bożej wy-malowany na ryngrafie wiszącym nad łóżkiem, zdawał się czuć.

— No, kiedyście już postanowili, kiedy nic waszego zamiaru nie potrafi oddalić, to już wam nic przeciwnego nie powiem, jesteście już ludźmi, kochacie tak dobrze jak ja kocham ojczyznę, toć jeśli nie zrozumiecie, co dla niej pożyteczne, to niezawodnie odczuć potraficie, kończył major.

— Panie majorze! zawołał Cezar, myśmy tu właśnie przyszli do ciebie z pożegnaniem i z prośbą. Twoja ręka zwycięzka była dzielnie wrogiem naszym szyki, niechże ona też pierwszy krzyżyk na drogi naszego życia położy i niech stara modlitwa błogosławieństwo Hoże nam wyprosi!

— Tak! to najlepszy talizman nażycie, błogosław nas Panie! I całe grono ukłękło rozrzewnione, major podniósł się z wygodnego fotelu, łaża z ciemnych oczów jego pobiegła— wznisł w górę ręce

nad klęczącymi, i szeptał cichą modlitwę, snąc w bojach doświadczone. Twarz mu rozpromieniała i stała się podobną do owych świętych pańskich, których mistrze włoskiej szkoły z głową otoczoną światłością malować zwykli. Przed tym człowiekiem trzeba było uklęknąć, bo czuć było, że życie swe czysto i pocziwie spędził. Mozart i Lola znaleźli się najbliżej kolan pocziwego starca, który skończył wkrótce modlitwę, a zdawał się jeszcze poglądać w uiebo i szukać z tamtąd przepowiedni dla tej garstki młodych ludzi, którą na walkę błogosławił. Po chwili jakby zmęczony upadł na fotel i głowę oparł na rękę. Młodzi już powstali z wyjątkiem Loli i Mozarta, których Katon powstrzymał.

— A teraz, zawołał, panie majorze jeszcze jedno błogosławieństwo, błogosławieństwo dla tych dwojga dzieci, które tak wszyscy kochamy, a które doprawdy warte szczęścia, bo się bardzo, może za bardzo kochają.

— Co? jakto? spytał major, wrywając się nagle z zadumy.

— Tak panie majorze, ciągnął dalej Katon, kolega mój i przyjaciel Wincenty Wujcik prosi cię przez nasze usta o rękę twojej wnuczki Loli Zakliczanki. Wszakże mu nie odmówisz? my wszyscy za nim prosimy, a wierz nam i on i my złymi ludźmi nie jesteśmy.

— Dzisiaj? w takim czasie? spytał na wpół zdziwiony na wpół uradowany major.

— A nie! odparł Katon, owszem dziś on sam wstydziłby się taką propozycję uczynić polskiej dziewczycy — on tylko prosi, abys mu panie majorze pozwolił pracować tam na polu walki — tak, jak niegdyś przodkowie nasi. na zdobycie tej prześlicznej rączki twojej wnuczki a wszyscy jak tu jesteśmy zaręczyc możemy, że z pewnością stanie się jej godnym !

A ty szczebiotko? chcesz opuścić swego dziadunia? spytał się major Loli nachylając się ku jej główce.

— O! nigdy! przenigdy! najdroższy dziaduniu mój — ty musisz być zawsze ze mną i przy mnie. Alboż to zaraz i rozłączyć się trzeba?

A więc bądźcie szczęśliwymi dzieci moje najdroższe — niech was Bóg błogosławi, zawołał przytulając do piersi swoich obie rozkochane głowy. Niech wam życie po kwiatkach wonnych biegnie, a los uśmiecha się zamiarom waszym. Ty mój bracie!

masz jeszcze przed sobą walkę za ojczyznę, kto wie, może z niej nie powrócisz...

— O nie mów tego dziaduniu! ja się modlić będę, zawołała szybko Lola. Mnie Bóg i Matka Jego wysłuchają.

— Niech cię to jednak, ciągnął dalej major, nie przywiązuje nazbyt do życia ; pamiętaj, żeś je przedewszystkiem winien krajowi. Wnuczka majora Zareby może być żoną dzielnego żołnierza — idź więc i wracaj, ona na ciebie czekać będzie.

— O! będę — szepnęła Lola!...

I wszystkim uśmiech zagościł na twarzach, wszyscy zdawali się być ożywieni jakimś innym gorącym duchem, co zdolne świat odbudować. Jeden tylko Cezar spochmurniał i szepnął do Sokratesa, ale tak cicho, że go nikt usłyszeć nie mógł:

— Oto znów jeden człowiek zmarnowany dla ojczyzny.

I lekko, wesoło było na sercu w skromnym pokoiku majora Zareby, chociaż jutro wszyscy tutaj zebrani młodzieńcy oddać mieli życie na wielką ofiarę. Lola już zabierała się przyjacielom swego narzeczonego zagrać coś na fortepianie. Mozart stroił skrzypce, gdy nagle drzwi się rozwarły a przez nie wpadła Milcia, wesoła, uśmiechnięta, bez troski na czole, spokojna. Za nią powoli weszła pani Sielska, a tuż koło niej jakaś mała figurka niezbyt wielkie wzbudzająca zaufanie.

— Dobry wieczór ci Lolu! o pięknie, bardzo pięknie zankto walaś mi wszystkich sąsiadów —nawet nie zapytawszy czy wolno — gdyby nie pan Kański, którego mam honor ci zaprezentować, do prawdy na śmierć musiałabym się zanudzić. Ze też pan major pozwolił na to, dodała śmiejąc się i witając z majorem. Tak byłam dziś wieczór rozirytowaną nudami, iż pomimo zawiei musiałam mamę wyciągnąć. A! i pan Jerzy tutaj? z tonem lekkiej wymówki zwróciła się ku Jurkowi, który zaczerwieniony po uszy, zdawał się oczekiwać ze spuszczoną głową rozgrzeszenia za to przewinienie. Już ty moja Lolu masz szczególny dar w sobie; nawet pan Jerzy woli u ciebie jak u mnie gościć. O! czekaj ! czekaj siostruniu, zemszczę ja się na tobie okrutnie. Wendetę poprzysięgam ci na śmierć i życie, trzepała prędko Milcia nie pozwalając nikomu dojść do słowa. Mozart skrzypki, które już stroić począł, odłożył, Lola zamknęła fortepian. Jurek stał ciągle jak winowajca, a reszta kolegów jego nie wiedziała co z sobą uczynić, tak ich wejście Milci zmieszało.

i— Przerwałam może ją zajmującą rozmowę — przepraszam— proszę dalej prowadzić ją inaczej pójdę, sobie; wszyscy się na mnie patrzycie milcząc, tak, jakbym była dziwadłem? Panie Kański, czym do dziwadła podobna?

Pan Kański było sobie człowiek już nie młody, nie brzydki, o małych przenikliwych oczach, blondyn jasny, nic z twarzy



jego wywnioskować nie można było prócz jakiegoś chłodu, który mimowoli odpychał. Jak mówiły kroniki Starego miasta, pan Kaliski będąc młodym człowiekiem był bardzo bogatym, miał podobno kiedyś znaczny majątek na Litwie, a dziś przeczuwając powstanie sprzedał go (i to podobno Moskalowi) a na mieszkanie przeniósł się do Warszawy. Pani Sielska matka Milci знаła go jeszcze wtedy, gdy był małym chłopięciem, a dzisiejsza znajomość ich była tylko od nowieniem dawnej.

Panu Kańskiemu Milcia podobała się bardzo i miałby wszelkie szanse powodzenia w jej sercu, gdyby był młodszym, piękniejszym i gdyby Jurek nie uchodził w jej przekonaniu za równie bogatego i na przyszłość wiele obiecującego młodzieńca. To też pan Kański był asystentem z rezerwy i w razie, gdyby był Jurek albo zerwał stosunek z Milcia albo też okazał się ubogim, co jeszcze urzędownie skonstatowaniem nie było, pan Kański mógł liczyć na powodzenie i mieć nadzieję osiągnięcia serca i ręki Milci. Gdzie tylko więc na darzyła się sposobność, pan Kański zawsze starał się okazać i Milci i samej pani Sielskiej, że gotów jest swój kawalerski stan przemienić, byle ona chciała mu swoje ramię na drogę życia podać. Jurek serdecznie nienawidził Kańskiego i częste między uim a Milcią zachodziły nieporozumienia z powodu tego niebezpiecznego intruza. To też i dziś, gdy ujrzał go przy Milci, zachmurzył się a przystępując do niej szepnął cicho: I

— Pani nie mogłaś się nudzić, miałaś pani przyjemnego towarzysza, który nudy pani starał się zapewne odpędzić.

— To mi wolno mój panie — odparła Milcia wyniośle.

— Nie wątpię, ale...

— Ja nie znam żadnego ale, jestem panią swej woli.

— To dowodzi... że...

— To dowodzi tego, czego pan chcesz, aby dowodziło. Panie Kański, podaj mi pan z łaski swojej krzesło, a odwracając się od

Jurka, który ciągle stał jak skamieniały, poczęła żywą rozmowę z Lolą.

— Oho! szepnął Cezar, Jurek pierwszą batalję przegrał, nie wiem czy Katonowi uda się tak szczęśliwie skończyć drugie oświadczenie jak pierwsze.

— Nie, bo Katon o tem nie myśli, w tej chwili odparł sam Katon, który ostatnie słowa Cezara dosłyszał.

— To lepiej...

— Tamta naszemu kochanemu Jurkowi nie dałaby szczęścia, owszem zatrułaby mu całe życie i dla tego wszelkimi siłami starać się należy, aby tego związku nie dopuścić. On by niezawodnie zginął, gdyby Milcia została jego żoną.

— Naturalnie, dodał Sakrates.

Jurek tymczasem błdy przystąpił po raz drugi do Milci.

— Zatem, jeśli tak, nie będzie pani przykrą wiadomością, że jutro wyjeżdżam...

— Tak?  
— Tak pani — i może nie wróć już nigdy...  
— Zapewne pauu Warszawa tak dokuczyła...  
— O! pani jesteś nielitościwą, zawołał Jurek. Na jutro nazna czono wybuch, pójdziemy wszyscy jak tu jesteśmy — może więc zginę, może się już nie zobaczymy w życiu.  
— Wybuch! prawie z przerażeniem zawołała Milcia!  
— Tak pani! wybuch zbrojny! powstanie!  
— I pan idziesz także?  
— To nie ulega nawet dyskusji...  
Milcia zrozumiała w tej chwili, że zanadto dokuczyła Jurkowi, chciała więc naprawić błąd uczyniony i zwróciła się ku niemu już z innym wzrokiem i innym zapytała głosem:  
— Bez żalu za nami...  
— Ten żal dla pani jest obojętnym, odparł Jurek.  
Jakto?...  
— Objawiłaś to pani przed chwilą... Znajdziesz wreszcie po cieszydciela...  
— O panie Jerzy, tak się mówić nie godzi... Była to słuszna kara. Jakto? jutro wyjeżdżasz — kto wie, kiedy się zobaczysz ze mną, a tymczasem zamiast mnie pożegnać, przychodzisz odwiedzać Lolę. Czyż sądzisz, że ja nie jestem zazdrosną?

Pani! szepnął szczęśliwy Jurek... Ty wiesz, że ja ciebie kocham wiesz że z życiem chyba mogę zapomnieć o tobie — nie męcz mnie swemi żartami, bo mnie te bardzo bola.  
— Daruj pan, jam to uczyniła nierozważnie... Lolu chodź tutaj bliżej... Czy wiesz?...  
— Wiem ! jutro wszyscy wychodzą.  
— I twój Mozart?  
— Tak! niestety, wszakże to jego obowiązkiem, tym na prze szkodzi ja stawać nie mogę. Dziaduś powiada, że toby się równało zbrodni...  
— Eh! dziaduś twój nie ma racji! On już zapomniał, co to miłość. Ja bo Jerzego nie puszcę. Prawda? dodała zwracając się ku Jurkowi...  
— Nie pani, tym razem będę pani nieposłusznym...  
— Zobaczmy,..  
— ! to niecofnione...  
— Pan jesteś chory, a i tu możesz być pomocnym; Rząd Na rodowy niezawodnie pana uwolni.  
— Jabym uwolnienia nie przyjął.  
— To rzecz moja, zakończyła Milcia absolutnie.  
Potem gawędka poszła ogólna. — Każdy marzył, spodziewał się, liczył — i opowiadał te wszystkie nadzieje swoje, major słuchał, robił"uwagi. Cezar ogniście dowodził. Katon go mitygował, Sokrates milcząc słuchał, Jurek patrzył na Milcię, Milca na pana Kańskiego, a najmniej ogólną tą rozmową zajęci byli Mozart i Lola. Oni

chcieli ostatni wieczór spędzić razem, zespoleni duchem, zapatrzeni w siebie, pływający myślą po błękitnym morzu nadziei, wedle słów poety, jak dwaj aniołkowie w łódce o złotych wiosłach. I byłiby tak marzyli i siedzieli patrząc na siebie bez końca, gdyby wszyscy chórem nie zaczęli się domagać od nich muzyki. Nawet Milcia, która w dziwnym jakimś dzisiaj znajdowała się usposobieniu, od chwili, gdy się dowiedziała o mającym jutro nastąpić wybuchu, także swój głos do ogólnego życzenia dołączyła.

Lola więc chcąc niechcąc usiadła za fortepianem, Mozart stanął za jej krzesłem, wziął skrzypce do ręki i wprawnym smyczkiem przebiegł po nich kilkoma minorowymi akordami. Słyszeliśmy go już kilka razy grającego nigdy jednak muzyka jego nie była tak ognistą, tak pełną nadziei jak dzisiaj; przebiegał tam i mazurki

i krakowiaki ochocze — dzieląc piosnki naszego ludu, aż w końcu po wzniosłej modlitwie Stradelli, ze strun zabrzmiał uroczy mazur rek Dąbrowskiego, śpiewany przez polskie legiony, „Jeszcze Polska nie zginęła”. Lola wtórując zdawała się odczuwać myśl mistrza. Słuchacze nie usłyszeli pomimo nieprzygotowania akompaniarki ani jednego dysonansu, Gdy śpiew się zakończył, wszystkich ręce mimowoli złożyły się do oklasku.

— Oto mi się nazywa grać, zawołał z uśmiechem Cezar.

Mozarcie, mistrzu najdroższy pójdz tu w moje objęcia, niech cię uściskam; gdy ty grasz, ja czuję w sobie głos, który mi powiada, że zwyciężymy, że silnie i potężnie staniemy, dumnie spoglądając na ów świat, co jak Neron Rzymem spodlony — okułał nas w kajdany i wyrzec się kazał przyszłości.

— A teraz panie majorze pozwól, że cię już nudzić przestaniemy. Mamy jeszcze wiele rzeczy do załatwienia, więc serdecznym słowem żegnamy, przerwał Katon zapalającemu się coraz więcej Cezarowi. No Mozarcie, powiedz do widzenia swej narzeczonej i dalej w drogę.

— Bądź zdrowa, szepnął Mozart do Loli...

— Do widzenia, odparło mu zażawione dziewczę.

— My się jeszcze zobaczymy? w formie zapytania rzekła do Jurka Milcia. Czekam jutro! niezawodnie, skinieniem głowy i silnym ściśnięciem ręki żegnając go.

— Będę się starał, odpowiedział Jurek.

— Czekam, dorzuciła Milcia...

— Niech was Bóg prowadzi, zakończył major i krzyż w powietrzu nad głowami bohaterów naszych drżącą ręką zakreślił. Młodzież przybliżyła się doń kolejno i całowała z uszanowaniem ramię. Po chwili w izbie majora było cicho i pusto, od czasu do czasu tylko słychać było cichy szept modlitwy Loli, która przed obrazem Boga Rodzicy zasała łzawą a gorącą modlitwą za pożytkość i szczęśliwy powrót swojego ukochanego. Po wyjściu Katon zaproponował przechadzkę po mieście. Niebo się wypogodziło, księżyc wychylił bladą twarz swoją. — Wisła szumiała, uderzając swemi

srebrnymi falami o brzegi; na ulicy gdzie nigdzie tylko dojrzeć można było cień jakiś. Jeden tylko Cezar z całego grona znajomej nam młodzieży projektu przechadzki uie przyjął, wymówił się jakimś listem, który miał w domu napisać i odłączył się od całego to warzy

stwa. Reszta zaś ze zwieszonymi głowami podążyła w stronę Pragi — każdy miał coś na myśli — każdy wytężał wzrok na jutro — jutro tak wiele zapowiadało. Przeszli więc w milczeniu most i wrócili napowrót do domu, gdzie ich już Cezar we drzwiach z niespodzianką oczekiwał.

— A co wielcy filozofowie, mistrze, muzycy, uczeni i doktorowie, ani się spodziewaliście, jak ostatni dzień pięknie spędzimy. Patrzcie, oto przygotowałem całą baterią francuza i Węgra na sukurs dzisiejszej naszej odwadze, zawołał wskazując na rząd ustawionych na stole butelek z winem. Wiesz Jurku, Katonie, Sokratesie, Mozarcie, jeszcze nigdy w życiu się nie upiłem, chcę to uczynić dzisiaj, taki jestem szczęśliwy, taki wesół i rad, wszystko się do mnie uśmiecha, bo przyszłość ojczyzny nasza, bo w nią wierzę; dalej siadajcie, a ty Mozarcie do skrzypek; graj co chcesz, ale we soło, ale od ucha, bo dusza skacze. .

I wszyscy stół w koło obsiedli, szklanki się napęłniły, piosnka z uśmiechem na ustach zagościła i w chór się połączyła. Wszystkim przybyło nadziei. Mozart chórowi akompaniował. Cezar dowodził. No! dalej, Jurku doktorze poeto improwizuj! Tobie przyznaję pierwszeństwo wznoszenia zdrowia. Ja zastrzegam sobie pierwsze. Na cześć mojej świętej ukochanej ojczyzny i jej przyszłości! zawołał podnosząc w górę kielich. Oby nam powstała wolną, potężną i niewyciężoną!..

— Amen! odpowiedzieli wszyscy poważnie i spełnili kielich do dna. Potem Cezar napęłnił znów szklankę a Jurek zawołał:

— Chcecie poezyi a więc słuchajcie, powiem wam wiersz krótki i cztery przy nim toasty spełnimy.

— Zgoda! Zgoda! mów a prędko — zawołał Cezar!

— A więc, zaczął Jurek:

Toast ten pierwszy na cześć owej świętej,

Co nad kołyską moją pochylona

Słała do Boga pacierz w łzy zakłęty

Bym ja żył w szczęściu a w cierpieniach ona.

— Masz słuszność mój poczciwy Jurasiu. To najpierwsze, które wnieść powinniśmy. Zdrowie matek naszych, matek bolesnych, których przyszłość smętna, bo oblana łzami nad dolą naszą.

— Ja mogę już tylko w cześć jej pamięci wypić, dodał Mozart i łza stoczyła się do szklanki z oczów jego. O! wyście nie znali matki mojej. Była to święta choć niewykształcona niewiasta. Jak

dziś widzę ją schyloną nad moją głową i żegnającą krzyżykiem,  
gdym z synami dziedzica w świat wyjeżdżał. Ona była chłopką,  
ubogą komornicą i niedawno ją pochowałem.

— Bądź spokojny, dodał Sokrates, ona błogosławi ci z góry  
i wyprosi ci życie szczęśliwe.

— Precz smutne wspomnienie, wołał Cezar, Jurku impro  
wizuj dalej!

Jurek znów ciągnął dalej:

Toast ten drugi — w cześć ojca, w cześć tego,

Co nas nauczył życia służby twardej,

Co nas nauczył wielkich prawd dobrego,

Dla cnot zachwyty i dla zbrodni wgardy.

W cześć więc naszych ojców!—I znów szklanki dotknęły  
się brzegami—znów nowe westchnienie dobyło się z piersi młodzieży,  
i znów łzy na powiekach zagościły.

— Dalej! dalej! wołał Cezar — pragnę wesołego toastu —  
toastu coby nas wszystkich poruszył — któryby każdy wychylił  
z uśmiechem na ustach.

— Więc słuchaj ty trzpiocie:

Toast ten trzeci na cześć owej stałej

Kochanki pierwszej — w której oczach czarnych,

Lśnił raj i usta tak szeptać umiały

„Kocham" wśród ciszy i wśród biesiad gwarnych!

— Tam do kata, a czyjeż będzie pił zdrowie ten, kto nic miał  
w życiu żadnej kochanki, naprzykład w takim położeniu jestem  
ja, Katon i Sokrates. Piękny! bardzo piękny toast ani słowa.  
Pijcie go sobie z Mozartem, bo ja nie myślę.

— A więc ja was pogodzę — kto nie ma kochanki, zawołał  
Sokrates, niechaj pije w cześć swoich idei.

— Brawo! niech żyje transcendentalny systemat filozoficzny  
wymyślony przez Sokratesa — zawołał śmiejąc się Cezar.

— No, ale przy tem toaście pozwól mój serdeczny Jurku, niech  
ci wypowiem zdanie nas wszystkich o twojej miłości dla Milci,  
dodał Katon. Ty ją kochasz — to widoczne. Serca takie, jak twoje  
jeśli kochają — kochają raz w życiu tylko — słuchaj, my widzimy  
że ona ciebie nie warta.

— Bo jej nie znacie, odparł Jurek...

— Daj pokój — dosyć ją raz zobaczyć, jak się z tobą ob  
chodzi, aby przyjść do przekonania, że tam uczucia nie ma; wierz

nam, my ciebie wszyscy kochamy, wyrzuć z serca tę miłość, która ciebie zabija. To nie dla ciebie kobieta — ona cię zgubi.

— O tak, wierzcie mi, ja ją tak kocham, iż dziś, gdybym się przekonał, iż miłość moją lekceważy i wzajemnością nie płaci, umarłbym niezawodnie, dlatego wyrzucić miłości mojej z serca dla niej nie mogę — bo żądacie odemnie rzeczy nadzwyczajnej, nie podobieństwa.

. I biedny Jurek usiadł smutny — a szklanę nietkniętą na stole postawił.

— No dalej pij — i wznos toast czwarty — bo dotąd tylko trzy słyszałem, a cztery przyobiecałeś. — Katonie proszę i zakli nam cię na przyjaźń naszą, odłóż wszelkie drażliwe kwestje na bok. — Dobrze więc, wnoszę toast — ale toast ostatni — więcej już pić nie będę.

Teraz zaś za uim ostatnia godzina

Wybije — bracia... na rozstanie z wami...

Chcę pożegnania wnieść toast... hej!... wina!...

Nie!... ja ten toast spełnię niemi łzami.

I rzucił pocziwy Jurek o ziemię szklanę, a rzucając się na piersi Katona, zaszlochał serdecznie. Wszyscy odstawili szklanki na bok i wszyscy ten serdeczny a prawdziwie z serca płynący powtórzyli toast. Świtało już wtedy — seu odleciał od powiek tych młodych dziwaków, co chcieli świat zdobyć i myśleli wedle serca go uregulować. Nie wiedzieli, że serce tak małą gra rolę w ustroju społecznym. Całą noc tak przegwarzyli wspólnie marząc. Nagle pode drzwiami coś szemrać zaczęło, po chwili ktoś zapukał. — Proszę wejść, zawołał Jurek...

I drzwi się otworzyły a do pokoju weszło kilka otyłych nie wiast. Były to przekupki Starego miasta, których pocziwość, serdeczność i gadatliwość znana całej Warszawie.

— A najdroższa pani Marcinowa, zawołał Cezar podskakując ku jednej i chwytając ją począł ścisnąć serdecznie.

— Oj ty ty figlarzu! rzekła pani Marcinowa familiarnie — to się już zaczynasz do poważnych mężatek umizgać — czekaj, po wiem ja twojej dziewczynie, jak ją zobaczę.

— Serdeczna, kochana pani Marcinowa — tak mi Boże do pomóż, nie mam żadnej — to rzecz tych dwóch nicponiów, dodał wskazując na Mozarta i Jurka. Ale cóż za interes przyznał ko chane panie nasze.

— Ot stęskniłyśmy się bez was — tak was tam gdzieś licha ciągle nosi, spiskujecie i spiskujecie, a przyjaciółkom ani powiedzą, co się dzieje, czego się mamy trzymać. Wszystko tak robicie, jak byśmy u was nie zasługiwały na zaufanie; no! no! poczekajcie wy nic dobrego, przyjdzie koza do woza, a wtedy my was znać nie będziemy.

— Ale o cóż idzie, kochana pani? zawołał Jurek.

O co idzie, masz! niby to nie wiecie — wczoraj uradzi

liście zrobić powstanie, a stare baby, przekupki nic o tem nie wiedzą, bo mają długie języki; ho! ho! Boże ty mój, długi język, ale nie dla świętej rzeczy, nie dla swoich.

— Pani droga, dodał Katon, nie mieliśmy czasu! —No! ale teraz mówimy paniom o tem głośno, śmiało, bez żadnej obawy, bo znamy wasze poczciwe serca.

— Otoż właśnie zrobiliśmy wczoraj walną naradę i postanowiliśmy, aby do was wysłać delegację, aby oddać wam odrobinę grosza, cośmy sobie uciulały od dawna, boć się to przecie przyda. Nie wiele to jest, dodała Marcinowa rozwiązując węzełek zawiązany u chustki, ale serca za to wiele, co was gorąco kocha.

—Ależ droga moja jedyna mateńko, nam pieniędzy nie potrzeba, ściskając i całując panią Marcinową, zawołał Cezar, my mamy dosyć grosza, nam to wystarczy uiezawodnie.

— Czy wystarczy czy nie wystarczy, to mnie nic nie obchodzi, ale rzecz dokumentnie zbadawszy tak postanowiliśmy i od tego wyroku żadnej apelacji nio ma. Pieniądze przyjąć musicie; jak wam nie potrzeba samym, to kupcie tam jaki karabin i niech on nosi nazwę przekupek warszawskich, a niezawodnie masę Moskali zabije, bo kule z niego z taką będą lecieć nienawiścią, jaką my do nich czujemy. A teraz niech was Bóg prowadzi, dodała żegnając Wraz z towarzyszkami młodzież naszą i każdemu na czole skła dając pocałunek i gorący uścisk rąk. Poczciwa Marcinowa zalała się łzami wołając: aby z Bogiem, aby z dobrym skutkiem wracajcie dzieci nasze!

Jeszcze młodzież wyjść wie miała czasu z rozrzewnienia, którym ich serca napełnił czyn poczciwych przekupek, gdy znów ktoś zapukał do pokoju.

— Proszę wejść znowuż zawołano, a we drzwiach ukazała się surowa twarz pana Joachima, a przy uim dobrodusznie uśmiechnięte oblicze pani Wengowej, matki Jurka.

— Matko moja! zawołał teuże z całego serca, rzucając się w objęcia przybyłej.

— Jurku! synu! serce moje!... dziecie najdroższe, szeptała matka, pati Joachim zaś zdala oparty o stół, z rozrzewnieniem przyglądał się temu przywitaniu, i uśmiechem witał towarzyszków swojego wychowanka.

Jakim zaś sposobem pani Werygowa wraz z panem Joachimem znaleźli się w Warszawie, rzecz to następującego rozdziału.

IX.

Jeszcze nowe postacie.

Za pieniąż dostaniesz wszystkiego; kupisz przyjaciela, kochaną, rodzinę nawet, ale matki, serdecznego jej uścisku nie kupisz. Matka, to słowo Święte, ona ci ukazuje ścieżkę życia, marzy za ciebie, jeśli ty czynić tego nic potrafisz, ona sny złote sprowadza na głowę twoją i modli się za ciebie. — Jest jednakże jedno

uczucie, które od macierzyńskiego jest większem, a tem jest uczucie dla drugiej matki, matki ojczyzny. Ilekroć razy dwa te uczucia znajdują z sobą w kolizyę, niezawodnie, choć po licznych walkach, u naszych Polek wyjdzie to drugie jako zwycięzca. Dzieje nasze, poczynając od Kamińskiego, zabijającego własne dziecko, a kończąc na przepokach Starego miasta w Warszawie podczas powstania r., co błogosławiły swych jedynaków wysyłając ich na pole walki, są najwymowniejszym tego dowodem.

Pani Werygowa skoro jej z rozpromienioną twarzą pan Joachim zwiastował budzące się życie narodu, o swego jedynaka lękać się poczęła. Znała Jurka gorącość, wyrobioną w uim przez pana Joachima patriotyzm, wiedziała, że za innemi niezawodnie pójdzie, nie miała siły wymagać od niego przyrzeczenia, że się zachowa spokojnie i mieszać się do spraw publicznych niebędzie, bo czuła jako

Polka, że tego uczynię nie może. To też podwoiła znowuż modlitwy i jałmużny na intencyę jedynaka, a pana Joachima bezustannie zarzucała pytaniami o sytuację polityczną i z drzeniem serca oczekiwania wybuchu zbrojnego, który swym kobiecym przeczuwała instynktem. Pan Joachim jak mógł tak odsuwał od niej wszystkie wiadomości, mogące ją zaniepokoić. Nie udawało mu się to jednak — czegoż bowiem serce matczyne nie przeczuje. Pan Joachim podczas jednej ze swoich bytności w Warszawie poznawszy bliżej Katona, polecił mu szczególniejszej opiece Jurasia. Katon serdecznie kochał Jurka, znał przywiązanie do niego pana Joachima, to też zawiązał z nim obszerną korespondencyę i o stanie duszy swojego przyjaciela bardzo częste zdawał mu relacye. Pan Joachim jeduemi się rozweselał, drugie go martwiły. Pani Werygowa jednak listów tych nie czytała. Nadszedł rok , umysły coraz się więcej entuzjazmowały. Moskale poczęły wywierać na naród represyę. Pani Werygowa coraz więcej nagliła na poczciwego nauczyciela, aby czemp prędzej spieniżywszy wszystko co posiadali, udać się do Warszawy. Pan Joachim opierał się bardzo długo i stanowczo dosyć, żądaniom pani Werygowej, i w każdym razie na długo byłby jej wyjazd odłożył, gdyby nie wypadek, który najczęściej miesza wszystkie szyki za miarom ludzkim.

Po śmierci pana Kaspra, Jacentego, Atauazego trzech imion Werygi, jak to z początku niniejszego opowiadania mieliśmy sposobność już nadmienić, zostało się kilkadziesiąt tysięcy gotowego grosza, który pani Werygowa wraz z opieką nad Jurkiem powierzyła panu Joachimowi. Pan Joachim był człowiekiem zacnym, poczciwym, ale niestety posiadał jedną wadę, właściwą wszystkim ludziom zacnego serca, a nią była bezgraniczna wiara, pomimo licznych zawodów w ludzką poczciwość. Na świecie nie brakuje nigdy ludzi gotowych zawsze korzystać z takiej łatwowierności, nic więc dziwnego, że i w O. znalazło się ich kilku, co przewidziawszy się o majątku, jaki spadł na Jurka i że takowy znajduje się w rękach pana Joachima, wszelkich używali sposobów, aby w tej wodzie



dla siebie rybkę ułowić. Znali oni pana Joachima, nie spodziewali się więc, aby tak bardzo trudnym było wydostanie od niego pieniędzy, to też ze wszystkich stron rzucili się nań. to z prośbą o pożyczkę, to z propozycją jakiegoś korzystnego przedsięwzięcia, wszyscy na jedną hutę śpiewali piosnkę : Panie Joachimie, wszakże

to Sierockie pieniądze, nie godzi się je zakopywać w ziemię, toćże to można waszemu wychowawcowi nie mało grosza przyczynić. Pan Joachim jak mógł tak się opędał tej zajadłej szarańczy, w każdym, razie jednak począł się zastanawiać nad tem wszystkim, co mu mówiono i przyszedł do wniosku, że pieniądze ulokować gdzieś należy, aby mu potem za to nie robiono wyrzutów. Biedził się jeduak długo, a skutecznego środka na to zmartwienie swoje znaleźć nie umiał. Lecz i tu usłużył mu przypadek. W O. jak zwykle w każdym powiatowym miasteczku mieszkał rejent, znany pod nazwiskiem Karolka. Pan Karolek Wincenty była to sobie pocie i szna nader figurka. Małeńki z olbrzymią stosunkowo do całego i ciała głową, okrytą już nawpół rudą peruką, na której zobaczyć można było codziennie czapkę z szerokim rydelkiem, w dzień zaś świąteczne cylindry, przypominający modę z czasów saskich, wyso kością przewyższający jego samego, podobnym był raczej do nie wykształconej jeszcze żaby, którą nasi wieśniacy pospolicie kijonkami nazywają, jak do człowieka. Przydomek też Kijonki ex re tego ! podobieństwa zyskał sobie. Z całym jego ubraniem dziwnie harmonizowały bure konserwy w czarną gdzie niegdzie już pozwiązywaną oprawą obsadzone. O jego charakterze, usposobieniu nikt w miasteczku nie wiedział, bo pan Karolek, czy pan Kijonka, jak chcecie, od lat niepamiętnych trzymał przy sobie służącą nader przywiązaną do swojej osoby, która przystępu do jego osobistych apartamentów broniła lepiej od walczących na reducie grenadierów Napoleońskich. Chodziły wprawdzie po mieście jakieś ploteczki o nieczystych interesach, które pan Karolek prowadził, ale wszystko były to tylko gołe wieści, na których poparcie nikt ani dowodów dostarczyć ani pokrzywdzonych wskazać nie umiał. Mówiono także, że pan Kijonka ma córkę w Warszawie u ciotki, że ją bardzo kocha, że dwa razy do roku jeździ umyślnie do niej, ale jej nikt dotąd nie widział. To tylko stanowczo i na pewno skonstatowanym było, że pan Kijonka nader wiele co miesiąc wyprawia pieniędzy do Warszawy, i że jest bardzo bogatym człowiekiem. Dla naszych czytelników musimy dodać, że wersje te odnoszące się do córki, były prawdziwe, że panna Karolek rzeczywiście była nader piękną osobą i że mieszkała w Warszawie. Wówczas, kiedy pan Joachim biedził się z myślami, co uczynić z tak olbrzymim majątkiem, który pierwszy raz posiadał w swym ręku w tak znacznej sumie, pan Kijonka

przemyślał, jakimby sposobem trafić do pana Joachima, aby z nim ściślejsze zawrzeć stosunki. Jaki zaś był powód tego pragnienia, to się dowiedzieć będzie można z ciągu dalszego niniejszej powieści. Pewnego wieczora po odbytych lekcjach ze swojemi malcami, pan Joachim zapuścił się daleko za miasto, dumając o stanie obecnym kraju, gdy na zakręcie przy lasku o dwie wiorsty od miasta położonym, a zwanym pompatycznie laskiem Bulońskim, jakby z nieba zjawił się tuż koło niego pan Kijonka; a kłaniając się swoją czapką z długim rydelkiem, zawołał z uśmiechem na twarzy;

A!... pan Dobrodziejka przechadźcie! na przechadźcie!  
panie sieju, o! rzecz doświadczona, panie sieju, po pracy ruch konieczny, nieodzowny.

— Rzeczywiście, odparł pan Joachim; pan także używa świeżego powietrza?

— A naturalnie! panie sieju. człek cały dzień jak mysz między papierami ślęczy, toż wieczorem, z całą przyjemnością oddycha panie sieju wonią lasów i łąk. — Pan Kijonka tak się za galopował w swojej ekstazie dla łąk i lasów, iż nie spostrzegł nawet, że te łąki i lasy pokryte były przynajmniej na łokieć śniegiem.

— Co to za rozkosz, prawil dalej, wobec otaczającej przyrody, myśleć nad wielkimi zagadkami życia i stworzenia, nad nieszczęściami kraju. Panu Dobrodziejowi panie sieju wiadomo, co to za straszne dzieją się rzeczy na świecie; kto to wie panie sieju, slyszałem parę tygodni temu, jak byłem w Warszawie, że byle tylko u nas stworzyła się jakakolwiek ruchawka, Napoleon zaraz nam wyjedna interwenyę u innych mocarstw i sam niezawodnie pomoże. Cóż pan Dobrodziej na to panie sieju?

Któryż to Polak nie da się wciągnąć w rozmowę o polityce?

Pan Joachim jak inni miał też samą naturę, to też nic łatwiejszego nie było dla pana Kijonki, który w języku był nader sprytnym, jak rzecz tak przeprowadzić, aby pana Joachima zaintrygować i ku sobie pociągnąć. Pan Kijonka do wszystkich swoich rysów charakteru, który nader trudno zbadać było, łączył jeden bardzo piękny, a nim był jego, trzeba dodać prawdziwy patriotyzm. Był egoistą, sobkiem, człowiekiem niezbadanym, ale jeśli ktoś potrafił tę czułą jego strunę, zapalał się i gotów był nawet głupstwo jakieś

zrobić. Pamiętano w mieście, jak na nabożeństwie za Kościuszkę tysiąc złotych na tacy położył. Wiedziano także, że z żadnym Moskałem nie przestawał i mundurem moskiewskim się brzydził.

O tej pięknej stronie jego wiedział i pan Joachim i to go właśnie skłoniło do większej szczerości w mowie. Powoli pan Joachim począł opowiadać towarzyszom swoje kłopoty z wychowankiem i obawę, aby mu kiedyś nie uczyniono zarzutu, iż pieniądze po wierzone, bez żadnej korzyści lat tyle w swej skrzynce przechowywał. Pan Kijonka słuchał tych wszystkich zwierzeń z wielkim zajęciem, od czasu do czasu poprawiał swoje okulary i chrząkał. Wreszcie gdy mu pan Joachim całą rzecz już dostatecznie wyłożył, zawołał:

— At panie sieju, widzę że sobie na serjo radzić pan Dobro dziej nie umiesz.

— Ba! jakże radzić, odparł pan Joachim, człek sam nigdy tak wiele pieniędzy nie miał, to też nic dziwnego, że z cudzemi radzić sobie nie potrafi.

— A nie byłoż to przyjsć do mnie, panie sieju.

— Prawdziwie... nie miałem śmiałości...

— Śmiałość nie śmiałość panie sieju, a interes interesem; widzisz panie Joachimie, ja jestem zupełnie innym człowiekiem jak a cała zgraja, wierz mi, bo ja nie kłamie, nie dla tego żebym się aż na zawsze kłamstwa wyrzekał, bo wierz mi, że prawda dzisiaj ikomu z ludzi prezentowaną nie jest, nikt jej jeszcze na oczy woje nie oglądał, a gdyby komu na świecie udało się wymyślić jakąś miarę kłamstwa, coś w rodzaju termometru, łgomierz jaki, o panie sieju wskazówka na stu zawsze by stała. Otoż ja anie sieju kłamstwa się nie wyrzekam, człek przeżył wiele, bardzo iele, ale jeśli skłamię, to tylko dla dwóch na świecie istot, dla iojej córki i dla kraju. Reszta panie sieju furda i tyle panie sieju. zy sądzisz panie Joachimie, że ja nie obserwuję ludzi, że ciebie ie znam, że nie znam twojego pupila; znam go, znani doskonale dla tego chcę ci dać radę, któraby cię z tego wybawiła kłopotu.

— Czemuż jednakże mam zawdzięczyć życzliwość pana do rodzaje! dorzucił pan Joachim.

— Czemu? odparł pan Kijonka i serdecznie się roześmiała to wie, może ja mam powód jaki być dla was życzliwym... Dużoż więc macie w depozycie pieniędzy Jerzego Werygi?

— Siedmdziesiąt tysięcy złotych polskich w gotówce, trzy dzieści tysięcy zaś w kwitach i rewersach...

Ha! toż to nie mała sumka; pokazuje się, że pan Weryga około swoich interesów dosyć skrzętnie umiał chodzić. Jaktó i wy myślicie to wszystko zostawić pod poduszką, na piersiach, czy też w kasie ogniotrwałej?

— Nie wiem sam, co z tem czynić i to jest właśnie powodem moich zmartwień.

— Martwić się czego nie ma — pieniądz daje człowiekowi pewien punkt oparcia; gdy on jest, jest wszystko. Wiecie co panie Joachimie, ja wam radzić nie będę, a powiem wam tylko, jak ja niemi kapitałami obracam. Chcecie weźcie się i wy do takiej roboty, albo róbcie, co się wam podoba.

— Mówcie więc panie, ja słucham, przerwał pan Joachim nadstawiając uszy.

Pan Kijonka tak dalej rzecz swoją prowadził:

W Warszawie mieszka pewien bankier znany pod nazwiskiem Sylwana Roz; ludzie mówią, że jest żydem czy wykrztą, ale mnie to nie obchodzi, mam bowiem to przekonanie, że Pan Róg przyjmuje jednakowo wszystkie modlitwy, byle z poczciwych ust wychodziły. Czy usta Roża są uczciwe? nie wiem, mam jednak wszystkie powody mniemać, że tak jest... Odśelani mu więc wszystkie pieniądze moje, on niemi obraca, rzuca je w rozmaite spekulacje, a połowę procentu najsumienniejszemu mi odsła. To też dzięki Bogu i jego pracy, majątek mój doszedł już obecnie do miliona.

— Do miliona! szepnął zdumiony pan Joachim...

— Tak... nie inaczej...

— A jak się jaka spekulacja mu nie uda i wszystko straci ?

— To być nie może. Roz jest bankier sumienny i poczciwy; za nów przystąpi do jakiegokolwiek spekulacji, naradza się ze mną, bo wie, że w tych rzeczach mam już pewne doświadczenie, i nigdy go jeszcze dotąd moje zdanie nie zawiodło..

— Więc radzisz mi pan, abym i ja mu powierzył fundusze mojego wychowańca?

— Z całego serca panie sieju, z całego serca...

tak rozstał się pan Joachim z panem Kijonką, a nad radą jego dnie i noce przemyślał począł. Nęciły pana Joachima pieniądze, które dla Jurka mógł Roz zarobić, ale także i nękała go

obawa, żeby takowych nie stracił. Po długich jednak rozmyślaniach postanowił po naradzie z panią Honoratą, nie odwlekać i do rady Kijonki się zastosować, zaciągnąwszy poprzednio dokładniejszych od niego w tym względzie wiadomości.

Kijonka zaś gdy się rozstał z panem Joachimem, uśmiechnął się do siebie, ręce potarł i skierował ku swojemu domowi. Tutaj wszedł, zatrzasnął drzwi na zasówkę za sobą, usiadł do stolika zarzuconego papierami, obejrzał się, wyjął z bocznej kieszeni kamizelki mały kluczyk i otworzywszy nim szufladę, wyjął z niej bogato oprawny medalion i z lubością mu się przyglądał. Na medalionie była wymalowana prześliczna młoda panienka, trzymająca małego pincza na ręku. Panienka owa mogła mieć obecnie lat ośmnaście. Całą jej postać malarz mógł wziąć za prototyp na miętności. Oczy pały dziwnym blaskiem, włosy krucze rozpuszczone sięgały jej aż do pasa, usteczka wydatne i nos cokolwiczek zadarty, kształtny jednak bardzo wraz z dołeczkami, które się w końcu ust zarysowywały, czyniły ją zachwycającym zjawiskiem.

Była to córka pana Karolka, Paulina Karolek, o której z ust jego już słyszeliśmy wzmiankę.

Długo wpatrywał się w miniaturę rozpromieniony ojciec, a w oczach jego widać było całą bezdeń miłości, jaką swoje jedyne dziecię otaczał. Pola była dzieckiem nadzwyczaj kapryśnym, pomimo to bardzo dobre posiadała serce, każde jej zachcenie ojciec spełniał z zadziwiającą akuracnością. Nikomu i niczemu nie wolno było się jej sprzeciwić i stary Karolek pracował dniem i nocą wyęczał wszystkie swoje zdolności, aby tylko zadosyć uczynić wszystkim jej wymaganiom i najdziwaczniejszym zachciankom. Pola przyjmowała wszystkie te objawy miłości ojca z wdzięcznością i kochała go bardzo. Atoli nie mogła wymóżyć na nim nigdy za dosyć uczynienia jednemu kaprynowi może najszluszniejszemu ze wszystkich, a nim była prośba, aby ojciec porzucił maleńką mieścinę a przy niej na zawsze się osiedlił. Pan Karolek obiecywał jej to zawsze, ale wykonanie obietnicy do dalszego odkładał czasu. Gdy jednakże Pola do łez się uciekać poczęła, stary ojciec zawsze jej odpowiadał:

— „Dobrze! dobrze! już nie długo to zrobię; widzisz tam grób twojej matki, jam się już do niego przyzwyczaiał, na jakiś czas pozwól jeszcze odłożyć mój przyjazd; ja twoim kaprysom wszystkim

ulegam, ulegnijże ty choć jednemu mojemu." Pola popłakała trochę i widząc, iż na tym polu ojca nie zwycięży, zgodzie się na jego odosobnienie musiała. Taki był stosunek ojca do córki.—Wpatrywał się jeszcze chwilkę w jej miniaturę, złożył ją następnie starannie na boku a z szuflady wyjął wonny liścik nasiany drobnutkiemi jak maczek literkami. Był to właśnie list od Poli. — „Drogi, złoty tatku mój! pisała ona, ani ci wypowiedzieć nie umiem, co się ze mną dzieje. Znasz obecny stan Warszawy, wiesz co się tutaj między nami za straszne wyprawiają historie, każdy ma na sobie żalobę, a ja i w sercu ją noszę. Wczoraj byłam u Bernardynów u spowiedzi, spowiadał mnie ksiądz Benvenuto, wszak go znasz, męczyli go już na Sybirze Moskale. Nagle gdy odchodziłam od konfesyonału, ujrzałam prześlicznego młodego mężczyznę, stał za dumany oparty o filar, a był tak śliczny, jak belwederski Apollo, com go podczas bytności mojej w Rzymie z cicią widziałam. Nie mogłam od niego oczu oderwać, ach! tatku, jakże żałuję, że ciebie tam przy mnie nie było. Uczułam coś dziwnego w sercu i tatku mój złoty, nie gniewaj się, ja ci powiem, iż czuję, iż go kocham bardzo, ale nie myśl, aby córka twoja była tak lekkomyślną i od pierwszego wejrzenia oddała serce człowiekowi, którego moralnej wewnętrznej nie zna wartości. Tegoż samego dnia spotkałam się z nim po raz drugi u łóżka biednej, schorzałej matki siedmiorga niemowląt; przyniósł im sam ratunek i pociechę z datkiem. Nazywa się on Jerzy Weryga, jest studentem medycyny, zdaje mi się nawet tateczku mój, żeś mi raz wspomniął to nazwisko; dodać ci jednak mój tatku muszę, że rób co chcesz, ja go kocham,

szaleję za nim i on musi być moim. Jest on taki jakiś obojętny, sztywny; przy łóżku chorej zaledwie że spojrzął na mnie. Przybył waj tatku, bo twoja Pola zachoruje i umrze." W miarę głębszego zaczytywania się w pismo córki, twarz pana Karolka naprzemian się rozjaśniała i chmurzyła, na ostatni zaś frazes z pewną niecierpliwością się zatrzymał dłużej wielkim palcem, który list przytrzymał, nacisnął gwałtownie pismo, po chwili jednak się roześmiał, i sam z sobą taką rozpoczął rozmowę:

No dla czego? on nie biedny, przeciwnie bogaty, ładny, wykształcony, jej nie podobną jest rzeczą niekochać — należy tylko ich zbliżyć. — O! jedyne dziecię moje, zawołał zwracając się do miniatury — gdyby potrzebną była gwiazda z nieba do twojego

szczęścia, to jeszcze od orłów skrzydełbym pożyczył i poleciał po nią a tobie ją przyniosł. Z Joachimem wszedłem już w blizne stosunki, pokieruję jego majątkiem, pomnożę mu go dziesięćkroć, uczynię go milionerem, ale szczęście mojemu dziecku dać musi. Joachim musi jechać ze mną do Warszawy, ja chcę tego i tak będzie. — Po takim monologu wziął pióro do ręki i następujący wystylizował list: „Moje jedyne kochane dziecię Bądź dobrej myśli, wkrótce będę u ciebie, a kochaj twego ojca zawsze jednako. u Pocztem rozebrał się, zagasił świecę i udał się na spoczynek.

Pan Joachim nazajutrz poszedł do pani Werygowej, błada twarz jego z powodu niewyspania zatrwożyła poczciwą matkę.

— Może jakie nieszczęście panie Joachimie, spytała szybko podbiegając ku wchodzącemu.

— Niech Róg uchowa, droga pani! Ale wiadomo ci, że od dawna leżą u mnie pieniądze wasze — leżą one bez pożytku żadnego, bo nie przynoszą procentu; przemyślałem więc nad tem, co z niemi zrobić, zasięgałem rady w tym względzie ludzi doświadczonych i ci mi poradzili, abym pieniądze wasze oddał jakiemu znanemu bankierowi, który obracać niemi będzie i przysporzy ich więcej. Chciałem więc zapytać się paui, co o tym projekcie sądzisz?

— Ja panie Joachimie niewiasta nie do rady, ja się na tem wszystkim nie znam i zupełnie twemu uznaniu to pozostawiam; rób jak chcesz, jak uważasz korzystniejszej i dogodniej dla naszego najukochańszego Jurka.

— Jeśli się więc pani zgadzasz na to, w takim razie muszę jechać do Warszawy.

— O! to i ja pojedę z tobą jam go tak dawno nie wi działa.

Nie mógł się pan Joachim opierać woli pani Honoraty, i podróż postanowioną została. Pan Joachim powróciwszy do domu, zastał już oczekującego na siebie pana Karolka.

— No panie sieju, zawołał do wchodzącego. jadę dzisiaj do Warszawy, może pan masz tam jaki interes do załatwienia, służyć mu będę z przyjemnością.

— Serdeczne dzięki — właśnie i ja tam podążam, lecz

jaka to dla mnie prawdziwa radość, że i pan jedziesz, właśnie chciałem zasięgnąć jeszcze niektórych informacji od pana co do

tego bankiera Roża, zdecydowaliśmy się bowiem pieniądze umieścić u niego.

— Az największą ochotą, nawet jeśli pan chcesz, to ja sam cały mu ten interes załatwię bez żadnego kłopotu, a za pożytek i dobry skutek solennie ręczę.

Tak została ułożona podróż pana Joachima i pani Honoraty i takie jej towarzyszyły okoliczności. Wpłynęły one bardzo na losy jednego z bohaterów mojej powieści. Przy przyjeździe do Warszawy rzecz naturalna odłączył się od nich Karolek, a matka z panem Joachimem udali się do mieszkania znajomej nam młodzieży, gdzie ich w tej chwili widzimy.

— Jak to dobrze droga mateczko moja, mówił całując po rękach nieustannie przybyłą, już mi tak tęskno było bez was; — dziś właśnie miałem pisać do ciebie — bo rzeczy taki obrót biorą, że kto wie może się już nigdy nie zobaczylibyśmy, gdybyś tu nie była przyjechała odwiedzić swego jedynaka.

Cezar mrugnął na Sokratesa i obadwaj pożegnawszy się wyszli — w pokoju został tylko Jurek z matką, Katon i Mozart z panem Joachimem.

— Jakto? synu mój, zawołała z przerażeniem pani Honorata, coż to ma znaczyć—jabym cię nie miała już widzieć nigdy. Jurku mój najdroższy, życie moje, czyż ja bez twego widoku żyćbym mogła — nigdy — umarłabym z pewnością wtedy, gdybyś ty żyć przestał.

— Ależ mateczko moja, cóż robić, taka moja powinność!

— Powinność! jaka powinność każe matkom odbierać dzieci; nie ma takiej powinności na świecie, zawołała szlochając biedna pani Honorata.

— Ojczyzna, szepnął Jurek ledwie dostyszonym głosem.

— Ojczyzna! powtórzyła pani Honorata i głos jej na ustach zamarł, uczuła bowiem, że Jurek ma słusność i łzy zatrzymały się na jej rzęsach, szeptała tylko cicho, powoli, ojczyzna!... ojczyzna... a łkanie tłumila w piersiach. Okropnie było patrzeć się na tę walkę miłości macierzyńskiej i obowiązku matki Polki. Jurek jak mógł uspakajał matkę. Pan Joachim jednym okiem chmurnie spoglądał na Jurka i panią Werygowę, a drugim na opowiadających mu dzieje ostatnich kilku tygodni Katona i Mozarta.

— ?le I bardzo źle, ozwał się do nich, wszystkie wiadomości, jakich udzieliliście mi tak o wypadkach jak i o miłości Jurka, są dla mnie nader niepokojące.

— Któż jest ta kobieta, którą ou kocha? czy warta przy najmniej jego miłości.

— Niestety! podobno że nie.

— I jakże mogliście do tego dopuścić?

— A jakże można było zabronić ?

— Jak się nazywa?

— Emilja Sielska.

— Matka jej z domu Nadymalska, imię jej Filomena, zapytał niespokojnie pan Joachim.

— Tak!

— I mieszka w Warszawie od jak dawna?

— Od roku.

— Przyjechała z Litwy?

— Tak.

— Biedny chłopiec zginął, zawołał załamując ręce tak głośno pan Joachim, że go aż Jurek zajęty matką usłyszał i przelekkły zapytał:

— Co takiego się stało mój ojczel!

— Nic! nic! odparł pomiarkowawszy się nauczyciel, to pan Katon takie straszne opowiada mi rzeczy, że mimowoli wykrzyk na usta się ciśnie — a do Katona dodał: biedny chłopiec — zmarnieje tak, jak ja zmarnowałem sobie i młodość i życie.

— Tak źle nie będzie, odparł Mozart, pan nie miałeś takich przyjaciół, jak my jesteśmy — my mu zmarnować się nie damy.

— Czy Jurek wychodzi do oddziału ? spytał pan Joachim nagle.

— Wyjść chce i jest już prawie gotów, ale my możemy temu poradzić — dostanie jaki obowiązek na miejscu.

Pan Joachim chciał coś odpowiedzieć na to, gdy pani Werygowa postąpiła ku niemu.

— Panie, mówiła rozpaczliwym głosem, Jurko ma iść do powstania. On tam zginie, ja mam złe, bardzo złe przecucia, czyż on tu na miejscu zostać nie może, czyż tu innej roboty dla kraju nie ma, jak tylko z bronią w rękę; — on taki słaby, chory, bez sił i zdrowia...

Jeszcze tych słów nie zdążyła biedna matka dokończyć, gdy do pokoju wpadł Cezar.

— No! marszruta już gotowa — wszyscy idziemy jak tu jesteśmy w Ojcowskie skały, jeden tylko Jurek ma zostać na miejscu w organizacyi.



— A to dla czego, zawołał energicznie Jurek, ja tego rozkazu nie przyjmuję.

— Musisz, odparł spokojnie ale stanowczo Cezar. Taka wola rządu, od niej rekursu żadnego nie ma, a nieposłuszni tak samo są dezertierami, jak uciekinierzy z pola bitwy.

W oczach matki zamigotała radość, Jurek zamilkł a pan Joachim sposepniał jeszcze więcej.

Naraz Cezar wyciągnął z pod palta długi nadzwyczaj ładnej roboty karabin.

— A to co? zawołałi wszyscy; cóż ty zmysły straciłeś z Warszawy w biały dzień wywozić broń za miasto.

— Ot! gadajiesz — ani się nie domyślacie, co to jest za karabin; ręczę wam, że żadna broń powstańcza tylu Moskali nie położy, ile on jeden — będzie miał zaczarowane kule.

— Lecz zkądżeś go wyrwał, zawołał zaciekawiony Mozart.

— Jak to, więc się nie domyślasz? no to ja ci powiem okrzykiem a ty powtórzysz go za mną:

— Niech żyje karabin przekupek warszawskich!

Minęło parę godzin a już żadnego z naszych znajomych nie było w Warszawie, wszyscy rozbiegli się na plac walki. Pokoik zamieszkały przez nich, zajęła pani Werygowa z Jurkiem, pan Joachim zaś umieścił się w jakimś małym hotelu.

Jurek tedy wedle życzeń matki i Milci został urzędnikiem w organizacyi a na plac walki nie wyruszał, aż do chwili, w której miał odebrać nowe rozkazy Rządu narodowego. Matka i Milcia były bardzo z tego zadowolnieni, pan Joachim jednak nie bardzo. Wkrótce wszystkie interesa dotyczące się pozostałych po ojcu Jurka pieniądzech załatwił, ulokowawszy je u Roza przy pomocy pana Karolka. Mógłby więc już wracać do swoich dzieci i swojej nauki, ale Jurek go tutaj trzymał. Miłość, jaką w jego sercu dostrzegł, przerażała go, znał matkę, obawiał się, aby córka do niej nie była podobną i nie naraziła jego ukochanego wychowanka na takie życie, jakie on sam obecnie prowadził. Dalej wypadki bieżące dawały

także bardzo wiele do myślenia; — niebezpieczeństwo się coraz więcej wzmagало, i na tej drodze trzeba było strzedz niedoświadczono młodzińca. W życiu stołecznem, do jakiego pan Joachim wcale przywykłym nie był i które go po trosze nudziło, był mu prawdziwą rozrywką pan Karolck, który go bardzo często odwiedzał, dodawał otuchy i nadziei na przyszłość.

Jurek nazajutrz zaraz po odjeździe swoich towarzyszy poszedł odwiedzić Milcię, zastał ją zwiżającą włóczkę na klębuszek, a przy jej nogach na małym tahoreciku siedzącego pana Kańskiego, trzy mającego na swoich rozczepirzouyeh rękach krasny motek. Sam ten widok już wzbudził w nim gniew niepohamowany. Ukłonił się jednak grzecznie i z uśmiechem podał rękę Kańskiemu.

A! pan Jerzy, zawołała Milcia. Jak to, pan jeszcze nie na polu walki?

— Jak pani widzi — zadosyćczyniłem żądaniu pani...  
— Żądaniom moim! nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek takie objawiła żądanie.  
— To dowodzi tylko, że pani niasz niezbyt dobrą pamięć, ale nigdy tego, abym ja kłamał, brzydę się bowiem kłamstwem tak w czynie jak i w słowie, dodał dwa ostatnie wyrazy z przy ciskiem.  
— O! proszę się nie urażać; ja panu kłamstwa nie zarzu cam, rzeczywiście ja mam bardzo krótką pamięć.  
— Czy pamięć ta we wszystkim tak pani nic dopisuje?  
— Zależnem to jest od wypadków, w jakich jej używać mi potrzeba. Pan jeszcze długo zabawi w Warszawie? młodzież już wyjeżdża?..  
Jurek przygryzł wargi i zamilkł; — czemu miał przypisać zły humor Milci, sam nie wiedział, czekał więc jeszcze z na dzieją, że może wkrótce przeminie.  
— Jakże pan po odjeździe swoich towarzyszy czas przepędza?  
— Bardzo wesoło pani.  
— Wesoło?  
— Tak pani!  
— Nie rozumiem; jak można samemu żyjąc spędzać czas wesoło?  
— O pani! ja sam nio jestem, towarzyszy mi matka i mój opiekun.

— Matka? opiekun? więc przyjechali?  
— Tak pani?  
— Na długo?  
— To zależnem będzie od rozmaitych okoliczności.  
— Któż jest pańskim opiekunem ?  
— Człowiek ubogi pani w pieniądze, ale bogaty w duchu i sercu, człowiek, któremu ja wszystko co umiem, zawdzięczam i któ rego kocham jak ojca, bo mi go istic zastąpił..  
Oh! jaki pan śmieszny i nudny dzisiaj, nie pytam się o jego przymioty moralne, ale o jego nazwisko.  
— Joachim Góra, odparł rozdrażniony Jurek. — Pani Sielska usłyszawszy to nazwisko, gwałtownie śmiać się poczęła. Śmiech ten był naturalnie zagadką dla Jurka i Milci, nie pojmowali go oni oboje, to też ciekawie zwrócili swe oczy na spazmatycznie śmiejącą się panią Sielską.. Jurek był nie tylko zdziwiony, ale i oburzony zarazem, nic pojmował on, jak można się śmiać z tak zacnego człowieka, jakim był Góra. Po małej tej pauzie nieśmiało zapytał pani Sielskiej:  
Czy wolno wiedzieć, co pani tak śmiesznego w tem nazwisku dopatruje ?  
— O, to stara historia, pana Górę. przypominam sobie jeszcze z panięskich czasów moich, był to bardzo przystojny młody czło wiek, widziałam go raz w nader śmiesznej sytuacji, która mi

w obecnej chwili stanęła na pamięci. Ale to dla was nie ciekawa historia, to zabytek archeologiczny — nie ma tam dla was młodych nic, co by się wam na co przydało; opowiadać więc tej śmiesznej historii nie będę.

Krasny motek włóczki trzymanej przez pana Kańskiego już się ukończył. Milcia dowińęła już kłębuszka do końca. Uwolniła go więc od obowiązku czyli jak się wyrażała, godności trzymania włóczki, a pan Kański nie mając nic lepszego do roboty, do bardzo rozmownych bowiem nie należał, wyniósł się co najspieszniej prawie cichaczem. Po wyjściu Kańskiego Jurek wstał także, biorąc za ka pelusz, gotując się do wyjścia.

— Gdzież znów się pan wybiera?

Do domu, aby podać proźbę do Rządu narodowego o prędkie wyekspedjowanie mnie na plac bitwy...

— Pan zawsze musisz mówić od rzeczy, nigdy w niczem miary, panu się zdaje, że kochać kogoś to znaczy mu dokuczać tylko!

— Jakto? więc to ja pani dokuczam? spytał zdumiony Jurek?

— A któż? może ja? spytała robiąc zadąsaną minkę. Proszę mnie natychmiast przeprosić, inaczej będę się gniewać.

Jurek już był udobruchany, położył więc kapelusz na fortepianie, schwycił za rękę Milcię i serdecznie pocałował ją całować.

— Ostrożnie, cóż za gwałtowne ściskanie ręki, zawołała znów obrażona. Jurek nie wiedział, co ma z sobą uczynić, usiadł więc obok i wpatrzył się w ładną twarzyczkę Milci.

— Cóż pan tak milczy jakby zaklęty, zawołała znów po chwili.

— Milczę, odparł Jurek, bo nie wiem sam co mam mówić i co robić, aby panią nie obrazić...

Jak widzimy Milcia tyranizowała biednego Jurka. Czy go jednak kochała? Jest to pytanie, na które nie odważylibyśmy się odpowiedzieć tak, a nie śmieli — nie. Milcia lubiła bardzo Jurka, był on chłopcem ładnym, wykształconym a przytem nie ubogim, miał więc wszelkie szanse za sobą. Ale Milcia należała do tych kobiet, co jedną wielką miłością kochać nie umieją;,, gdyby więc Jerzy był ją opuścił, nie obeszloby ją to wcale. Biedny Jerzy! oto wszystko, co o nim powiedzieć można.

Po wyjściu od Milci był zgnębiony, rozgorączkowany — nie wiedział, co ma z sobą uczynić, czuł, że go ona nie kocha taką miłością, jakiejby pragnął, a uwierzyć w to nie mógł, bo nie chciał, Człowiek zawsze wierzy w to łatwiej, co mu więcej do smaku I przypada, choć jest mniej prawdopodobnem do spełnienia, jak w to, co pewne a przykrość mu sprawić może.

Jurek powrócił do matki. Któż matka nie przeczuje boleści dziecka swego, to też i pani Werygowa odgadła nie wesoły jakiś I humor Jurka, a widząc, że sam się nie zwierza, nie badała go

wcale, starając się opowiadaniem o domku rodzinnym, o rówieśnikach i znajomych rozegnać chmurę z czoła swojego ukochanego. Udawało się jej to po trosze, gdy po jakimś czasie drzwi się otworzyły a przez nie wszedł pan Joachim z Karolkiem.

Pan Karelek skoro tylko wszedł i przywitał się z panią Werygowa, wnet zwrócił się do Jurka.

— A jak się masz mały Jurku panie sieju, zawołał. Mój Boże, jak się to człowiek starzeje, a toć ja go pamiętam jeszcze takim pędrakiem, mówił pokazując ręką na łokieć od ziemi. Ho! ho! wtedy już panie sieju zapowiadał zdolnego bardzo chłopca, a zawsze było to takie lube, takie potulne, grzeczne, nikomu nic nie wadziło, nikomu nic nie dokuczało, jak to jest w zwyczaju pani sieju u malców; cóż panie Jerzy, pamiętasz jeszcze z dzieciństwa starego Karolka?

— O! jakże się godzi przypuszczać, abym mógł niepamiętać?

— Ha! cóż chcesz panie sieju, niepamięć jest udziałem ludzi.

— Wątpię, odparł Jurek, mnie się zdaje, że taka niepamięć nie może być przymiotem ludzi, ale lalek, albo mauekinów obdorzonych przez Boga czemsiś podobnem do życia.

Brawo! świetnie mówisz, panie sieju, wierz mi, już cię za to kocham; daj Boże, aby nasza Polska takich więcej miała młodzińców jak ty jesteś. Coś mówił mi pan Joachim, że cię tutaj wstrzymano i podobno ten rozkaz nie w smak ci poszedł; trudna rada, nie wszyscy się bić mogą. Do pani Dobrodziejki to przyśzedłem tutaj panie sieju z prośbą, z prośbą wielką, abyś moją ubogą strzechę raczyła odwiedzić.

— Jakto, alboż pan tutaj mieszkasz?

— Mieszkam i nie mieszkam panie sieju. Ale córka moja tu mieszka i do tego mieszkania właśnie mam honor panią wraz z panem Jerzym i zacnym jego opiekunem prosić. Pola moja byłaby pierwsza jako młodsza złożyła szanowuej pani wizytę, ale tu jest kawaler, to też ja jej powiedziałem: poczekaj dziecię moje, ja pójdę do dawnej znajomej i starej sąsiadki, to po przyjacielsku, po sąsiedzku zaproszę ją w nasz ubogi kącik, a ręczę ci, że niezawodnie przyjdzie.

Pani Werygowa spoglądnęła na Jurasia jakby oczekując przyzwolenia. Jurek widocznie wyczytał z twarzy matki chęć odwiedzenia córki Karolka, bo nie namyślając się długo, wziął za kapelusze i rzekł:

— Pójdziemy marno!

— Panu Karolkowi oczy zabłyśły z radości. Joachim uśmiechnął się także i wkrótce wszyscy czworo podążyli na Leszno, gdzie

\*

właśnie mieszkała Pola. Wejście ich do mieszkania było przyjęte niezmierną radością. Pan Karolek nie mógł jednak poznać Poli, która na widok Jerzego tak spoważniała, że niktby się nie mógł domyśleć tej wesołej, szczebiotliwej, kapryśnej trzpiotki w gospodyni domu, która przybyłych przyjmowała.

— O my się już znamy, zawołała, gdy ojciec prezentował jej Jerzego, topiąc w nim swoje gorące spojrzenie. Widzieliśmy się parę tygodni temu przy łóżku pewnej biednej chorej kobiety. Wszak pan pamięta? nieprawdaż...

— Tak pani, pamiętani, byłaś wtedy dla niej prawdziwym aniołem opiekuńczym.

— O panie! nie chciałam z jego strony wywoływać komplement, ale przypomnienie znajomości.

— Znajomość zawarta w takiej chwili, zostaje na zawsze w pamięci.— Czuć było jednak z tego, co mówił w tej chwili Jurek, że o znajomości z Pola nie pamiętał wcale i że ona mu z głowy zupełnie wywietrzała.

— Pan w tej chwili nie jesteś szczerym, odparła Pola.

— Przeciwnie pani, ja zawsze szczerym jestem.

— Gdybyś pan był o znajomości pamiętał, byłbyś nas prze i cież odwiedził już do tego czasu. Wybaczam panu jednak to prze winienie w nadziei, że na przyszłość przyrzeczesz poprawę i w czyn to przyrzeczenie wprowadzisz.

— Przyrzekam to najsolenniej.

I tak rozmowa biegła dalej podtrzymywana przez wszystkich.

Pola i pana Joachima i panią Werygowę oczarowała w zupełności.

Jeden tylko Jurek siedział jakby ospwiał, pomny sprzeczki jaką miał nie dawno z Milcią. Pola mogła oczarować — był to typ prawdziwej piękności niewieściej. Gdyby Jurek na drodze życia spotkał był ją pierwszą a nie Milcią, byłby szczęśliwym, tak przegrał wielki los na loteryi. Wizyta potrwała parę godzin, Gdy pan Joachim z panią Werygową odeszli, Pola długo staią w pokoju zadumana, aż gdy doń wszedł ojciec, z płaczem rzucając mu się na piersi, i zaszłochała głośno.

— Czegóż ty płaczesz dziecko moje? zapytał łagodnie ojciec.

— Ojczy mój — taluńciu złoty, ja go bardzo, ja go szalenie kocham!

— Toć i on cię pokochać musi.

— O nie! tatku złoty, ja to czuję, on kocha już inną, on mnie kochać nie może.

— Ale bredzisz dziecię moje. Oczówby chyba nie miał, jakby cię nie pokochał.

I długo nie mógł wraz z ciotką, która grała w tym domu rolę porcelanowej figurki, postawionej dla przyzwoitości, uspokoić rozłzawionego dziewczęcia.

Cóż robiła przez ten czas Lola?

Ona modliła się za pomyślność Mozarta, grała na forte pianie, czytywała dziaduniowi książki i wiadomości z pola bitwy, odbierała listy od Mozarta i często mu na nie odpowiadała, a oczekiwała z nadzieją w sercu rychłego powrotu ukochanego i szczęścia, o którym bezustannie marzyła.

X.

Bankructwo.

Nie łatwe to zadanie, opisywać dzisiaj wiosnę. Tyle już o niej naspiewano poematów, tylu poetów i powieściopisarzy zachwycali nią swoich czytelników, że doprawdy trzeba niepospolitych zdolności i talentu, aby z tego odwiecznego tematu coś nowego po wiedzieć. Te rozkwitające pierwiosnki, pękające pączki drzew, zieleńjące się pola i łąki, nie zniechęciłyby mnie niezawodnie do powtórzenia rzeczy już oklepanych, gdyby ta wiosna, na której tle wypadki mojej powieści się odbywały, nie była wiosną roku. Nie jestem poeta, ale gdybym się nim urodził, wiosna ta niezawodnie natchnęłaby mnie taką uroczą pieśnią, jak wiosna roku Mickiewicza. Woń zieleni, tej barwy mającej w symbolice kwiatów i kolorów nadzieję oznaczać, napełniała powietrze. Jaskółki i bociany powróciły wcześniej na rodzinną niwę, w naturze panowało dziwne życie jakieś, czuć było, że budzi się ona z jakimś pragnieniem. Kto zrozumie szepot natury? może z pragnieniem wolności. Zima znikła prędko, można powiedzieć jakby jej nie było. Po wsiach krążyły głuche wieści. Tutaj wiejska dziewczyna zapuściwszy się gdzieś w las daleki, ujrzała zbrojnych ludzi i przelękną wróciła do domu. Owdzie inna zawodziła żale i nocami modre wypłakiwała oczy, bo jej najmilszy zniknął gdzieś ze wsi bez wieści. Na odpu

Stach spotykano dziadów, co jeszcze dawne pamiętali czasy, a Bogowie gdzie się po świecie nie obracali, którzy opowiadali, że modły znalazły przytułek u Stwórcy, że w krótko zmienia się czasy. Nie dodawali jaśniejszych słów, ale widoczną było rzeczą, że chcieli więcej i jaśniej powiedzieć, ale się bali, bo Moskale coraz pilniejsze zwracali oko na ludność, coraz więcej zabierali do turmy tych, którzy Polskę kochali.

Naraz tu i ówdzie doszły słuchy o drobnych potyczkach, i wkrótce cała rozszarpana ziemia nasza zawołała jednym głosem „Powstanie”. Jak je przyjęła ludność, rzecz to nie nasza, rzecz historyi. To pewna jednak, że młodego chłopca nie można było na lekarstwo dostać nawet. Starcy się uśmiechali, niektórzy z ra

dości płakali nawet, a wszystkim lekko było na sercu; we wszystkich panowała nadzieja.

Ojców, ta perła ziemi naszej, niebacznie dzisiaj rzucona na pastwę niemieckim spekulantom, jakże uroczym wyglądał, można powiedzieć uśmiechał się do dzieci swoich, co wewnątrz w szczelinach jego przygotowywali się na bój z Moskwą. Krzyże poustawiane na szczytach gór zdawały się błogosławić poczciwej pracy, a figlarny Prądnik szemrał piosenkę swojską, i śmiał się i huczał, a wszystko ku rozweseleniu myśli i dodania ochoty dziarskim zuchom, o których to piosenka mówi, „że jak szablą liźnie, kulą gwiźnie, to się Rus obliźnie”. Wieczór się już zbliżał, z kuźni rozchodził się od głośnych uderzeń młota, co kuł kosy; gwar jak na kiermaszu cały dzień trwający już poczynał ustawać. Pyły to przygotowawcze studia i przygotowawcza praca dla formujących się oddziałów. Od strony Chełmowej góry siedziała gromadka szczupła ludzi, uzbrojona dobrze, obok nich stała w kozioł broń złożona, przed nimi rozpalone ognisko, do którego jeden z otaczających co chwila dorzucał z kosza wyjmowane ziemniaki.

— Ah! westchnął jeden z gromadki.

— He, cóż tam do stu piorunów! zawołał drugi, w którym czytelnik od razu zapewne pozna po euergiczym przekleństwie zapalonego Cezara. Coż?!... rozplącz się do swojej Loli; dalej — nuże! czyż tu przyjechał płakać i wzdychać? Nie rozumiem jak Boga Kocham! co u ciebie we łbie siedzi. Komenda!... krzycz, wrzeszcz całymi piersiami, na lewo marsz, on z pewnością obróci

się naprawo. Wołaj broń do ataku, on chce strzelać. Doprawdy zwarzować można z tobą mój Mozarcie!

— At! gadasz! ozwał się drugi, ty bo nic rozumieć nie chcesz; filozofii życia i uczucia nie pojmujesz ani trochę, a potem...

— O!... już to bądź pewien mój ty turecki filozofie, że twojego transcendentalnego systematu przez całe życie nie zrozumieję. No mój Katonie powiedz sam, na co się przyda taki humor tutaj między nami?

— Masz rację tym razem Cezarze; smutek tutaj odegnać winniśmy koniecznie.

— No naturalnie.

— Łatwo ci mówić, odparł nagabywany, boś tam nic nie zostawił.

— Jak to nic? czyż Jurka za nic nie liczysz?

— Jemu się tam nic złego nie stanie, pilnuje go Joachim.

— A Milcia?

Co Milcia, ta go już może puściła w trąbę.

— Tak sądzisz! zawołali wszyscy.

A jeśli to nie nastąpiło do obecnej chwili, to dziś czy jutro niezawodnie nastąpi. Miałem list od Joachima, donosi mi bardzo pocieszające wprawdzie wieści, sądzę jednak, że więcej sobie roi jak jest w istocie.

— No!? cóż tam nowego, zapytali znów wszyscy chórem.  
— Przypominacie sobie tę zachwycającą brunetkę, cośmy ją często bardzo u Bernardynów widywali modlącą się tak gorąco.  
— No więc cóż? spytał Cezar, może znów jaka miłostka?  
— A miłostka.  
— Skaranie Boże! czy nie będzie końca tych miłostek.  
— Ależ cicho bądź i słuchaj, inaczej milczeć będę i nic się nie dowiesz.  
— No więc milczę jak kamień, mów tylko a prędko. Któż jest ta piękność od Bernardynów?  
— Panna Paulina Karolek, ubóstwiana córka jakiegoś prawnika w O. Ma być dobra, poczciwa, trochę rozkapryszona dziwnie wybujałą miłością ojca, ale Jurka kocha szalenie, namiętnie, bez granic. Joachim chce go gwałtem z nią ożenić i ma nadzieję, że mu się to uda.

— A Jurek coż nato? spytał Sokrates.  
— Jurek dotąd zajęty bezustannie Milcią, która go całą po tęgą swojej kokieterii przy sobie na uwięzi trzyma.  
— Cóż ty na to?  
— Ja sędzę, że nic z tego nie będzie; za nadto dokładnie znam Jurka i Milcię, żebym się miał łudzić jakkolwiek bądź nadzieją. Jeden tylko znam wypadek, który może go od tej ko biety ocalić.  
— A nim? spytał Cezar.  
— Strata majątku, jaki Jurek posiada.  
— No to zdaje się nie nastąpi.  
— To właśnie najgorsze, co go spotka.  
— Szkoda chłopca, powtórzyli po cichu kolejno wszyscy.  
Szkoda...  
— A cóż tam dalej, dla mnie żadnej nie posiadasz nowiny?  
— Posiadam, ale nienajlepsze.  
— Co? mów, mów prędko, zawołał Mozart gwałtownie chwy tając Katona za rękę. Może ona chora? mów prędzej.  
— Nie, Lola zdrowa, ale major od niejakiego czasu niedo maga i z łóżka nie wstaje, to właśnie tłómaczyć ma długie mil czenie Loli do ciebie.  
Nagle od strony zachodniej ował się głos świstawki, wszyscy zerwali się z ziemi na równe nogi i za broń schwycili.  
— Kto idzie? zawołał Cezar.  
— Kraków odpowiedziano.  
— Bar! dokończył Cezar wymieniając hasło i poczet dość liczny, nie źle uzbrojony przystąpił do znajomej nam młodzieży.  
— Cóż tam nowego? spytał znów Cezar.  
— Jednego postawić na placówce, reszta z nami. — I zosta wiwszy jednego z przybyłych, cały oddział postąpił ku dołowi.  
— Dziś wyruszamy na wycieczkę, szepnął Cezarowi do ucha dowódca przybyłego oddziału.



— Brawo! zawołał ucieszony nowiną, to mi się podoba, bardzo mi się podoba.

Zostawiwszy na chwilę naszych znajomych i cały powstańczy obóz, powróćmy do Warszawy, gdzie Jurek z całym zapilem spełniał obowiązki komisarza obwodowego, Groziło mu tu niezawodnie stokroć większe niebezpieczeństwo, jak w obozie, ale dla matki,

dla Joachima, dla Poli, a tem samem i jej ojca dogodniej było patrzeć na niego, bo zdawało się im, że go tutaj łatwiej swoją osłoną opieką. — Samo to przekonanie zapewniało im spokój tyle drogi dla tych, co kochają. Wiosna równie przyjemne zrobiła wrażenie na Warszawie jak i na prowincyi, te same, więcej tylko wyentuzjazniowane wzbudzając nadzieje. Major Zaklika tylko po smutniał jakoś coraz więcej zapadając na zdrowiu. Lola nie odstępowała go ani na chwilę. Zapomnieliśmy powiedzieć, że Pola była także koleżanką Loli i Milci; znajomość ich zawarta na pensyi, przerwana na chwilę, dziś odnowiła się znowu ze spotkania przypadkowego ich na przechadzce, a potem w domu pani Werygowej. Pola o ile pokochała namiętnie Lolę—takie istoty bowiem jak ona inaczej kochać nie umieją, o tyle nienawidziła Milcię. Przeczuwała w niej rywalkę, widziała dziwne zachowanie się Jurka względem niej i to ją do żywego obrażało. Każde spotkanie się jej z Milcią, rzewnymi opłakiwała łzami.—Raz Jurek w obecność. Poli pochwalił i długo się rozwodził nad pięknnością oczów Milcii. Nazajutrz w jego obecności Pola tak się odezwała do Loli: — Słuchaj droga ty moja, gdyby Milcia oddała mi swoje oczy, choćby na dzień jeden, całe życie poświęciłabym jej wzamian. Były to słowa wprost skierowane ku Jurkowi, niestety rozumiał on je, ale udawał, że nie rozumie. Pola nie wiedziała co robić z sobą w jego obecności; patrzyła się w twarz ukochanego jak w tęczę, traciła przy nim całą swoją wesołość; zwykle kapryśna i rozkazująca, w obecności jego stawała się milczącą i zadumaną, Jurek jednak zawsze biegał, myślał i marzyło Milci, po mimo tej szalonej miłości, namawiań matki i Joachima ku Poli który go tam gwałtownie popychał. Milcia go ciągnęła ku sobie właśnie owem szalonym chłodem, obojętnością i kokieterią. Zakazane bowiem owoce, leży to już w naturze ludzkiej, zawsze lepiej smakuje. Tak rzeczy stały w tym okresie. Pola coraz więcej mizerniała z miłości dla Jurka, Jurek zaś z miłości dla Milci. Jedna tylko Lola tęskniła za Mozartem, ale była wesołą, bo pełną nadziei jego powrotu. Pan Karolek począł się już o swoje ukochane dziecię obawiać. A gdy ujrzał raz ją płaczącą po powrocie z wizyty od Loli, gdzie przyszło do sprzeczki między nią a Milcią, wszedł do jej pokoju, zatrzasnął drzwi za sobą i przystępując do kanapy, na której zadumaną główkę oparła Pola, spytał się :

— Coż! dziecie moje, czegoż tak smutną jesteś?  
— OJ tatku inój kochany, jam bardzo, bardzo nieszczęśliwa  
— Kochasz go ciągle ?  
— Oh! do szaleństwa!  
— I chcesz go mieć koniecznie?  
— Oh I pragnę całą duszą.  
— No powiedz, zastanówmy się nad tem bliżej; dla czegoż on cię do tego czasu nie pokochał?  
— Dla czego? bo kocha inną. zaszłochała Pola.  
— A ta inna odplaca mu wzajemnością ?  
— Oh! nie, nigdy, tatku mój; ja to czuję, że ona go nie kocha, że mu szczęścia nie da, gdybym choć to przekonanie mieć mogła, ale nie, to najgorsza kobieta, jaką znałam, ani odrobinę serca, ani odrobinę uczucia.  
— Dla czegoż więc tak udaje, że kocha Jerzego, boć tak podobno jest w istocie.  
— Do czuje, że Jerzy bogaty, że jej zapewni przyszłość, wygody, stroje; oh, gdyby on wiedział, jak ja go kocham, że poświęciłabym wyszystko co mam dla niego, majątek, honor, on by mnie musiał kochać.  
— Jednakże co sądzisz, spytał pan Karolek córkę, coby ona uczyniła, gdyby on został nagle ubogim, bez grosza, w nędzy.  
— Oh! pewną jestem, zerwałaby z uim natychmiast wszelkie stosunki, wyparłaby się jego znajomości nawet.  
— A więc Jerzy będzie biednym niezawodnie.  
— Co chcesz mi przez to powiedzieć ojcze!  
— Ze dla przekonania Jerzego, jak jest kochanym przez tamtę, trzeba koniecznie, aby Roz chwilowo zbankrutował. Ty chcesz, zbankrutuje więc niezawodnie, choćby mnie to nie wiem ile kosztować miało. Ty nie wiesz dziecie moje, jam dla ciebie doszedł już do milionów, i cóż znaczy choćbym połowę ich stracić, byłeś ty była szczęśliwą...  
Jakto, co chcesz czynić ojcze?  
— Chcę zrujnować Jerzego, aby mu potem ciebie wraz z milionami oddać.  
— To będzie podstępem.  
— Nie, to będzie uczciwym i dobrym czynem; ochronię go od przepaści.

— Ty chcesz koniecznie tego ojczy?

— Tak, widzę w tem tylko jedyne ocalenie jego i ciebie.

— Więc dobrze, zgadzam się, ale ja chcę z nim pierw po mówić, tutaj sam na sam, chcę go wybadać, powiedzieć mu wiele i wiele wysłuchać, chcę żebyś mi tu ojczy jego samego przypro wadził. Przyrzekasz mi to?

— Dobrze! kiedy?

— Choćby jutro.

Pan Kijonka wstał, pocałował Połę w czoło i wyszedł.

Wszedłszy do bocznej izdebki, wyjął z szafy księgę, począł w niej coś dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić, w końcu uśmiechnął się, wstał, księgę zamknął i mruknął po cichu:

— Co powie ten poczciwy Joachim? co pocznie Werygowa?—

Ha trudno! przedewszystkiem moja Pola. I z temi słowy spać się położył. — W sercu Milci tymczasem dziwny jakiś zwrot zapanował od niejakiego czasu, z którego Jurek zupełnie zadowolonym się uczuwał, niedoznawał bowiem ani owego tyrańskiego obejścia, ani kokieteryi względnie do innych, a szczególnie Kańskiego dopatrzeć się nie mógł. Milcia zdawała się być cała zajęta jego osobą, jego zdrowiem, jego czynami, jednym słowem tem wszystkim, co bliżej dotyczyło Jurka. To też on wywdzięczał się jej coraz większą z dniem każdym wzrastającą miłością. I właśnie w chwili, kiedy się toczyła powyżej przez nas przytoczona rozmowa Poli z ojcem. Jurek po raz tysięczny może powtarzał Milci wynurzenia najgorętszych uczuć swoich, i po raz tysięczny także słyszał tak mile w uszach kochanka brzmiały wyraz „kocham” z ust ubóstwionej. Biedna Pola nie przypuszczała, aby miłość ta mogła już tak daleko postąpić.

?le to być ciekawym, źle odchyłać zasłonę przed oczami profanów, ze scen, jakie się w buduarach nadobnych pań lub w serduszkach zakochanych dzieją. Jako powieściopisarzowi przysługuje mi to prawo i na ten raz ośmielam się z niego korzystać. Milcia spoczywała wsparta na otomance z główką zwróconą ku Jerzemu, który z rozplamienionym okiem w nią się wpatrywał.

— Więc ty mnie kochasz Jerzy? spytała omdlewającym głosem. Czuć w nim było nieco owego teatralnego pathosu, którego rzecz prosta Jerzy jako zakochany zrozumieć nie mógł i nie potrafił. Bielmo miłości stokroć ma większą zasłonę, jak ślepotą,

— Droga moja! jak mego anioła! jak szczęście, które mi dasz w przyszłości. Bez ciebie jabym żyć nie potrafił, ja żyć nie mogę. Gdy na ciebie patrzę, zapominam o świecie, o matce mojej nawet o opiekunie, patrzę na ruch przez twoje oczy, kocham ich przez twoje serce... Ale ty? ty na Boga?... ty tego wszystkiego czuć nie możesz, wydajesz mi się przy mej miłości jak zimna lawa u stóp wybuchającego wulkanu.

— Ja zimną! odparła Milcia... o! ty nie znasz kobiet jeszcze,

ty sądzisz, że one mają taką krew jak wy. Mylisz się, jesteś w ogromnym błędzie, my czuć możemy wiele, ale kochać jak wy nam nie przystoi...

— Nie przystoi? na Boga, ty patrzysz na to, co przystoi a co nie przystoi; ja przed całym światem miłość moją dla ciebie ogłosić mogę, bo w niej nic zdrożnego, nic, za co bym się wstydzić musiał, nie ma.

— Dobrze to wszystko, ale ty masz rodzinę, ona ci może nie pozwolić... odwieść od powziętych zamiarów, to cię zmieni...

— Za kogo mnie bierzesz? aniołku ty mój jasny, czyż sądzisz, że ja tak już bezsilny? a wreszcie ty nie znasz mojej rodziny, nie znasz mojej matki, mojego Joachima...

Tu Milcia obwiesiła białe zgrabne rączki swoje na szyi Jurego i zamknęła mu usta pocałunkami. Dobry to był zameczek, bo Jurek zamilkł jak z kamienia. Co raz mniej mówili do siebie. Milcia co raz częściej używała sposobu swego na gadatliwość Jurka, gdy nagle wejście Kańskiego musiało przerwać czułą scenę. W krótko potem nadeszła i pani Sielska. Jurek uważał za stosowne wziąć za kapelusz i chciał wieczór matce i opiekunowi poświęcić, pożegnał się więc i wyszedł zmierzając ku domowi, gdy nagle na rogu Świętojańskiej ulicy zetknął się z Karolkiem.

— A! panie sieju, pana mego jakże zdróweczko? spytał ściskając Jurka na wszystkie boki.

— Et! nienajlepiej.

— Jakto? panie sieju! cóż panu dolega...

— W tej chwili głowa boli fatalnie.

— Głowa? panie sieju; jaka to wyśmienita rzecz, żeśmy się spotkali; wiedz panie sieju, młody człowieku, że mam w domu lekarstwo na ból głowy, ale tak skuteczne panie sieju, że jak ręką odjął. Chodź zaraz, sam ci go przyrzadzę.

— Dziękuję serdecznie, przejdę się trochę, to przestanie.

— Ale dajże pokój, nie dziwacz panie sieju, zawołał pan Karolek i gwałtem Jurka ku swemu domowi pociągnął. Tu Pola rozgorączkowana chodziła po pokoju szybkim nieregularnym krokiem, co chwila się zatrzymywała stawając na środku niego jakby nasłuchiwała, czy kto po schodach nie idzie. Po chwili dał się rzeczywiście słyszeć odgłos, kroków, był to Jurek z ojcem. Prze czuwając widocznie to przybycie, Pola pobiegła do lustra, przetarła zaczerwienione oczy, poprawiła fałdy sukienki, uśmiechnęła się, choć jej to przyszło z widoczną trudnością; z rozpromienioną twarzą zwróciła się ku drzwiom, w których niebawem ukazał się Jurek wraz z jej ojcem..

— A pan Jerzy, zawołała, godziż się to zapominać o starych znajomych? Już blisko tydzień pan u nas nie byłeś.

— Prawdziwie pani, tak byłem zajęty... obowiązki.

— O! proszę bardzo nie wymawiać się żadnymi obowiązkami; już panu grzech przebaczyłam, proszę tylko pamiętać o poprawie...

Chory na głowę, dorzucił ojciec, obiecałem dać mu le-  
karstwo...

— Jakto? z widocznym drzeniem głosu spytała Pola, pan  
chory?

— Eh! to nic... to przejdzie...

Paw że tutaj Polu moja gościa, a ja mu zaraz lekarstwo  
przyniosę, zawołał Karolek i z temi słowami wymknął się co naj-  
spieszniej z pokoju. Pola i Jurek zostali sami. Jurek uporczywie  
milczał, a Pola nie wiedziała jak ma zaczynać rozmowę, wreszcie  
wyszeptała nieśmiało:

— Panie Jerzy! pan czegoś smutny, jakby się panu jakieś  
przytrafiło nieszczęście?

— O! nie pani, przeciwnie ja jestem bardzo szczęśliwy,  
tęskno mi trochę za krzykami Cezara, za filozofowaniem Sokratesa,  
za muzyką Mozarta i pedantyzmem Katona, ale cóż robić. obo-  
wiązek tutaj mnie przytrzymuje. Gdybym mógł do nich polecieć,  
jużby mnie nie było dzisiaj tutaj...

— Nie wie pan, jak się miewa major i Lola?

— Major pododno coraz gorzej, i to mnie martwi, a panna  
Lola tęskni także.

— Za panem Mozartem?

— Naturalnie...

— Oh! jakie to wielkie szczęście mieć za kim tęsknić, za  
wołała Pola wzdychając.

— Ma pani słuszność... lecz stokroć większym szczęściem jest  
wiedzieć, że ktoś tęskni za nami.

Na tym frazesie Jurka rozmowa znów się na czas pewien  
przerwała. Pola coraz prędzej oddychała, policzki coraz więcej  
się zaczerwieniały. Nagle wstała i postępując ku Jerzemu, tuż  
przy nim usiadła na krzeselku.

— Panie Jerzy, zawołała gwałtownie po małej pauzie chwy-  
tając go za rękę, czy ty wiesz, co to znaczy kochać? czy ty rozu-  
miesz, czym jest kobieta, która pokocha pierwszą, wielką, świętą,  
niezmierzoną, wieczną miłością?

— Pani... doprawdy... nie rozumiem... wyjąknął Jurek, którego  
ten wstęp niezmiernie zmieszał.

— Czekaj, ciągnęła dalej Pola, nie przerywaj mi, mam ci  
powiedzieć rzeczy takie, których albo nie rozumiałeś, albos się do  
rozumieć nie chciał. Jam niewzyczajna kobieta; w żyłach moich  
płynie krew nie woda, nie stworzoną byłam nigdy do posłuszeństwa,  
bom zawsze wszystkim rozkazywała. Ale na życie patrzyłam zawsze  
i patrzę z poważnego punktu. Słuchaj, czy sądzisz, że gdy to  
mówię do ciebie, zapomniałam, że jestem kobietą; nie, nigdy, wstyd  
pali mi policzki, nie pozwala ci mówić tego co czuję, ale pomimo  
tego widzisz, trzymam cię za rękę i głośno powtarzam, że cię  
kocham — jaką chcesz miłością — czy jak szatan, czy jak anioł,  
to mi wszystko jedno, ale cię kocham całą duszą moją, całym

sercem. Miłość moja ma swój początek i u Boga i u szatanów  
może, ale jest miłością, która sobie nie pozwoli wydrzeć ciebie...  
Jerzy siedział jak skamieniały nie wiedząc co począć z sobą.  
— Jerzy mój! zawołała klękając przed uim, patrz ja dumne,  
ukochane, kapryśne dziecko u nóg twoich klęczę i błagam cię  
o miłość dla siebie; zabij mnie, ja cię ztąd nie wypuszczę, otoczę  
cię splotami mych ramion, pocałunkami osłodzę życie, poświęcę  
wszystko co mam najdroższego, ale kochaj mnie, kochaj koniecznie...  
Jerzy wstał z siedzenia, przeraził go ten gwałtowny objaw  
uczucia i zdumiał.  
— Pani! co czynisz, zawołał, wstań, może kto nadejść.

— O niech przyjdą wszyscy, cały świat tu niech przyjdzie,  
ja im powtórzę to samo, co tobie: moja miłość to wulkan, ogień  
wszystko palący. Nie wstanę od nóg twoich, dopóki nie usłyszę  
słówka nadziei, że ty mnie pokochasz...  
— Nie pani! ja cię kochać nie mogę...  
— Nie możesz, a wiem, bo kochasz inną, kobietę bez serca,  
która cię zgubi i zabije, która jak odebrała ci spokój, tak odbierze  
wszystko, kobietę niegodnej ciebie...  
— Pani, to już rzecz moja, odparł poważnie Jurek, biorąc za  
kapelusz, gdy Pola zerwała się z podłogi i ku drzwiom postąpiła.  
— O nie, nie wychodź, posłuchaj mnie choćby jedną chwilkę  
jeszcze. Słuchaj, ja mam dziś miliony, oddam ci to wszystko...  
zrobię co zechcesz, zostaw mi jednak choć odrobinę nadziei, choć  
błędny ogień szczęścia z daleka, któryby mnie przy życiu utrzymał,  
inaczej zginę, umrę bez ciebie.  
— Ja pani, miłości nie sprzedaję swojej, kochać cię nie  
mogę, a zwodzić nieumiem.  
— O tyś więcej jak nielitościwy; warto było skłamać nawet  
dla chwilowego mojego szczęścia, zaszlochała Pola, przynajmniej  
wiedziałabym jak ono wygląda...  
Żegnam panią, wyszeptał Jerzy kłauiając się Poli i wyszedł  
rozdencrowany.  
Pola uczyniła ruch gwałtowny ku drzwiom, jakby go powstrzy-  
mać chciała, ale Jurka już nie było. Upadła na ziemię i tak nie-  
przytomna szlochać poczęła. Po chwili wszedł do pokoju ojciec,  
a ujrawszy w takim stanie córkę, podbiegł ku niej przerażony,  
podniósł z ziemi i pocieszać zaczął.  
Dziecię moje, nie martw się, nie płacz, on powróci nie  
zawodnie, powróci.  
— O nie tatku, jedyny mój przyjacielu, ja nieszczęśliwa,  
ja umrę, on mnie nie kocha, gardzi mną. Powiedziałam mu, że  
go kocham, odepchnął mnie od siebie, nawet nadziei dać nie chciał;  
ona... ona... ona mi go zabrała, i znów wybuchnęła gwałtownym  
płaczem.  
— Wierz mi najdroższa Polu moja, skoro pozna dobrze uczucie  
tamtej, powróci.

— Gdybyż tak było, ale on...

— Będzie, będzie niezawodnie, wszak ja ci zawsze dotrzymam obietnic moich.

— Więc ty mi go tatkowi przyrzekasz powrócić?

— Przyrzekam.

— Pamiętaj tatkowi, jak obietnic nie dotrzymasz, twoja córka z pewnością umrze.

Karolek po długich zapewnieniach uspokoił w końcu rodzinę swoją. Wyszedł z jej pokoju zasępiony, zadumany i podążył wprost ku mieszkaniu bankiera Roza. Długą z nim miał naradę, a nazajutrz w jednym z pism miejscowych pojawił się artykuł ostrzegający wszystkich łatwowiernych o złym stanie interesów Roza i o przypuszczalnym skutkiem tego, bankructwie jego. Pan Joachim po przeczytaniu tego artykułu, nie wiedział sam co z sobą ma uczynić, włosy mu jak to mówią dębem stanęły, febrycznie drżący i rozgorączkowany mówił do siebie:

— Masz stary osie! całe życie spędziłeś uczciwie, powierzono ci pieniądze sierocie, sprzeniewierzyłeś je; powiedzą żeś ukradł, żeś wszedł z żydem w spółkę, żeś krzywdą sierocą pobrudził sobie dotąd czyste ręce. O! ja nieszczęśliwy, zawołał w końcu, jakże przedniemi oczyma pokażę teraz, załamał ręce i łzy grube stoczyły się po jego tytanem cierpieniami obliczu. Wziął potem machinalnie owo piśmiśko do ręki, i bez czapki jak szaleniec jaki biegł w stronę mieszkania Karolka. Oczy mu się iskrzyły, policzki miał pokryte dwiema czerwonymi plamami, ręce mu drżały, gdy wpadł po schodach do pokoju Karolka... Zastał go zaczytanego w biblii.

— Czytałeś pan, zawołał wskazując na numer przyniesionego piśmiśka.

— A czytałem? cóż robić, ten pocziwy Roz bankrutuje...

— Jaki i pan mówisz to z taką zimną krwią, zakrzyknął Joachim, jakbym ja nie utopił tam całego majątku sierot moich...

— No, cóż na to poradzić, ja zdołałem wycofać zaledwo odrobinę także...

— A ja? ja? panie, co mam czynić; mów, radź, bo oszałeję; w głowie mi się kręci, sam nie wiem, gdzie się obrócić? wszakże to nie moje; powiedzą żeś ukradł, o! to okropne, zawołał padając bez przytomności na stojące opodal krzesło.

— Czy byłeś pan już u Roza?

Nie... ale leczę... biegnę... natychmiast, zawołał zrywając się Joachim.

— Ale! czekajże pan... opamiętaj się... cóż mu powiesz? spytał zimno Karolek.

— Prawda! co ja mu powiem, szepnął bełkocąc Joachim.

— Pozwól mi pan, już sam tym interesem się zajmę; rozpaczać nie ma czego, może się to jeszcze jako przemieni.

— Przemieni!?! mówisz pan? o tak prawda, to nie podobna, aby tak zostało, i powlókł się biedak zmartwiony ku domowi.

Panią Werygowa zastał jak zwykle przebiegającą różaniec, a Jurka jeszcze nieochłoniętego po wczorajszej scenie u Poli. Sam nio wiedział, co począć ze swoją osobą; otworzył drzwi nieśmiało i upadł prawie bezprzytomnie na opodal stojące krzeselko. — Po bladeści twarzy jego, po dziwnie gwałtownych ruchach, pani Werygowa i Jurek poznali, że coś nadzwyczajnego stać się musiało. Jurek więc przerwał swoje zamyślenie, a pani Werygowa różaniec i pobiegli oboje ku przybyłemu.

— Co ci to ojcie mój, zawołał Jurek niespokojny. Takiś mi blade, jakbyś wielkiego doznał cierpienia. Czyś czasem nie chory?...

— Mów pan na Boga! dorzuciła prędko pani Werygowa.

Może zgotować rumianku albo mięty pieprzowej, a może po doktora posłać ?

— Nic! nie potrzeba, odparł cichym głosem Joachim; stało się straszne nieszczęście, nieszczęście wielkie, którego nawet przeczuć nie byliście w stanie, i łzy obfite puściły mu się z oczów.

— Ojcie! ty płaczesz, spytał ze współczuciem Jurek.

— Tak płaczę, bo jestem przyczyną nędzy waszej, bo przezemnie straciliście wszystko, wszystko, coście posiadali, jesteście nędzarzami!

— Jakto? zawołali jednocześnie Jurek i pani Werygowa.

— Za poradą Karolka pieniądze wszystkie pozostałe po waszym ojcu, aby je podwoić i przysporzyć wam majątku, oddałem w ręce bankiera Roza. Roz bankrutuje a wy bez grosza... Ja... ja zaś sprawcą waszej nędzy, i zakrył biedny nauczyciel obiema rękoma twarz swoją.

— A to wielkie nieszczęście, najdroższy ojcie mój, doprawdy godne śmiechu, zawołał Jurko, wielkie mi rzeczy, że będę biednym, że się tak jak inni majątku i sławy własną pracą dobijając będę.

To właśnie jest wypadek, który należy błogosławić. Nieprawdaz mateczko? mówił Jurek zwracając się ku pani Werygowej, którą także wielką tą stratą zdawała się być wcale nie wzburzoną.

— Oj !.. oj!... oj !.. stary mój przyjacielu, zawołała w odpowiedzi na zapytanie syna. A godziż się to tak myśleć? Po wiem



wam otwarcie, że z procentu, jaki z tych otrzymywałam pieniędzy, uciulałam sobie spory dosyć fundusik, wystarczy on na dokończenie uniwersytetu Jurka dla nas trojga, a potem toć nie darmo takiego wychowaliśmy dębczaka, żeby nam na kawałek niezapracował chleba na starość, skoro zostanie doktorem...

— O ta wasza dobroć, to dla mnie stokroć większa kara ja tej straty nie przeżyję, ja zginę...

Po długich zaledwie perswazyach, udało się przekonać Jurkowi p. Joachima, że jeszcze nie ma nic pewnego, że wiadomość taka w piśmie znanym ze sprzedajności, jest wątpliwa, że Ka rolek z pewnością byłby mu doniósł o tem, że to musi być jakaś mistyfikacja i t. d. Joachim jednak czuł się osłabionym i wczesnie dnia tego do łóżka się położył. Jurek zostawił matkę na straży około chorego, a sam poszedł z odwiedzinami do Milci. Dziwne jakieś dręczyły go przeczucia. Sam sobie z nich sprawy zdać nie był w stanie... i podszedłszy ku drzwiom pani Sielskiej, z prawdziwą nieśmiałością schwyił za klamkę, a nawet chwilę się zatrzymał, za nim ją nacisnął. Milcię zastał znów samą. Podbiegł więc śpiesznie i chciał po dawnemu serdecznem ucałowaniem ręki ją przywitać, zdawało mu się jednak, że ten objaw czułości Milcia jakoś odmiennie jak zwykle przyjęła. Jurkowi się zdawało, co było rzeczy wistością. Milcia już wiedziała o wszystkim; była zawiadomiona przez Kańskiego o stracie majątkowej, jaką poniósł Jurek.

— A! dobry wieczór, siadaj pan!...

— Pan ? wyszeptał Jerzy.

— Cóż tam słyhać!...

— O, wiele, wiele ciekawych rzeczy, odparł Jurek.

— Cóż? podobno straciłeś pan cały majątek!... dzięki temu mądrymu opiekunowi.

Pani wiesz o tem ?

— No, to wszyscy wiedzą, mój panie, dodała opryskliwie kładąc nacisk na wyraz panie.

— Tak, prawda! zawołał Jurek, straciłem cały majątek, nie pozostało mi nic prócz tych dziesięciu palców, ale przyszedłem ci powiedzieć, że cię kocham zawsze, że będę pracował, że ci na niczem zbywać nie będzie, że będziesz szczęśliwą. Będąc przy tobie, mam prawo ci to powiedzieć z otuchą, że strata majątku nie wpłynie na twoje uczucie dla mnie, boś mnie kochała nie dla pieniędzy, nio dla złota, ale dla mnie samego.

— Milcia słuchała tej tyrady niecierpliwie, w końcu zawołała dosyć łagodnie:

— Siadaj tu przy mnie i słuchaj. Widzisz mój Jerzy, tyś entuzjasta, człowiek co nie baczy na jutro, gotów pod wrażeniem chwili jednej uczynić choćby największe szaleństwo. To co mówisz w tej chwili, jest rzeczywistem szaleństwem.

— Jakto? ty pani nazywasz to szaleństwem? zakrzyknął zdumiały Jurek.

— Tak! nie inaczej. I cóż z tego, że ja cię kocham, że ty mnie kochasz, że się kochamy oboje, kiedy ta miłość dziś przy obecnym stanie interesów do niczego nas nie doprowadzi. Gdybyśmy oboje opierając się jedynie na tej miłości pobrali się, cóżby z tego wynikło; tybyś się powiesił, a ja?... ja?... o nie chcę mówić, co by się ze mną stało... Miłość taka jak twoja, dobra dla poetów, nie dla nas. Miłość z nędzą nie chodzą w parze... Wreszcie co mam mówić dłużej. Mama już dała słowo za mnie Kańskiemu. Rozstańmy się więc, a przyjaciółmi możemy być przecież na zawsze... Wszak prawda ?...

— Jakto? ty! ty pani to mówisz, ty? temi samemi usty, które wczoraj jeszcze składałaś do kłamnego pocałunku, ty? coś przysięgała, że mnie, mnie tylko jednego całe życie kochasz i ko chać będziesz, coś powtarzała, „że pocałunek to ślub dla czystych dziewczic."

— Ach proszę cię tylko bez tych frazesów!...

— Tak! to u ciebie frazesy!! i ty to mówisz tak zimno, jak byś temi słowy nio zabijała człowieka, jakbyś nie popełniała czynu, na którego nazwę trudno słowa pogardy znaleźć... Nie! ja się myślę, Emiljo najdroższa, tyś żartowała; powtórz, że to były żarty—prawda? wszak tak? dla doświadczenia mnie tylko!

— Nie! pan się mylisz! to była prawda, ja powiedziałam pauu com myślała, wszelkie zaś obelgi raczysz pan zwrócić tam,

gdzie znajdziesz na nie odpowiedź i racz pamiętać, że ja jestem kobietą !.

— Taki! a więc żegnam cię pani. Oby ci Bóg przebaczył te słowa i obyś ich nigdy nie żałowała... Bądź zdrowa, zawołał Jurek i wybiegł z pokoju jak szalony.

Po wyjściu jego Milcia spokojnie zasiadła do fortepianu i za grała skocznego strausowskiego walca. Był to u niej marsz pogrze bowy miłości Jurka, który tymczasem wbiegł do domu , spakował wszystkie rzeczy nic nie mówiąc matce i w dwie godziny po za szłym wypadku, zostawiwszy list do Joachima, był już na drodze żelaznej warszawsko wiedeńskiej, i unoszony siłą pary dążył w Krakowskie.

Tegoż samego dnia o ucieczce Jurka dowiedziała się Pola. Skoro wieść ta doszła jej uszów, natychmiast wysłała ojca do Jo achima, aby mu objawił, iż bankructwo było tylko fałszywym alarmem, a sama odziewszy się lekką mantylką, pobięła do Loli. Zastała ją we łzach. Dziadus bowiem dogorywał i trzymając w ręku gromnicę, powtarzał za księdzem modlitwy konających. Ostatnim jego czynem był krzyżyk nad głową wnuczki, a ostatnie słowa: „Jedź do niego!..." W parę chwil po wejściu Poli do mieszkania majora, śmierć tam zagościła i Lola nie miała już dziadunia. Pola zajęła się pogrzebem, a gdy się wszystko to skończyło, gdy po wróciła do domu, do którego gwałtem porwała narzeczoną Mo zarta, zapytała ją:

— Słyszałaś ostatnie słowa dziadka?  
— Słyszałam, odparła Lola: Jedź do niego!  
— I cóż myślisz zrobić?  
— A jechać, taka jego wola!  
— Ja z tobą; pojedziemy razem, zawołała Pola, chwytając gwałtownie za rękę swoją przyjaciółkę.  
Na drugi dzień rano nie było już w Warszawie dwóch przyjaciółek.  
Karabin przekupek warszawskich.  
I gwarno i ochoczo było w obozie Ojcowskim, ze wszystkich stron Polski garnęła się młodzież, a Kraków dziś już tylko przez swoich przedstawicieli, mający wiarę w swoje pamiątkowe posłań

nictwo, kipiał na onczas życiem prawdziwym — nieklamane patriotyzmem, chowając gdzieś do lochów podziemnych ten zbutwiały pergaminowy swój konserwatyzm. Młodzież, która tu żyła, z boleścią wyznać przychodzi, nie była w niczem podobną do obecnie wegetującej; patriotyzm nie nazywała błagą, a uczucie i uwielbienie dla ideałów narodowych było dla niej nie jakąś mrzonką rozentuzjowanego umysłu, ale uczuciem wydobywającym się z głębi serca. Pojmowała ona naukę, nie opierając jej na tak zwanym kosmopolitycznym gruncie, ale pracowała z chęcią — z pragnieniem dobra i pożytku dla kraju. Uniwersytet, stara wszechnica Jagiellonów, był wtedy ogniskiem życia umysłowego i patriotycznego, ale nie miejscu, z którego naczerpawszy wiadomości, można je w dalszym życiu za smaczną baranią pieczeń lub smaczny bifszyk stacjen dować.

Zboczyliśmy jednak z toku naszej powieści niniejszym ustępem. Historia, nie cierpiąca fałszów, w przyszłości osądzi może tę młodzież, my daliśmy na tem miejscu słów kilka z tej przyczyny, że nie jednokrotnie słyszeliśmy tę młodzież z roku przez naj młodsze pokolenie nazywaną szaleńcami — dziwnymi. Słyszeliśmy nawet na publicznym zgromadzeniu wypowiedziane zdanie: młodzież ówczesna żyła z sobą po koleżeńsku, po bratersku, bo potrzebowała siebie. My już dzisiaj tej potrzeby nie mamy. Są to skutki owego bezustannego chłodzenia naszej młodzieży. Wołano na nią, że jest za gorącą, zimną też przeto jak lód się stała. Z jednej ostateczności pięknej popadła w najszpetniejszą. To, co dziś jest, stworzyliśmy sami własnowolnie, a do tego upadku rękę własną bezustanku przykładaliśmy. Patrzmyż więc na te metamorfozy młodzieży naszej jako na winę, za którą kiedyś odpowiemy przed przyszłością. Ręką własną odzierajmy resztki tego purpurowego płaszcza, skoro dopomagaliśmy też rękami do powalania go. Dziś możemy powiedzieć o tej naszej młodzieży, że będzie rozumną, że będzie spoglądać na świat i ludzi pozytywnie, ale że sercową, że dziwną nigdy nie będzie, bo przyszła ona do tego przekonania, że czasy bohaterstw przeminęły, żeśmy dziś ludźmi cyfr już tylko. Ze znaną nam gromadką dziwnych rozstaliśmy się wtedy,

gdy na rozkaz naczelnika obozu, którym był podówczas Kurowski, przygotowano się i wyruszono na stację kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej, Sosnowiec. Było to już pod wieczór, gdy oddział wy

ruszył ku tej pozycji bronionej przez niewielki oddział piechoty moskiewskiej i konną straż pograniczną, znaną pod nazwą obieszczyków. Cezar szedł obok swojego plutonu i karabin, który trzymał na prawym ramieniu co chwila zdejmując i oglądając. Sokrates, Mozart i Katon w ściśnionym szeregu postępowali wolnym krokiem ze zwieszonymi głowami, oczekując z niecierpliwością pierwszego strzału wysuniętych wedet moskiewskich.

Wdali majaczył już dworzec sosnowiecki. Nagle strzał wypadł i tentent koni uciekających obieszczyków dał poznać oddziałowi, że chwila walki się zbliża. Naczelnik jechał po prawej stronie oddziału. Moskali pomimo dosyć blizkiego dystansu widać nie było.

Muzyka zagrała pieśń legionów, a oddział cały jakby jednym powodowany uczuciem, zaśpiewał „Jeszcze Polska nie zginęła”. Krakuski wyleciały w górę i na przemówienie wodza gromkiem „hura” odkrzyknęły dzielne jeszcze wówczas krakowskie dzieci. Naraz Cezar wysunął się z szeregu i salutując po wojskowemu, przystąpił ku dowodzącemu.

— Czego chcesz ? zawołał Kurowski.

— Naczelniku, pozwól mi z moim plutonem rozpocząć rekonesans i atak.

— Dobrze... Ilu liczysz w plutonie?

— Piętnastu!

— Odważnych?

— Jak ja!

— Gotowych na śmierć?

— Bezwątpienia.

— A więc ruszaj! naprzód!... zawołał dowódca wskazując palcem blizkie już mury Sosnowca.

Cezar zakomenderował i z oddziału całego wystąpiło piętnastu dzielnych zuchów, między nimi naturalnie znajdujemy i byłych mieszkańców piętra śtojańskiej ulicy w domu pod lwem rozdartym. Małeńki oddziałek ten wsparty przez dwóch jeźdźców, krokiem szybkim, klusem prawie podążył w stronę mu wskazaną. Moskale wewnątrz dworca zatarasowawszy drzwi i obsadziwszy okna strzelcami, oczekiwali przybyłych, przyznać należy, z krwią zimną i bohaterstwem niesłychanym. Caryzm, który w tej zfanaty zowanej dziczy doszedł kulminacyjnego punktu, tak ich oszołomił, iż zapomnieli o tem, że są ludźmi a pamiętali tylko o zasadzie,

która sprowadza ich zwykle do znikczemnienia, mieszczącej się w dwóch słowach: „Boh i car”. Cezar na czele swojej gromadki dobiegał już szyn przecinających drogę, gdy z drugiej strony jej zawołano:

— Stoi! kto idiot?

— Naprzód!., dalej za mną wiara, krzyknął Cezar.

Z okien buchnął dym i ogień, a powietrze przeszły świst kilkunastu kulek. Oddział się zmieszał i zastanowił na chwilę, dwóch ranionych upadło. Cezar bystrem okiem obejrzał pozycję: po lewej stronie drogi znajdowała się mała strażnicza budka i studnia; tam więc skierował się ze swoim oddziałem i rozstaso wawszy się po za niemi, uformował pewnego rodzaju zasłonę dla siebie i swoich towarzyszy przed strzałami kul moskiewskich. Sam i towarzysze jego przyklekli i z odwiedzionymi kurkami oczekiwali ukazania się okrągłych zielono czarnych czapek. Długa pauza jednak minęła, zanim jeden widocznie z odważniejszych wychylił się z okna. Cezar broń przyłożył do oka, mierzył chwilę, pociągnął za cyngiel, a korpus cały obieszczyka już nie był w stanie własno wolnie cofnąć się z okna, kula z karabinu kupionego za pieniądze przekupek warszawskich, ulokowała się już w mózgu odważnego carskiego sługi. Cezar sięgnął do ładownicy, wyjął z niej krede, którą naznaczył kreskę na mundurze, a potem drugi ładunek i począł swoją broń nabijać. Nabiał ją, jednak drugiego odważnego Moskala ujrzyć nie mógł. Reszta zająwszy pozycję obronną, oczekiwała już napadu wewnątrz gmachu wyglądając formalnego ataku. Cezar im dłużej czekał, tem więcej się niecierpliwił — spluwał, i przeklina! świat i wszystko co na nim się znajduje.

— Do stu piorunów, zakrzyknął, tchórze, osły, nic chowajcie się jak nieludzie po za murami — miejcie przynajmniej odwagę zmierzyć się z nami! Ale repliki na te wykrzykniki nie usłyszał.

Milczenie zajęło przestrzeń zajęta przez Moskali i naszych..

Wewnątrz dworca tymczasem obrońcy knuta i niewoli oczekiwali natarcia powstańców z dziwnie zapamiętałą odwagą. Zdjęli czapki i poczęli się modlić tą niewolniczą pokłonną modlitwą na wet, w której niepodobieństwem jest ducha i wolnej myśli dopatrzeć. Dwa na krzyż położone drągi i stół wraz z materacami i całym dawnym umeblowaniem pasażerskiego pokoju, stanowił niejako barakadę i tamowały wejście do wnętrza izby, przemienionej w tej

chwili na fortecę. Cezar pod studnią i budką strażniczą coraz się więcej niecierpliwił, w końcu zrywając się nagle z ziemi, gromkim

zawołał głosem:

— Kto Polak i odważny, za mną gęsiego! — I cały plutonik pobiegł za swoim przewódcą, który obiegił drogę, zaszedł z tyłu domek i pomimo strażów z okien, bez straty dobiegł do pierwszego okna, z kądem wyglądał rząd błyszczących białych karabinów; nasadził następnie bagnet na lufę swojego karabinu, i jak bomba krzyknąwszy: „zamną! naprzód!” całą siłą swojego korpusu wpadł pomiędzy zdumiałych taką śmiałością obieszczyków, przez okno. Lufy wszystkich karabinów moskiewskich zwróciły się przeciwko śmiałkowi, który już na prawo i lewo kłuł swoim bagnetem. Chwilka, a Cezar byłby już nie żył.

— Do mnie! wrzasnął ujrzawszy niebezpieczeństwo. Krzyk skutkował. Przez toż samo bowiem okno wskoczyli już Sokrates i Mozart, a za nimi Katon i reszta oddziałku. Opisać rzeź, jaka się w tej chwili odbyła, zaiste jest niepodobieństwem. Cezar co chwila nowy cios wrogom bagnetem swojego karabinu zadawał. I ilekroć padł pod razem jego który, na mundurze nową znaczył kreskę. Wyglądał jak lew rozjuszony i straszny, obryzgany krwią. Ze wszystkich stron słyhać było jęki i przekleństwa. Nasi nie byli także bez straty. Cezar dwa razy raniony, trzymał się jeszcze dzielnie z Sokratesem, Katon zaś z Mozartem ciężko ranionym spoczywał na ziemi między zabitymi. Śmierć kilku z oddziału czy niła możliwe zwycięstwo Moskałom, zdawało się nawet, że są już górą, gdy przybycie reszty oddziału dokonało już zupełnego zwycięstwa. Rząd narodowy a raczej powstanie zyskało na niem kilka dziesiąt tysięcy rubli z kasy komory i rozgłos, który nader korzystne na ogóle zrobił wrażenie. Plac boju oczyszczonym został z nieprzyjaciela zupełnie — Kurowski zwołał apel, brakowało niewielu. Gdy podszedł ku Cezarowi, spojrzął mu w oczy i na mundur.

— Co to znaczy, zapytał wskazując na prawą pierś bohatera.

— Każda kreska znaczy zabitego Moskala; jest ich dwadzieścia ośm, odparł.

— Dzielny zuch jesteś.

— To nie moja zasługa.

— A czyjaż?

— Ot! tego karabinu, dodał podnosząc w górę broń swoją.

— Cóż to? czy w nim zaczarowane kule!...

— Tak jakby, przeżegnane bowiem ręką przekupek warszawskich. sama zaś broń ta, jest ich darem, który otrzymałem przy wyjeździe z Warszawy.

— Doskonale! zasłużyłeś się ojczyźnie, przedstawię cię w raporcie dziennym Rządowi.

— Przedstaw naczelniku moje przyjaciółki.

— Zgoda. Mianuję cię imieniem Rządu porucznikiem.

— A moi przyjaciele?

— Gdzież oni.

— Ranieni.

— Iluż ich jest.  
— Trzech tutaj, jeden w Warszawie!  
— Przedstaw mi ich.  
— Dziś naczelniku dziękuję ci za stopień, którego nie przyjmuję. Być może, iż przyjdzie chwila, potem, że przysługi jakiej od ciebie zażądam, wtedy racz mi jej nieodmówić.  
— Dobrze!... Bądź zdrow!...

Tak się skończyła rozmowa uważanego przez cały oddział za bohatera dnia tego. To przeglądzie Cezar odszukał dwóch raniomych swoich towarzyszy, wyszukał furmankę i pilnując ich z Sokratesem, dowiódł aż do samego Ojcowa. Rana Katona była mniej niebezpieczną, Mozart jednak osłabiony wpływem krwi, która obficie płynęła z boku, w malignie spoczywał na wozie, i doktor obozowy zapowiedział, że na wyleczenie prędkie pacjenta nie liczy, zalecając oraz spokój dlań tak moralny jak i fizyczny.

Po powrocie zastali w obozie Jurka oczekującego z niecierpliwością zwycięzców.

— Cóż to? a ty z kąd najdroższy mój, zawołał Cezar rzucając się na szyję przyjacielowi.  
— Przyjechałem bić się razem z wami.  
— Jakto?... a matka?  
— Została w Warszawie.  
— A pan Joachim?  
— Także...  
— No a Milcia?

Jurek się zachmurzył i zamilkł. Cezar spojrział na niego bawczym okiem i śledził nieustannie, kiedy tymczasem przybyły

Sokrates wycelowował na Wszystkie strony dawno niewidzianego przyjaciela.

— Jurku, tyś mi iaki bład? dodał po chwili Cezar nie przestając wpatrywać się bezustannie w Jurka.  
— Być może, odparł tenże, jechałem noc całą, jestem zmęczony i zakaszałem się przy tem silnie a na zielonej murawie ślady krwi po ślinie jego zostały.  
— Czy wiesz, co się dzieje z Katonem i Mozartem? spytał Sokrates.  
— No? cóż takiego?  
— Ranni! obadwaj.  
— Gdzież są na Boga, mów prędzej.  
— Dotąd w obozie, Mozart zwłaszcza jest w nader niebezpiecznym stanie. Kula drasnęła mu tam jakąś kość i doktor w obawie...  
— Mój Boże, a miałem mu powiedzieć taką niemiłą wiadomość.  
— No cóż! a prędko.  
— Stary major nie żyje.  
A Lola?

— Nie wiem...

— Biedne dziewczę! co teraz czyni?

— Nie wiem; wyjechałem właśnie w godzinę po śmierci jej dziadka.

— Szkoda starego, dorzucił Cezar; nie doczekał się biedak upragnionej chwili... Jurku! masz rozporządzenie Rządu do opuszczenia Warszawy? zapytał surowo.

— Nie! wyjechałem sam.

— Jesteś dezertorem i jako dezerters musisz wrócić nazad.

— Palnę sobie w łeb, a nie uczynię tego, zawołał stanowczo Jurek.

— Dla czego?

— Bo nie chcę.... pragnę zginąć... pragnę umrzeć...

— No! to dosyć prędko, dodał nieco łagodniej Cezar, jak na tak młodego chłopca jak ty, i wolno cię zapytać, co przyczyną tego rozczarowania?

Jurek zakaszłał się znowu.

— Nic, proste pragnienie chwały, odparł.

— O nie! ja tam nie byłem, zawołał ostro Cezar, a powiem ci to lepiej. Przyczyną tego zniechęcenia to ta... ta bez serca kobieta, ta twoja Milcia.

— Mylisz się.

— O nie, ja się tym razem nie myślę, i powiem ci otwarcie, jest to słuszną karą dla ciebie. Zapomniałeś o dwóch pierwszych obowiązkach, o obowiązkach dla ojczyzny i obowiązkach synowskich. Byłeś podwójnym złym synem. I dla kogo? dla kobiety, która z ciebie żartuje, śmieje się i w końcu pogardzić musi.

— Cezarze! przerwał Jurek.

— Gniewaj się, mów co chcesz, to mi wszystko jedno; po wiedziałem prawdę i od niej nie ustąpię; spytaj Sokratesa, spytaj tych dwóch rannych biedaków, a oni ci tożsamo powtórzą, choć pewno nie lepiej cię odemnie kochają. Wiem, że ona była przyczyną twego wyjazdu z Warszawy. Uciekłeś z tamtąd, stchórzyłeś — tam trzeba szyję na stryczek narażać, tu tylko na kulę — tutaj wygodniej... ciągnął dalej szyderczym tonem Cezar.

— Cezarze! Cezarze! na Boga przestań, bo mnie tem za bijasz.

— Jam twoim przyjacielem, ta przyjaźń obowiązuje mnie, abym ci powiedział co myślę o tobie, o niej! Ta kobieta zdolna ci była rozkazać zapomnieć matki, zapomnieć ojczyzny, a ty byłbyś to uczynił... Jesteś tutaj; gdybym wiedział, że ona tam nic będzie, o, tobyś musiał powrócić na miejsce.

Jurek na całą tę tyradę wypowiedzianą ostro a energicznie milczał, w końcu zaś, gdy Cezar coraz więcej się zapalać począł, rzucił mu się na piersi i zawołał:

— Tak!... ty masz słusność mój bracie i przyjacielu, ona nie warta mojej miłości, a jednakże ja ją tak kocham, tak kocham,



że ci nawet tego wypowiedzieć nie potrafię.

— No! więc rozpogódź czoło, staraj się o niej zapomnieć i chodź do tych pocziwych biedaków, którym Sokrates zaniósł już pewnie wiadomość twojego przybycia.

W karczemce do dziś dnia stojącej jeszcze na uboczu a przemienionej na on czas w szpital dla rannych, na tapczanach obozowych spoczywało kilku rannych, między innymi Katon i Mozart, ostatni dotąd przytomności nie odzyskał. Katon zaś choć usiłował podnieść się z poduszki, aby Jurka uściskać, uczynić tego nie

był w stanie, ręka bowiem silnie płatnięta pałaszem, uraziła go silnie i chcąc nie chcąc upaść musiał napowrót. Jurek ]Gbiegł ku największemu ze wszystkich przyjaciół swoich i ostrożnie, aby nie urazić chorego ramienia, począł go ścisnąć i całować.

— Biedny mój, tyś raniony? zawołał ze współczuciem.

— Tak, trochę, ale wierz mi, że to nie tak boli, jak się zdaje. Widzisz jaki ze mnie niepoń, — Cezar dwa razy płatnięty a chodzi, ja raz tylko, a na nogach stać nie mogę. Wprawdzie nurzałem się we krwi własnej jak szczupak w wodzie, no! ależ i jemu nie mało jej ubyło.

— Jacy wy szczęśliwi, odezwał się Jurek.

— O! wierz mi, że bardzo; ty nie masz nawet wyobrażenia, ile ta rana sprawia mi radości. Takie rany nie bolą, wierz mi.

— Wierzę i żałuję, że nie byłem z wami. Mógłbym i ja się nią szczycić.

Mozart tymczasem na sąsiednim tapczanie majaczył:

— Lolu moja najdroższa, szeptał spalonemi gorączką usty. Zagraj mi tego smętnego Szopenowskiego mazurka — co ja tak lubię — dziaduś także słuchać będzie — ukołyszysz go do snu jak macierz dziecię swoje kołysz — on zaśnie a ja wtedy ukradkiem na tych cudownych jagodach pocałunek złożę... Bronisz się filutko... nie dasz... a godzi się to tak... będę się gniewał... A wi dzisz!... że nic nie pomoże obrona... oh! gdyby to Cezar wiedział... tożby mnie zburchał... on taki surowy... Ale patrz... dziaduś się budzi... graj dalej... i począł nucić piosenkę jakąś, po chwili nagle się roześmiał. No, moja królowo... proszę nie płakać... ja idę z Cezarem... będziemy bić Moskali; pobijemy ich na łeb na szyję... a potem wrócę. Ciebie ustroję w sukienkę — welonem prześliczną główkę opaszę i mirtem zielonym umaję... dziaduś pobłogosławi... Jurek z jednej strony pod rączkę uchwyci i Katon z drugiej... i powiodą nas do ołtarza... Druchny mówisz?... a prawda trzeba i druchny... No jedna pewnie Milcia, Jurek sobie... tego... życzyć będzie, a drugiej trzeba poszukać koniecznie... koniecznie... szukaj... Na wspomnienie Milci, Jurek poruszył się niespokojnie na łóżku Katona.

— A jak nam dobrze będzie... jakie sobie z dziadusiem gniazdko urządzimy.. co tu kwiatków, patrzaj i kanarków dwoje, co się pierzą... tak... Lolu... dziaduś... I już potem chory wymawiał

tylko same niezrozumiałe wyrazy, w których sens nader trudno ująć było.

Jurek opuścił głowę i miał łzy w oczach. Katon sposepniał także.

— Cóż mówi doktor? spytał po pauzie Jurek.

— Liczy na siły i młodość!...

— Biedna Lola dwa straszne ciosyby poniosła.

— Jaktó!

— Major umarł na parę chwil przed moim wyjazdem.

— O, Bóg nie pozwoli, aby on umarł — ona nie przeżyłaby tego.

— Daj pokój — kobiety wszystkie jednakie!

— Jaktó i ty — ty Jurku to mówisz?

— Tak mój bracie niestety!

— A Milcia?

— O! to długa historia.

— Dla mnie jednak nader ciekawa — więc mi ją opowiedz

Jurku ! wszakże mam prawo do twojej szczerości.

— Prawda, ty jeden z nich wszystkich zrozumiałeś miłość moją dla tej kobiety — chociażeś naganiał. Stało się więc, coś przepowiedział najdroższy mój — coś widział, a czego ja zaślepiony miłością dojrzeć nie mogłem. Ona nie warta była mojego uczucia, jednak ja ją tak kochałem, tak kocham jeszcze do obecnej chwili, że bez wstrząśnienia o tem mówić nie mogę...

— Cóż było jednak powodem zerwania?

— O! anibyś się mógł domyśleć nawet; ta kobieta, przed którą uchylałem czoło, której powierzyłem wszystkie skarby mojego serca, sama własnymi ustami ośmieliła się powiedzieć mi, nie obwijając nawet w bawełnę, że bez mych pieniędzy nic dla niej wart nie jestem.

— Może żartowała tylko z ciebie!

Nie... posłuchaj dalej; Joachim cały majątek mój, jaki po siadał w gotówce chcąc go powiększyć, naturalnie z dobrych chęci dla mnie, boć go o jakieś brudne chęci na chwilę nawet posądzić nie mogłem...

— No naturalnie, powtórzył Katon.

— Powierzył w ręce niejakiego bankiera Roza, ciągnął dalej Jurek. Roz podobno zbankrutował, a gdy się o tem wieść rozniosła, mój ideał dosyć wyraźnie oświadczył mi, iż nie mam co

myśleć i marzyć o niej. Bo ona nie pojmuje życia bez wygód a miłości przy blasku księżyca i śpiewie ptasząt; cóż mi pozosta wało do czynienia, zwątpiłem we wszystko i postanowiłem umrzeć w tym celu właśnie przybyłem do was...

— A matka? a my? a Joachim?...

— Oh! to też tylko z całej tej historii wyniosłem, to jedyne a święte aż do ostatniej chwili życia mego przekonanie, że oprócz was, was wyjątków na całym świecie, brakuje ludzi serca.

— Mylisz się bracie mój, serca nigdy nie braknie, trzeba je tylko umieć wyszukiwać i ocenić należycie. Ty nie masz prawa jeszcze do pragnienia śmierci, masz matkę? Nie wolno ci nawet takiego wypowiedzieć zdania, jest ono bowiem w twoich ustach bluźnierstwem...

— A jednak czuję takie pragnienie w sercu...

— Toś je powinien stłumić, bo uczciwość na to ci nie pozwala...

W tej chwili do izby wszedł Cezar a z nim Sokrates także, i całe grono dziwnych, które poznaliśmy na początku naszej powieści w pokoiku czwartego piętra...

— Czy wiesz, spytał cicho Katona Cezar, o śmierci majora?

— Mówił mi właśnie przed chwilą o tem Jurek.

— No i cóż ty na to?

— Ja mówię, że wszyscy jak tu jesteśmy, mamy obecnie jeden, jedyny obowiązek.

— A nim?

— Czuwać nad Mozartem, aby wyzdrowiał.

— A potem?

— Potem ożenić go z Lolą i niech pracują razem z nami i na siebie.

— Jak to rozumiesz?

— Rozumiem, że Mozart jest naszym przyjacielem i obowiązkiem naszym tak pomagać temu przyjacielowi i jego żonie, aby im niczego w życiu nie zabrakło.

— Czy Mozart naszą pomoc zechce przyjąć tylko? szepnął nieśmiało Sokrates.

— Co to nie zechce, musi i basta, zawołał Cezar. A więc tak pocziwy i zacny mój Katonie, powiedziałaś prawdę i dobrą i uczciwą, Mozart jeśli się wydzwignie z ran, do boju już zdatnym nie będzie, może się więc żenić, a ze względów uczciwości powinien,

Staje się wraz z przyszlą żoną jego już nie przyjacielem, ale dzieckiem i czuwać a strzedz go jak oka w głowie powinniśmy.

— Dobrześ powiedział i daj mi swą dłoń, niech ją uściskę za to, zawołał Katon. Obyśmy się zawsze tak wszyscy kochali.

— Amen! zakończył Jurek.

Minęło dui parę, Katon powoli przychodził do zdrowia, Mozart miał się lepiej także, gorączka silna jednak nieopuszczała go jeszcze. Po sosnowickiej bitwie o mężtwie Kurowskiego po całej Polsce rozbiegały się tysięczne powieści. Z Krakowa i jego okolic zbierały się niekiedy rodziny całe, aby odwiedzić i zobaczyć ów dzielny narodowy obóz ojcowski. Nic dziwnego, oczy polskie tyle lat karmiły się widokiem najeźdniczych zastępów, że rade były odpocząć na sztandarze z wizerunkiem orła i pogoni, lub sławnej kosie, o której najmłodsze pokolenie z podań już tylko wiedziało. Rozpoczęły się obecnie przygotowania do nieszczęśliwej bitwy Miechowskiej, gdzie legli najdzielniejsi z oddziału Kurowskiego, a kto wie, może i z całej młodej generacji naszej ludzie. Na dwa dni przed wyprawą, której zamiaru Kurowski wcale w tajemnicy nie trzymał, a tem samem dodał jeden powód więcej do klęski, dwie zawołowane damy wraz z licznie przybyłymi gośćmi dopytywały się usilnie o locum Mozarta. Pod tem nazwiskiem znał cały obóz jednego z moich bohaterów, to też nie trudno było się do wiedzieć o niego. Biedna Lola zmęczona długą podróżą, a jeszcze więcej cierpieniami i stratą ukochanego dziadunia, z przerażeniem dowiedziała się o niebezpiecznej ranie Mozarta. Przełęczniona — z obawą, aby drugiego nie postradać skarbu, tłumiąc łkania, które gwałtownie się wydzierały z jej piersi, weszła na palcach po ci chutku do izby, w której spoczywał jej narzeczony. Kto kiedykolwiek kochał w życiu, ten wie, jakich wrażeń doznać musiało serce Kochającej Loli na widok zmizerniałego gorączką Mozarta. Za nią w milczeniu postępowała Pola; patrzyła ona szklannymi oczami na wszystko, rumieńce gorączkowe i przyspieszony oddech dla by strego oka od razu czuć dawały, że kobieta ta w nienaturalnym znajduje się usposobieniu. Obydwie przyjaciółki weszły właśnie do izby, kiedy całe grono zebranych towarzyszy gwarzyło o przyszłości i o stanie obecnym sprawy. Jurek tylko nie mieszał się do gawędki, zdawał się nic nie słyszeć i nie widzieć. Gdy spostrzegł Lolę, wstał chłodny jakby go nic nie obchodziło, nic pytał się jej o nic, o żadne

wiadomości z Warszawy. Poli zawołowanej nie poznał. Śpiący Mozart przebudził się właśnie. Miał sen dziwny, śniła mu się Lola, znów gniazdko rodzinne i marzył o niem. Gdy spoczęły na uim oczy Loli, śnać poczuł ich wpływ magnetyczny, bo otworzył po wieki, spojrzął na stojącą przed nim Lolę i nie dowierzając sobie, czy znajduje się we śnie, czy na jawie, zamknął je napowrót. — Drogi mój! zawołała Lola wybuchając głośnym płaczem i z osłabienia uklękła przy łóżu jego. — To ty Lolu? szepnął ledwie dosłyszczanym głosem chory. — Ja najdroższy mój, tyś ranny, ale to nic, ja pielęgnować cię będę, do zdrowia wrócisz — i pojedziesz nazad ze mną. Nie prawdaż? — Tak... jeśli... dodał odwracając się do Cezara, którego spostrzegł w tej chwili; i ty tu jesteś? a więc jeśli on pozwoli.

Lola zwróciła splekane oczy swoje na zafrasowanego Cezara.

— Do stu piorunów, tylko bądź zdrowym, to pogadamy o tem.

— Katon wzruszony nie mógł nic mówić, tak go ta scena cała przejęła. Stał więc z ręką na temblaku obserwując bacznie Połę.

— Wiedz Lolu, mówił Mozart wolnym zmęczonym głosem, miałem sen dziwny, długi, a zawsze ty przy mnie byłaś. Tak mi tęskno było tutaj za tobą, marzyłem wciąż, bezustannie o naszej przyszłości. Zdaje mi się, że byłem długi czas w gorączce, a przecież zawsze widziałem cię przy sobie. Co mówił dziaduś umierając. Nicze mi nie kazał powiedzieć?...

— Kazał, zawołała Pola odrzucając nagle woal. Jedź do niego, oto ostatnie słowa pocziwego majora, który to rozkaz dopełnić pomogłam mojej przyjaciółce.

Wrażenie, jakie temi słowy wywarła Pola na otaczających, a ukazaniem się swoim na Jurku, było nie do opisania. Nie przy puszcza! on ani na chwilę, aby Pola mogła się takiego szaleństwa dopuścić, zerwał się więc z siedzenia i zawołał:

— Pani!? tutaj!?!...

— Tak! prawda panie Jerzy Weryga, to szaleństwo, dzi wactwo, biedź mil tyle za tym, którego się kocha, a który nami gardzi; szaleństwo, ścigać go, prześladować go swojemi oczami, których widoku pan znieść nie możesz nawet. Panowie jesteście

zdułmieni wszyscy, mówiła dalej zwracając się do otaczających, zem tutaj przybyła, że takim do pana Jerzego przemawiam języ kiem. Prawda, że to dziwne, ale jam kobieta niezwyčajna, nie zwyczajnych używam środków. Znam was panowie wszystkich, wiem żeście przyjaciółmi Jerzego Werygi i powiem wam rzeczy, których może nie wiedzieliście...

— Ależ... pani... przerwał Jurek.

— Kocham i kochałam pana Jerzego, dowodzę to czynami memi, a była inna kobieta, która mówiła mu tak samo, ale gdy przyszło słów dowieść czynem, powiedziała mu, że miłość bez pie niędzy to szaleństwo, a dziś powtarzam wobec was to, co kiedyś sama mu powiedziałam, zapominając o tem, że tego uczynić nie powinnam. Panie Jerzy, patrz jam już warjatką dla ciebie, przysłałam tutaj nie w innym celu, aby cię dla matki, dla Joachima, dla siebie powrócić. Wracaj do Warszawy, wracaj natychmiast ze mną.

— Słowom pani w odpowiedź, dziś powiedzieć mogę tylko to, com już raz powiedział. Czyny zaś moich znajomych pod kry tykę osób trzecich poddawać nie pozwałam... Zegnam panią! Oto była odpowiedź Jurka na gorące słowa kochającej go kobiety, która po nich sama nie wiedziała, co zrobić ze swoją osobą.

— Do stu piorunów, mruknął przez zęby Cezar. Jurek nie po ludzku powiedział.

Katon zaś postąpił bliżej Poli i łagodnie rzekł do niej:

— Bądź pani spokojniejszą, paroksyzm jeszcze nie ustał po stracie tamtej, ale ustać musi nie długo. Poczekaj pani dłużej jeszcze, a niezawodnie weźmiesz go pani z sobą...

— Panie, tyś jego przyjaciel, zawołała gwałtownie Pola, ratuj mnie i jego...

— Bądź pani spokojną, on będzie twoim, zakończył Katon dziwnie wpatrując się w twarz Poli, ja ci to przyrzekam.

— O panie! wracasz mi życie.

Sokrates na uboczu rozmawiający z Cezarem, wobec scen takich uważali za stosowne z pokoju się ulotnić i zostawić jako chana parę i Polę z Katonem w odpowiednio do wrażeń sytuacji przyjemnej. Udali się oni w stronę, gdzie powędrował Jurek rozszalały wspomnieniem straty i rozdenerwowany słowami Poli. Pod tchnieniem ukochanej, pod jej czułą opieką i pieczołołowitością, Mozart prawie cudem się wzmacniał. Na blade jego oblicze

Ii rumieniec zagościł i uśmiech, a za tem idzie i humor. Tak był i szczęśliwy, tak uradowany przybyciem najdroższej, iż pomimo dość silnej rany, bólu nie czuł i w krótko zamierzał się podnieść z łóżka, Czemu jednak przypisać należało gwałtowny powrót do zdrowia Katona? tego nie wiem, pielęgnowała go Pola. Jej oczy może równie skutecznym były balsamem na ranę Katona, jak oczy Loli dla Mozarta. Szkoda, że dotąd żaden z medyków znakomitych nie napisał o wpływie zakochanych oczów na rany od kuli. Wiadomości takimi podzieliłbym się niezawodnie z wami ponownie a cierpliwi czytelnicy moi, którzy pragnęlibyście jak najspieszniej dowiedzieć się, czy Numa poszła za Pompiliusza, lub czy Pompiliusz ożenił się z Numa. Niestety, jednak ciekawości waszej jeszcze tak prędko zaspokoić nie będę w możności. Bohaterowie mojej powieści nie są postaciami wylęglami w głowie najpokorniejszego waszego sługi, ale ludźmi, z których niektórzy jeszcze żyją, inni zaś, żal się Boże po upadku powstania ruszyli w świat i tułają się po zamorskich krainach. Nie przerywajmy jednak toku powieści. Nazajutrz w kwaterze naczelnika obozu ojcowskiego, zjawił się Cezar a przy nim i Sokrates.

— A jak się masz młodzieńcze, zawołał naczelnik ujrawszy bohatera z pod Sosnowca.

— Dzielnie naczelniku!

— Czy może chcesz czego odemnie.

— Nieinaczej.

— Więc mów!

— Idzie to nie o mnie, ale o jednego z moich towarzyszy.

— Kogo?

— O znasz go naczelniku, tego co go Moskał tak szkaradnie prześwidrował na wylot pod Sosnowcami, że do stu piorunów...

— Jak się nazywa?

— Mozart.

— A wiem, przypominam sobie; o cóż więc idzie?

— Ten człowiek niezdolnym jest do boju.  
— Szkoda, pod Miechów potrzeba nam wiele i dobrego  
żołnierza.  
— My więc, zebrani tutaj jego przyjaciele, postanowiliśmy  
go ożenić!  
— Ożenić?

— Nie inaczej do stu piorunów, narzeczona jego przyjechała  
tutaj, pojmujesz więc naczelniku, że sama bez nikogo w obozie  
zostawać nie może.  
— Czemuż nie pojedzie do rodziców.  
— Do stu piorunów naczelniku, byłoby jej to troszeczkę za  
trudno, rodzice jej bowiem, mój naczelniku, już dawno spoczywają,  
na wysokościach.  
— Więc jest sierotą.  
— Właśnie, oprócz Mozarta nikt jej na świecie nie został,  
trzeba więc koniecznie ożenić. I to uczynisz mi naczelniku tę przy-  
jemność tutaj w obozie.  
— Ależ to nie podobna!  
— Do stu porunów mój naczelniku, prosi cię o to karabin  
przekupek warszawskich. Spodziewam się, że mu nie odmówisz.  
— Prawda, masz moje słowo. Poproś tu księdza.  
— Dobrze, ty naczelniku poprowadzisz ze mną pannę młode,  
kto wie, Jutro może już nie będziemy mogli nikogo prowadzić.  
I z temi słowami odszedł zacny Cezar wraz z Sokratesem.  
— No Mozarcie, zawołał wchodząc do izby, i ty Lolu, boć  
cię pani mogę już tem poufałem nazwać imieniem. Szykujcie się,  
jutro ślub wasz...  
— Jakto? zawołali oboje.  
— A tak, zawołał przedrzeźniając się Cezar, jutro na złość  
wam; a może nie chcecie? no jak nie! to nic, zgoda; ide odwołać  
i księdza i ołtarz, który się w środku szykuje obozu!  
— Ależ nie, nie, chcemy, opowiedz nam tylko, jak się to ma  
odbyć...  
— Co to opowiadać do stu piorunów, jutro rano przyjdzie  
tu ksiądz, wypowiada was oboje, a przy ołtarzu po żołniersku  
na bębnach pobłogosławi was kapelan i pokropi na dalszą ścieżkę  
życia. Tak pani, będziesz panią Mozartową, będziesz miała takiego  
mazgaja, a ty będziesz miał taką prześliczną żonę. Eh! do stu  
piorunów, gdyby Ojczyzna była wolną, doprawdy i ja możebym  
o żonie pomyślał...  
— Lecz komu jesteśmy winni to szczęście? My nic nie mamy,  
oboję zawołali jednocześnie.  
— To już rzecz ułożona, zawołał Cezar i z temi słowami  
wybiegł z izby.

Nazajutrz rano, tuż nad figlarnym Prądnikiem ustrojono prze pysznie już rozkwitniętą zielenią, ołtarz oparty na kilkunastu wojennych bębnoch. Był to wszystko pomysł Cezara. W mundurze swoim naznaczonym dwudziestu ośmioma kreskami, wyprostowany jak struna, prowadził pod rękę wraz z naczelnikiem oddziału uszczęśliwioną Lolę, a Mozarta jeszcze osłabionego, któremu ta chwila dodawała siły, z jednej strony prowadził Jurek zachmurzony i załzawiony z powodu przypomnienia swej straty, Sokrates zaś z Katonem uszczęśliwieni z ożenienia się Mozarta zamykali orszak. Cały oddział, przybyli goście z Krakowa, wszystko co żyło jednym słowem, towarzyszyło temu weselnemu obrzędowi, a każdy z powstańców w szeregu uroczystym, wyciągniętym w półkole naokoło ołtarza, miał po prawej stronie swojego umundurowania białą kordką przywiązaną zieloną gałązkę mirtu. Cały oddział druzbował pocziwemu Mozartowi. Niebo, ziemia i cała uśmiechnięta natura patrzyła na ten uroczysty obrazek, a słońce wzbite po nad chęł mową górą, zdawało się uśmiechać szczęściem do zakochanej i szczęśliwej młodej pary.

Po odbytem obrzędzie powstały szepty między przybyłymi gośćmi z Krakowa.

— Co to, ślub w obozie? szeptał jeden.

— Jak się mogli pobrać, kiedy podobno slyszalem, że nic nie mają!

— Dziwni, doprawdy dziwni szaleńcy, wśród miłości pomrą z głodu; ładne to ale głupie.

Sokrates stał zdala i slyszal te ze wszech miar godną uwagę, dodał też:

— Dziwni, bo mają serce.

— Komuż winienem szczęście moje, szepnął cicho Mozart, kiedy mu naczelnik wręczył listy do Warszawy, w których jako niezdatnemu już do boju, zapewniał protekcje ówczesnego Rządu narodowego.

— Karabinowi przekupek warszawskich, odparł uśmiechnięty naczelnik wskazując na Cezara, który stał opodal i rękawem z wąsów łzę ocierał.

— Jedziesz, rzekł do Mozarta, z nią pojutrze; pamiętaj, że tu zostawiasz tych, którzy cię kochają. Jeśli ci zabraknie czego



w życiu, toć my żyjemy jeszcze, będziemy na ciebie pracować.  
A teraz daj ci Boże szczęście.  
Jurek nic nie mówił, ale uściśnął szczerze Mozarta i Lolę,  
tożsamo uczynili reszta przyjaciół.  
Tak się rozpoczęło życie jednego z dziwnych. Popatrzmy  
teraz na resztę.

## XII.

Bohaterowie.

O ile świetna porażka Moskwy pod Sosnowcami dodała otuchy i siły do walki, o tyle powiedzieć można, potyczka i klęska pod Miechowem, nieumiejętne rozporządzenie siłami i dziwna zarozumiałość Kurowskiego musiały, rzecz prosta, wpłynąć na utratę wiary w siłę i przyszłość powstania, a tem samem i nie mało przyczynić się do smutnego końca tak świetnie rozpoczętego dzieła. Rozumna tajemnica, którą naczelnik Ojcowskiego oddziału tak skrzętnie umiał przed podwładnymi nawet ukryć, dała zwycięstwo przy pierwszej potyczce, gdy przy drugiej, przygotowania wiadome wszystkim, musiały dojść do uszów Moskwy i ta naturalnie przygotowywała się także, a przygotowywała dobrze i oddział zastał ją na stanowisku, które nie łatwym było do zdobycia. Nieznajomość taktyki wojennej dowódcy, niepowściągliwość języka podkomendnych i ciekawość gości sprawiły porażkę, której skutkiem była śmierć najwaleczniejszych, najdzielniejszych i najinteligentniejszych z młodej, prawie wszystkich z uniwersytetu Jagiellońskiego.

Ślub Mozarta z Lolą opowiedziany przez nas w poprzednim rozdziale, odbył się 1 stycznia, a więc w przeddzień wyprawy onej. Mozart, którego szczęście uczyniło w krótkim czasie tak silnym, iż o własnych siłach mógł się podnieść z łóżka i poprowadzić swoją ukochaną do ołtarza, nie był jednak tak silnym, aby mógł bez narażenia swego zdrowia odbyć tak długą i pełną niebezpieczeństwa podróż do Warszawy. Rana zaś, którego rana już goiła się poczyniła, nie miała tyle siły jeszcze, aby na nowo broń chwycić i znów stanąć w szeregu walczących. Cezar więc, Sokrates i Jurek tylko mieli się udać na wyprawę miechowską, a trzeba przyznać, że wszyscy trzej oczekiwali z niecierpliwością chwili, w której znak bębna czy trąbki powoła do marszu. Biedna Pola

całą tę noc, która była nocą weselną dla Mozarta, nie zmrużyła nawet powiek. Nad rankiem zatrąbiono do wymarszu. Biedne dziewczę wybiegło przed przyzbę i zalazanymi oczami spoglądało na ruch niezwykły, jaki panował w obozie. Zewsząd biegli rycerze wolności, na wszystkich twarzach malowała się radość i nadzieja. Apel już czytano, gdy Jurek z belgijskim sztućcem na plecach przeciągał popod oknami tymczasowego ambulansu. Skoro go ujrzała Pola, cofnęła się we drzwi nazad, nie chcąc być widzianą przez niewdzięcznika, za którego niezawodnie życie swoje z ochotą poświęciła. Jurek ujrzał ją jednak, przeszedł, zastanowił się chwilę, jakby chciał iść do izby, postąpił znów parę kroków, i znów się

zastanowił. Pola wyjrzała, gdy nagle Jurek zwrócił się i podbiegł ku niej; — dziewczę nie miało siły cofnąć się. Jurkowi żal się widocznie Poli zrobiło, wziął ją bowiem za rękę i łagodnym, cichym przemówił głosem:

— Pani się na mnie gniewasz? nieprawda?

— Ja? na pana? i za co? odparła również cicho Pola.

— Jam panią obraził, jam na gniew zasłużył...

— ja na pana gniewaćbym się nie mogła.

— Wiem, pani mnie kochasz — czyli jednym słowem jesteś pani tak nieszczęśliwą, jak i ja nim jestem... bo kochamy niegodnych naszego uczucia. Widzisz pani, jak to dziwnie losy kierują ludźmi na świecie; czemu ja pani nie spotkałem w życiu pierwej, aniżeli spotkałem tamtą, bylibyśmy oboje szczęśliwi, tak zmarnujemy się oboje niezawodnie, ja przynajmniej... Pani jesteś kobietą, kobiety zwykle na wszelkie uczuciowe nieszczęścia są wytrzymalsze... Mam złe przeczucia pani!...

— Nie mów pan tak, błagalnym głosem zawołała Pola.

— Być może, że mylnie, ciągnął dalej Jerzy. Jeśli one się sprawdzą; pani, mam matkę, mam opiekuna, pamiętaj pani o nich; jej powiedz, że... że... ach nie mów pani jej nic, a sama czasem wspomnij, jeśli masz dłuższą pamięć jak cały ród kobiecy, o tym... który byłby czemś więcej niezawodnie dla ciebie, gdyby mógł być, jak tylko przyjacielem. A teraz bądź zdrowa przyjaciółko, uściśnij odemnie Mozarta i Lole, Katona... no!... Katona i dziwnym długim wzrokiem popatrzył na Połę, która tego spojrzenia zdawała się nie pojmować wcale.

— Chwilkę jeszcze, szepnęła nieśmiało Pola.

Jurek się zatrzymał.

— Przyrzeknij mi pan jedną rzecz tylko, jedną spełń prośbę moją...

— Słucham panią, rozkazuj...

— Jeśli zginiesz, ja także żyć nie będę, lecz jeśli powrócisz, zapomnij o mnie, jeśli przypomnienie takie sprawiać ci będzie przykrość, ale wyrzuć ją na zawsze ze swojej pamięci, bo doprawdy ona cię nieszczęśliwym uczyni...

— Już uczyniła... smutnie dodał Jurek, zwieszając na piersi głowę,

— A więc przyrzekasz?...

— Przyrzekam... lecz to nad moje siły... Bądź zdrowa...

I z temi słowy odszedł, odgłos bowiem trąbki i bębnow dawał znak, że już czas wyjść. Pola tymczasem bezsilnie prawie oparła się o ścianę domku i tęsknym wzrokiem spoglądała za ukochanym. W obozie już wszystko było gotowe do wymarszu; gdy nadszedł Jurek, Cezar szykował swój pluton, przyłączył się więc do szeregu.

Marsz był forsowny i dosyć długi, oddział zmęczony około tej rano stanął na chwilkę odpocząć przed samym napadem. Sokrates

odkomenderowanym został na rekonesans.

Znającym choć trochę historię powstania r., nie potrzebuje przypominać, jakich to środków chwycił się rząd moskiewski, aby tylko ukreślić głowę tej hydrze rewolucyjnej, która za cel i święte godło wzięła sobie dewizę: „za naszą i waszą wolność”. Gdyby w zaborze moskiewskim więcej było takich ludzi, w jakich w r. obfitowała Galicya, niezawodnie doszliby wrogowie nasi i tam do takich samych rezultatów. Krew bratnia i tamby się niezawodnie połała, a lud polski splamiłby się takimi czynami, jakich podanie do dziś dnia dreszcz zgrozy przejmuje każdego człowieka. Rząd Narodowy ówczesny działał dobrze względnie ludu uciśnionego przez tyle wieków; pierwszym jego czynem było wydanie rozporządzenia naczelnikom ogłaszania, że każdy włościanin jest równie dobrym obywatelem kraju, jak dawny pan jego, bo jest właścicielem ziemi, do której łązy, bohaterstwo, pot krwawy nadały już dawno prawo. Rząd najezdniczy tymczasem rozgłaszał wszędzie, że to powstanie szlacheckie, że dobrotliwy car chciał dać chłopom ziemię, że szlachcie się to nie podoba i dla tego broń

przeciwko niemu podnosi. Rząd Narodowy w odpowiedź na te bezecne kłamstwa, polecił nawet tam, gdzie obalamucony lud walczył przeciwko powstaniu, nie dozwolić bronić się tym oddziałom, a do jakiego bohaterstwa i zaparcia się siebie dochodzili ludzie, co za wolność walczyli, posłużyć może Sołowiówka i fakt, który niżej przytoczę.

Oddział stanął w małej wiosce, Czaple małe. Moskiewskie, pikietki odstrzeliwając się, szybko zwróciły się ku Miechowu. Kawaleria miała bronić ucieczki Moskiewie i z przeciwnej strony zaatakować moskiewskich żołnierzy, rozkwaterowanych częścią w do minującym na wzgórzu klasztorze, a częścią rozstasowanych na rynku, gdzie dla animuszu zrabowauym poczęła się raczyć spirytusem. Cały oddział coraz bliżej podsuwać się począł pod samo miasto; Moskale z klasztoru powitali go rześkim karabinowym ogniem. Od Słomnik już strzelcy nasi rozproszeni w tyralierkę, szli wolnym a pewnym krokiem, pod samym więc miastem strzały nieprzyjaciela naszym wielkiej nie uczyniły szkody. Inna rzecz, gdy Rochebrun wraz z żuawami rzucił się przez wąskie ulice na rynek. Batalionowy ogień uczynił wylom olbrzymi w naszych szeregach a walka stała się nie podobną. Szyki nasze wahać się i pierzchać poczęły, pomimo dzielnej i walecznej osobistości Rochebruna cofać się musiały; Jurek i Cezar znajdowali się właśnie w oddziale Rochebrunowskich żuawów i walczyli jak lwy jakie. Nagle coraz więcej miejsca poczęło się robić około nich, coraz więcej trupów padało na ziemię, w szeregach szmer niezadowolenia i niechęci objawiać się począł. Rochebrun tracił głowę, nie wiedział sam co czynić i także za innymi podążył. Widząc to Cezar, schwycił za karabin a podnosząc go w górę, z całej piersi zakrzyknął:

— Kto kocha Polskę! za mną do stu piorunów !

I pędem całym rzucił się na wroga, za pierwszym krokiem ubił jednego, dalej na wszystkie strony wywijając bagnetem swojego karabinu, wielu Moskali położył, a chcąc się przekonać o skutku swego zaklęcia, obrócił głowę w stronę swoich. Niestety! jednego po za sobą tylko ujrzał człowieka, a nim był Jurek, ale taki blady, taki zdawało się chłodny na to, co go otaczało, że ktoby go był w tej chwili zobaczył, niezawodnie nie byłby w nim poznał owego dzielnego entuzjasty z czwartego piętra. Jurek z opartym na lewym udzie karabinem, szedł krokiem mierzonym po za Cezarem, wodząc

swym wzrokiem za kulkami, które dosyć obficie biegały po powietrzu, zdawało się, że chciał, aby jedna z nich wybrała sobie w jego piersiach mieszkanie.

W tej chwili Cezar się zachwiał i silnym zawołał głosem:

— Jurku! przyjacielu! bracie do mnie!...

Jurek przyspieszył kroku, lecz miary jego nie zmienił, gdy jednakże ujrzał, jak Cezar pada na ziemię, jak tygrys rozjuszony rzucił się na miejsce, gdzie dwóch Moskali dobić chciało upadającego na ziemię bohatera; jednemu z nich rozplątał czaszkę herculesowem uderzeniem kolby, drugi jakby przestraszony na pomoc przybywającego, cofnął się. Cezar był raniony śmiertelnie, jedną rękę przyłożył do piersi, drugą trzymał silnie karabin, który tyle Moskali położył. Jurek przykląkł na jedno kolano, i głowę przy jaciela na nim oparł, podczas gdy kulki świstały ciągle w powietrzu.

— No! źle, szepnął ranny, koniec do stu piorunów, koniec, a tak ich mało zamordowałem, mówił coraz bardziej słabszym głosem. Boże daj mi życie, szeptał, nie dla tego abym je tak cenił, ale abym mógł ich więcej położyć, to jedyna myśl moja, to je dyne pragnienie całego życia, pozwól mi Panie spełnić. Łzy gorące biegły mu po twarzy; Cezar niezawodnie nigdy tak gorąco nie modlił się w życiu, jak dnia tego.

— Jurku, mów dalej, rzuć tę broń co masz w ręku...

albo nie... nie rzucaj... wszakże ją także może kto inny nosić, po co im oddawać, ale proszę cię weź ten karabin... weź jako talizman, wierz mi on święty, bo ze świętych pochodzi pieniądze... Powiedz Sokratesowi, niech go broni, ale go Moskwie nie daje... Powiedz naszym, że ich kochałem do ostatniej chwili... uściskaj Katona... Sokratesa, Mozarta... Lolę i sam ozeń się, jeśli wyjdiesz cało, z Połą, tą czarną... ale tamta... zgubi cię... a kochaj Polskę, ko chajcie ją wszyscy przed wszystkim i przed wszystkimi... Czekaj... jeszcze jedno słowo... nie mówiłem wam nic... bo i po cóż mówić miałem... słuchaj... tam w Warszawie na Starym mieście... obok nas mieszkała biedna szwaczka Józia... nieraz mówiła, że mnie kocha, śmiałem się z niej... pozdrów ją odemnie... pożegnaj... wi dzisz i jam grzeszny i powiedz, że myślałem o niej teraz... Bądź zdrów, już się kończy wszystko. I wysilając się, całemi gasnącemi już piersiami zakrzyknął: Pohybel Moskwie! Niech żyje Polska

upadł pocziwy Cezar i wryzionął ducha.

IW tej chwili także upadł na ciało przyjaciela Jurek... kula drasnęła go wyżej obojczyka, i tam uwiązła.

Na placu było już cicho. Mówcie cicho, bo strzały zupełnie już ucichły. Pijane żołdactwo ze wszech stron zebrało się do rynku i tu poczęła się uczta, jakiejby niezawodnie pozazdrościć mogły dzikie hordy Atylli. Rozpoczęła się więc pijatyka, mordowanie bezbronnych i to wszystko, czem odznaczali się bohaterowie z nad Newy.

Zaiste, niczem jest posiadać ołówek i geniusz Grotgera, aby można odmalować scenę, jaka się dzieła w Miechowie po walce. Któżby się ośmielił tam zjawić, kto nie nosił na sobie moskiewskiej sukni. Uczciwi nawet oficerowie, co chcieli tę pijaną powstrzymać tłuszcę, zmuszeni byli milczeć wobec rozbestwienia się jej i zwięzłości. A jednak była istota, co nie wahała się wśród nich przesunąć i z odwagą prawie nie podobną do uwierzenia, schylona nad leżącymi trupami i rannymi, wyszukiwać znajomej sobie twarzy.

Tym bohaterem była kobieta, czarno odziana i zasłonięta czarnym woalem, a tą kobietą była dobrze znajoma nam Pola. Do takiego czynu mogło się odważyć tylko takie kochające serce, ja kiem jej było, i miłość mogła tylko zwyciężyć nad wrodzonym nie wieścim strachem. Polki tylko umieją tak kochać.

Bóg sam widocznie sprzyjał jej zamiarom, nie spostrzeżona przez nikogo, doszła do samego rynku, a pijani żołdaci zajęci obdzieraniem trapów i mordowaniem urzędników bezbronnych, nie zwracali uwagi na kobietę tak odważnego serca. Pola zbliżyła się już do miejsca, na którym leżał Cezar z Jurkiem, gdy pochwycił ją za rękę widocznie jakiś mniej pijany i mniej dziki kozak.

— Wy czewo? spytał groźnie.

Pola zadrzała i czarne załzawione swe oczy zwróciła na pytającego błagalnie. Snać spojrzenie jej wpłynęło na kozaka, bo ła godniej nieco dodał:

— Taka maładaja krasawica i nieopasajetsa żołdatow ?

— Tu poległ mój brat, szepnęła z cicha Pola.

— Ha poległ, kalecząc dalej polską już mową, mówił kozak, ta na czto że jemu już przyda się wasza opieka? On teper u Boha smotrit na was i molitsia za was, on już pomier, on już nie wstanie panno...

Pola zadrżała.

— Ja chciałabym ciało jego wziąć z sobą.

— U matuszki mojej jest takich trzy krasawic, jak wy panno, Boh znajet, oni za Iwanem iskat nie będą... Mnie was żal pa nienko, żal oczeń,— no co ja zdełaju. Po cóż Polaki buntowali się przeciw cariu.

U Moskala nie ma wojny, jest tylko kara za bunt. I z kim kolwiek Moskwa wie dzie wojnę, w przekonaniu żołdatów jest zawsze karą na nieposłusznych buntowników, czy to są Francuzi, Niemcy, Węgrzy lub Polacy.

— Was tu ubijut jeszcze, uciekajcie, oni pijani, tu straszno.

— Nie, dobry panie, odparła Pola, ja bez niego nie odejdę...

Ja go bardzo kochałam.

— Ha!... to szukajcie, jeśli znajdziecie, to ja wam pomogę go przewieźć, wy taki pachozy na moje siostrzyczki. Pojdiom ra zem panienko.

I tak błąkając się na pobojuwisku, nagle ujrzała Pola twarz Cezara, schyliła się nad nim szepcąc modlitwę jakąś, i nagle krzyknęła, poznając tuż obok niego w leżącym młodzieńcu Jurka. W kałuży krwi ukłękła i drobne rączki swoje przyłożyła do piersi ukochanego. Serce biło jeszcze. Skinęła na kozaka, który z niemym szacunkiem jakimś spoglądał na tę jak mu się wydawało siostrzaną miłość i szeptał do siebie po cichu:

— Jeslib u nas były takie krasawicy, czort pabiery wojnu!

A czego chcecie panno? zapytał.

— To ten, odparła Pola.

— Ten ? pytająco zapytał kozak, a mołodec, prawo mołodec, z tym drugim, to w dwóch dralis haraszo.

— Tak, to on, pomóż mi bracie przenieść go do powozu, który stoi tuż za miastem.

— No panno ja go przeniosę, ale wy idźcie z daleka odemnie, a to inaczy i wam budiet budo i mienia toże.

To mówiąc poczciwy kozak, zarzucił sobie na plecy rannego i poniósł go w stronę wskazaną przez Połę. Kiedy stanęli przy po wozie i kozak delikatnie na siedzeniu złożył rannego, Pola wyjęła z kieszeni pięćdziesięciorublowy papierek i podała go swojemu do broczyńcy. Kozak jednakże odsunął podaną mu zapłatę i zawołał:

A! wy myślicie, że Moskal to już padlec: niet. Boh z wami, ja deueg ne możwu. A jeśli tak siestry moi szukali mnie, to wy by im pomogli a deneg nie wziali toże. Boh z wami panienko.

— To odeszlijcie to siestrom waszym i powiedźcie im, że to od nieszczęśliwej, weźcie, proszę, dodała błagalnie Pola.

— No! tak, to haraszo. Boh z wami panienko; da Boh brat budiet zdrow.

Konie szybko popędziły, a zdumiony kozak nad wspaniałą myślnością Poli z pięćdziesięciurublowym papierkiem w rękę, długo jeszcze spoglądał za toczącą się po białej drodze kolaską.

— To co uczyniła Pola, mogła tylko uczynić kochająca kobieta, a wiadomo, że kochające kobiety nawet umrzeć nie pozwalają.

Straciliśmy z oczów Sokratesa, owego zwolennika i wynalazcy transcendentalnego systemu filozoficznego, a zarazem i bohatera, któremu tak zgrabnie nie dozwolił Katon z Mozartem pod filarami teatralnymi w Warszawie spełnić zamachu na ks. Konstantym.

Wysłany na rekonesans, już nie powrócił do oddziału i w walce oddziału nie brał. Z pięciu towarzyszami swymi będzie on długo wspomnianym i przykładem prawdziwego bohaterstwa i poświęcenia się dla sprawy ojczystej, a zarazem świadectwem, że ludzie, którzy podjęli walkę za wolność Polski, byli ludźmi godnymi do tego wielkiego posłannictwa i przygotowanymi moralnie dobrze.

Skoro z małym oddziałkiem swoim przybliżył się Sokrates do jednej z wiosek, położonych niedaleko Miechowa, u wejścia do niej usłyszał głos czysto polski, pochodzący z ust wieśniaczych :

— Kto idzie ?

— Swoi! odpowiedział.

— Co za swoi? zapytano z budki strażniczej po raz drugi.

— Swoi! powstańcy.

Zastawa się podniosła i wszyscy sześciu wjechali w ulicę wioskową, za nimi natychmiast zastawę zamknęto. Bez obawy więc zsiadli wszyscy z koni i przybliżyli się do domu, z którego okna pytania im zadawane pochodziły. Lecz jakież ich było zdziwienie i oburzenie olbrzymie, gdy z domku wybiegło kilkunastu w białych siermięgach ubranych wieśniaków, uzbrojonych w kłonicę, widły i cepy, podpitych snąc trunkiem i krzyżących co im tylko sił starczyło:

— Ha! zdrajcy panowie! chcecie nam na nowo zabrać naszą, ojcowską, odebrać to co nam cysarz darował; damy wam tutaj. Sokrates z towarzyszami cofnął się szybko, oszołomiony lud jednak począł ich otaczać ze wszystkich stron.

— Oddajcie strzelby, wołali, oddajcie, pozabijamy was wszystkich! ...

— Panie, ozwał się jeden z towarzyszy Sokratesa, nie ma innej rady, trzeba do nich strzelać, i zabiwszy kilku, tym sposobem się przerznąć i ocalić siebie.

— Nie wolno! odparł Sokrates, stać i czekać... Ludzie, co czynicie, zawołał do ludu, wszakże my wasi bracia, my was bronić chcemy przeciwko ciemności, co was okłada podatkami, co nie chciał przez tyle czasu pozwolić na to, aby wam panowie darowali grunta, a wy teraz mu pomagacie i przeciwko nam, braciom swoim,

co was kochamy jak siebie, idziecie z kłonicami jakby na wilki lub niedźwiedzie jakie; nie boiciez się Pana Boga, nie macieź su mienia, zastanówciez się nad tem, co chcecie czynić, czyż wam na to religia i wasze serca pozwalają? Wyście pijani, inaczej na braci swoich nie podnosilibyście bratobójczej ręki.

— A no Antek, weźno się do niego, co on to nam baj durzyć będzie. Spiski ze dworem robi, a potem tu nam przewo dzieć będzie, dalej do niego. Naczelnik powiedział, co za każdego głowę dostaniemy pięć rubli; dalej do roboty, toć ich sześciu, trzydzieści rubli. Moškowi możnaby zapłacić, co psiawiara na tablicy nabielił.

— Panie, nie ma innej rady, trzeba strzelać, inaczej zginiemy.

— Lepiej zginać, odparł Sokrates, jak się splamić... Więc jeśli tak, zawołał znowu, to patrzcie, wy na nas idziecie z kło nicami i widłami, a my cobyśmy mogli was tu wystrzelać, rzucamy broń przed nogi wasze, aby pokazać, żeśmy w dobrej myśli do was tu przyjechali, to jest, bronić was, a nie napadać, i zakomenderował: Broń w kozioł!

Wszyscy rozkaz spełnili i od broni odeszli o parę kroków.

Czyn ten jednak na zgromadzonej ludności nie uczynił żadnego wrażenia, rzucili się oni na bezbronnych z zapamiętałością i wście kłością nie podobną do wytłumaczenia. A Sokrates wraz z towarzy szami stali z założonemi rękoma na piersi, wpatrzeni w te ręce z boleścią, które im śmierć zadawały. Byli podobni do owych

chrześcijańskich męczenników, co z modlitwą na ustach za swoich prześladowców umierali. Ze słowem na ustach, z duchem wznie sionym po nad nieszczęśliwy i prześladowany naród, oczekiwali śmierci, która była tutaj nasieniem na przeszłość i jak krew mę czenników rodziła i powiększała z dniem każdym liczbę wyznawców boskiego nauczyciela; tak krew ich stworzyć miała zastępy, które polskiej idei upaść nie dadzą po wszystkie wieki.

Pierwszy Sokrates upadł pod ciosami poduszczonego ludu, upadł zasłaniając sobie twarz rękoma, jak ongi Cezar w Rzymie ujrzawszy największego przyjaciela swego między sprzysiężonemi wrogami swemi. Inni wkrótce po nim wyzionęli ducha.

Gdy zbrodnia została już spełnioną, ci co bratobójczą dłoń podnieśli, sami przejęci zostali okropnością popełnionego czynu. Jedni więc z opuszczonemi rękoma stanęli nad ofiarami swojej ciemnoty, inni przerażeni znikli, kobiety zaś, które przybiegły ze wsi w skutek usłyszanych krzyków, pokłękały i poczęły się modlić, odmawiając pacierze za umarłych i konających. Tak skonali Cezar i Sokrates. Obaj z myślą o Polsce, obaj jak bohaterowie. Biuletyny z pola bitwy podały szczegóły ich śmierci. Po kraju uznawano obydwu za bohaterów, niemniej przeto dziwiono się wielce. Jedni mówili: Dziwni szaleńcy, doprawdy wziąłbym mości dobrodzieju bata i wyłoił chłopom skórę, toby zrozumieli, że jeśli bijemy się za wolność, to bijemy się i za nich.



Inni znów dodawali: Jak można, widząc niepodobieństwo zwycięstwa, porywać się i ginąć — trzeba być na to dziwakiem. Bardziej pozytywni znów uznając czyny za szaleństwa, upatrywali w nich dziwactwo, ale i szkodę wyrządzoną sprawie, poświęcając się bowiem bez obrony, wedle nich marnie ginęli nie przynosząc żadnego pożytku z tej śmierci.

Wracamy teraz na chwilę do Warszawy.

Od czasu wyjazdu Jurka, nie widzieliśmy ani Pani Werygowej, ani też Joachima. Kobieta, która jest matką i ma jedynaka, może zrozumieć tylko, jakim okropnym ciosem był wyjazd Jurka z Warszawy dla biednej wdowy pani Werygowej. — Joachim pocieszony wkrótce przez samego Roża w sprawie bankructwa, uśmiechał się już do przyszłości, i zapomniał o smutku i boleściach, jakie mu ta cała wymyślona historia przyniosła. Pozbywszy się jednak jednego zmartwienia, drugie, to jest wyjazd ulubieńca i ukocha

nego dziecięcia dręczyło go nieustannie. Nie miał on chwili wolnej od rozmyślań nad losem tego, któremu całe resztki życia swego poświęcił, nie miał także słów na pociechę dla biednej wdowy. Jurek przy wyjeździe swoim, jak to już powiedzieliśmy, zostawił list do niego i do matki. Obadwa były nader lakoniczne i żaden z nich nie wystawiał jasno powodu, dla czego opuszczał Warszawę. Była tam mowa o obowiązkach, o śmierci na polu walki szlachetnej, ale głównej i istotnej przyczyny nie wypowiadał wcale. Matka odczytawszy pismo jego, gorzko płakać zaczęła, a Joachim gorąco się rozwodził nad brakiem przywiązania i miłości synowskiej. Wszystkie jednak frazesy, którymi się w swojej tyradzie posługiwał, nie szły mu jakoś, a z twarzy jego wyczytać można było, że sam nierównie wielce przejęty był wyjazdem swojego pupila.

— Daj pokój panie Joachimie, szepnęła po cichu przerywając mu pani Werygowa, już jeżeli wyjechał, to musiał wyjechać ko niecznie; pewnie tego od niego wymagano. Jurek ma za nadto dobre serce, aby o matce swojej, o tobie mógł zapomnieć.

— Pani tak sądzisz, ale ja inaczej; tu w tym jego wyjeździe niezawodnie przyczyną jest kobieta...

— Kobieta!... to nie podobna.

— Ale tak jest, nie inaczej.

W tej chwili przerwał rozmowę wejściem swoim p. Karolek.

Niktby nie poznał dzisiaj tego zawsze uśmiechniętego, zawsze wesołego staruszka. Peruka jego przekrzywiona na bakier, oczy jakby u człowieka pozbawionego zmysłów, usta spalone gorączką, drżenie całego ciała, wszystko to dawało poznać, że stało się coś niezwyklego, że czemś strasznie dotknięty został.

— Panie Joachimie, zawołał chwytając gwałtownie za rękę Górę, gdzie moja córka, gdzie Pola moja? powiedz i oddaj mi ją! Joachim zdumiony spojrzął na ojca Poli.

— Cóż się stało? zapytał nareszcie po chwili.

— Jakto, pan mnie się pytasz? pojechała, zginęła, unie

szczęśliwiona na całe życie swoje —przez kogo? przez pańskiego Jurka. Czytaj pan, zawołał wyjmując ćwiartkę papieru z bocznej kieszeni palta.

Joachim rozwinął papier i czytał co następuje:

„Tatku! bądź spokojny o mnie, wyjechać muszę koniecznie; kocham Cię jak zawsze, a jednak opuszczam Cię. Muszę być

szczęśliwą; jeżeli ma nie zostać, już nie wrócę. Towarzyszy mi Lola... Jadę za nim. Twoja sercem i duszą Pola."

— Każe mi być spokojnym, załamując ręce zawołał zrozpaczony ojciec, ja mam być o nią spokojny, ja, I którego jedynym celem życia, jedynym pragnieniem była ona. Pauie Joachimie, po wiedz mi na Boga, co się stało z Jerzym, co się stało z moim ukochanym dziecięciem ?

— Panie! wiem toż samo o nim, co i ty o córce: zniknął zostawiwszy równie lakoniczną kartkę, a przyczyny dojść nie umiem i nie mogę.

— O ja znam przyczynę jego ucieczki, wiem, to winna temu ona, ta niegodziwa.

— Kto taki? zawołali oboje chórem, pani Werygowa i Joachim.

— Emilja!

— Nadymalska ? zapytał Joachim.

— Nieinaczej.

— Biedny, nieszczęśliwy, zginął, zawołał Joachim.

— Co mówisz?! zawołali znów pani Werygowa i Karolek.

— Prawdę, znam tę rodzinę, matka tej kobiety zawiodła i złamała życie moje, a ona złamała życie jemu.

— Czyż nie ma ratunku, zaniepokojona zawołała p. Werygowa.

— Będziemy go szukać, czy znajdziemy, nie wiem.

Pani Werygowa i Karolek przedstawiali straszny obraz rodzicielskiej rozpacz; z błagalnym spojrzeniem spoglądali oboje na Joachima, jakby w nadziei, że on tylko jeden przynieść może ratunek na ich cierpienia i wybawić kochające ich serca od srogich udręczeń.

— Panie Góra, szepnął po małej pauzie Karolek, muszę ci się wyświadczyć z mojej młodości, z mojego życia. Dziwne ouo i straszne zarazem, słuchaj a wypowiem ci dokładnie, dla czego nad życie ukochałem to dziecko, dla czego wy państwo i twój wychowaniec są mi tak drogiemi na świecie istotami. Byłem młody... bardzo młody... oprócz nadziei na przyszłość nie miałem nic, nawet owej odrobiny nauki, która konieczną w późniejszym życiu się staje. Rodzice odumarli mnie wcześniej, zaledwie że mogłem przy nich nauczyć się trochę czytać i pisać. Żądza wiedzy i pracy popchnęła mnie dalej. Było to w Warszawie na którejś z tych ulic, gdzie

bieda i nędza mieszka. Bóg widzi, żyłem uczciwie, a choć nędza jest złym poradnikiem, z drogi prostej nie zeszedłem ani na chwilę. Śród zimy ogrzewało mnie ciepło pragnienia nauki, latem chłodziły noce pod gołym niebem spędzone. Chciałem i zrobiłem to wszystko, co zrobić powinienem. A w pracy tej przyświecała mi gwiazdka jasna, a nią było dziewczę równie sierocą naznaczone dołą, jak ja... Była to moja żona późniejsza a matka Poli. Ile ucierpiałem w życiu wtedy, Bóg wiedzieć tylko może. Miałem nie wiele, ożeniłem się jednak, a mając uczciwość za pierwszą zasadę życia, lubo mogłem niej zapomnieć, bo mi już na ówczas proponowano czyny, ko rzysć mogące przynieść, a jednak nie zgadzające się z moimi przekonaniem, odrzuciłem je stanowczo. Ale przyszedł dzień nieszczęścia. Ożeniłem się, nędza dotykała już nie mnie tylko, do tykała tego dziecięcia, dotykała mojej ubóstwianej żony. Kobieta słabą jest zawsze, niestety; ona była kobietą na wskroś i uległa, zapomniała że jest matką i opuściła nas oboje. O mnie... to naj mniejsza... choć myślałem wtedy o śmierci, gdym jej w domu nie zastał, ale dziecię nasze miało być córką kobiety takiej, to było dla mnie zabijającym... Gdyby nie Pola, byłbym nie żył, to nieza wodnie. Uczciwość nie pozwalała mi się zabić. ?yc musiałem i ciągnąć dalej przykrą taczkę życia. Pewnego dnia jednak przyszła chwila zemsty.

Karolek, gdy to mówił, drżał cały, skóra jego na twarzy przy brała prawie fioletową barwę, a piersią szybko oddechać począł. — Daj mi pan wody, to straszne wspomnienia: opowiadam je pierwszy raz w życiu. Co czułem ? któż zrozumieć może ?... piekło paliło mnie pragnieniem zemsty, tylko święty takim pragnie niem może się oprzeć ; z dniem każdym, z każdą chwilą coraz więcej czułem brak jej, i coraz większą miłość w sercu. Uwrodziciel mej żony i główny sprawca mych nieszczęść, stanął nad przepaścią; badałem ze skrzętnością mrówki wszystkie dotyczące jego historię, zwalczyłem i zgubiłem go, został bez grosza, w nędzy, godny li tości; ja jej mieć nie mogłem, bo on jej dla mnie nie miał. Więc zginął, należał bowiem do tych ludzi, co przeniosą wszystko raczej jak nędzę: pewnego poranku w łeb sobie palnął, ja dopiąłem swego za cenę męczarni całej przyszłości. Jaką kobietą była żona moja, o tem mówić nie będę. Dla mnie, choć była grzeszną, była najdroższą; kochałem ją zapamiętałe, miałem to dziecko,

o którym ona zapomniała. Przyszedłem do niej, powiedziałem jej, że już nie dla mnie, ale dla dziecka litość mieć powinna. Była

zbyt dumną. Odpowiedziała mi, że raz opuściwszy progi moje, nie wróci już do nich; usunęła dziecię i poszła w świat. Gdzie się podziała, tego dociec nie mogłem na on czas. We dwa lata później odebrałem list od proboszcza z O., że jest umierającą i wzywa mnie, abym tam przybył. Naturalnie nie ociągałem się z podróżą ani na chwilę. Zabrałem dziecię, które już wówczas poczynąło szczebiotać i pojechałem. Na łóżku w szpitalu zastałem ją konającą— i tyle tylko posiadała siły, aby przeżegnać dziecię i powiedzieć mi: „przebacź!” . Zabrakło mi siły do życia, i wtedy znów Pola moja tylko nie dozwoliła mi umrzeć. W parę tygodni po śmierci żony z odrętwienia wyszedłem, wtedy opanowała mnie dziwna gorączka złota i majątku; chciałem mieć miliony, bo z doświadczenia wiedziałem, czym jest nędza. Zanimowano mnie wówczas rejentem okręgowym w O. Dla wykształcenia i dla tego, aby dziecię moje nie mogło dowiedzieć się o przyszłości swej matki, wysłałem je do Warszawy, sam wynalazłem żydka, którego duch spekulacyjny i talent wydał mi się nader właściwym do moich, zamiarów. Z pieniędzy, które zebrałem, począłem przez niego puszczać się na rozmaite spekulacje. W lat niespełna trzynaście doszedłem do miliona, dziś nie daleko drugi. A wiecie, dla kogo zbierałem, dla kogo przechodziłem niepokoje długich dni i nocy?... Dla niej, dla mego ukochanego dziecięcia. Chciałem uczynić Polę szczęśliwą. Ludzie mówią, że szczęście sam sobie człowiek tworzy. !.. nie prawda. Gdyby tak było, ja bym to szczęście dla siebie i dla mego dziecięcia stworzył niezawodnie. Długo byłem szczęśliwy. A wiecież, kto mi to szczęście zabrał? Oto syn wasz, wasz wychowaniec...

— Jako? zawołali razem Joachim i Werygowa.

— Był dzień świąteczny, dzieci na moja wyszła do kościoła, ciągnął dalej pan Karolek, i tam spotkała waszego Jurka. Kto od gadnie tajemnicę serca?... pokochała go...

— Czy być może! zawołał zdumiony pan Joachim, a pani Werygowa przez łzy się uśmiechnęła.

— Niestety, tak się stało. Nie uważałbym tego za nieszczęście żadne, oddawna bowiem postanowiłem oddać dziecię moje temu kogo ona wybierze, ale nie przypuszczałem, że będzie człowiek,

który wzajemnością za jej miłość szaloną nie odpłaci, który nią pogardzi. A tym człowiekiem właśnie jest wasz Jerzy.

— Zkądże pan wiesz, że nie jest jej wzajemnym?

— Tydzień temu powiedziała mu sama, że go kocha, że go ubóstwia, że gotowa poświęcić; mu wszystko...

— A ou? zapytał się Góra.

— On odpowiedział, że nie ma serca na sprzedanie.

Na twarzy Joachima widoczne objawiło się zadowolenie. Nauki jego w las nie poszły, uczeń był na wskroś odbiciem swego nauczyciela.

— A powiedźcie mi, dla czego nią pogardził? — Bo kochał inną. Czy ta inna warta była więcej od Poli? Nie. Ta inna była najgorszą istotą na świecie, kłamała mu uczucie, kłamała sercem,

uśmiechem, słowy i czynem. Potrzebnem jej to było z dwóch względów, raz dla tego, że czuła iż Jerzy ma pieniądze, które opracye bankiera Roża powiększyły już znacznie, a potem spodziewając się, jeśliby te wiadomości okazały się mylnemi, zmusić do prędszego oświadczenia się i stanowczego kroku innego konkurenta, co bywał w domu jej matki. Zmyślona wiadomość o bankructwie Roża, którą skwapliwe usta jej doniosły, sprawiła odprawę Jerzego i wyjazd jego z Warszawy, żadnego bowiem polecenia od Rządu narodowego nie miał. To biedne dziecię moje pobiegło za nim i gdzie? nie wiem, ale przeżuwam z tego wszystkiego nie szczęście.

— O! nikczemna, zawołał oburzony Joachim. Wychowała córkę na taką samą lalkę, jaką przez całe życie była.

— O kim pani mówisz? spytał Karolek.

— O matce tej, którą pokochał Jurek.

— Panie, czy nie ma na to lekarstwa, czy go nie można od tej niegodziwej odciągnąć kobiety; musisz go ratować, bo nieza wodnie przepadnie. To kobieta, która pociągnie go w błoto, albo rzuci na śmiecie jak tyle błyskotek, któremi codziennie stroi czoło swoje i codziennie za okno rzuca. Joachimie, na Boga ratuj, znasz moją Połę; wszakże ona więcej warta od niej, ona godna przecież Jerzego.

Po dosyć długiej takiej gawędce, Karolek, któremu opowieść całego życia śnać ulżyła na sercu, poszedł do domu, pani Wery

gowa zaś wzruszona całym tym opowiadaniem, słaba nieco położyła się do łóżka, polecając uprzednio świętej Honoracie, patronce swojej opiekę szczególną nad jedynakiem, gorącą modlitwą. Joachim zaś całą noc przemyślał nad sposobem ratowania z przepaści Jurka, nic jednakże wymyślić nie był w stanie.

Cały tydzień z górą przeszedł, a wiadomości ani od Poli, ani od Jurka nie było żadnej. Trwoga wszystkich rosła z dniem każdym. Na początku drugiego tygodnia wreszcie przyszedł list od Katona, opisujący dokładnie wszystko o Jurku i Poli. Z listu tego widocznie do badać się można było, iż Katon mniej pisał, aniżeli mógłby po wiedzieć. Zaniepokojony Joachim, listu tego nie pokazywał nawet pani Werygowej, odpowiedział tylko Katonowi, i z niecierpliwością oczekiwał świeższych wieści. Pani Werygowa od owego wieczora, w którym Karolek odkrył jej całą tajemnicę serca ukochanego syna, nie podnosiła się z łóżka, z każdym dniem czując się coraz gorzej. Joachim znów więc miał świeży powód do niepokojów. Pewnego dnia jak bomba wpadł do pokoju Karolek z rozpromienioną twarzą

— Przyjeżdżają! zawołał.

— Kto? jak) kiedy?

— Jerzy i moja Pola!

— Nie rozumiem.

— Mozart ożenił się z Lolą, Cezar zginął, Sokratesa za I mordowali, Jurek raniony, ale zdrów będzie, i moja Pola szczęśliwa

bo przyjedzie,  
— Jurek raniony?  
— Raniony!  
— Na miłość Boga, nie mówże tak głośno; tam jest jego matka, to ją może zabić... Powiedzże mi pan jednakże, jakim sposobem się tutaj dostanie, ranny, spostrzegą i wyszlą na Sybir.  
— Panie, ja mam pieniądze !  
— Pieniądze nic nie pomogą.  
— Oho! mylisz się panie sieju kochaneńki. Nie ma tej for teci na świecie, jak słusznie powiedział jeden z greckich mędrców panie sieju, coby jej osioł obładowany złotem nie zdobył. Gdybym miał całego osła ze złota im zrobić, to swego dokonać muszę. Moja Pola będzie szczęśliwą, ani wiesz panie Joachimie kochany, jakie mi to szczęście i zadowolenie sprawia.

— Kiedyż przyjeżdżają?  
— Jutro panie sieju, jutro niezawodnie; rannym pociągiem.  
— Więc trzeba matkę koniecznie uprzedzić.  
— A naturalnie, zawołał chcąc wychodzić już Karolek, gdy nagle się zwrócił do Joachima i zawoła!:  
— Ale! ale!... pan nic nie wiesz panie sieju nowego? he!  
— No cóż takiego?  
— Ta! ta Milcia idzie za męż!  
— To nie podobna...  
— Najniezawodniej.  
— Zkąd pan wiesz o tem?  
— Przypadkiem dzisiaj w jednym ze sklepów tutejszych spotkałem matkę, córkę i Kańskiego. Kupowały rozmaite rzeczy; ta mała ciągle uśmiechała się do Kańskiego, który za wszystko płacił, w końcu usłyszałem, jak ona dosyć głośno zapytywała swego towarzysza:  
— Czy byłeś u księdza?  
— Byłem, odpowiedział.  
— Dałeś na zapowiedzi?  
— Dałem.  
— A więc nic już nie będzie przeszkadzać naszemu połączeniu, szepnęła znów mała.  
— A nic najdroższa ; za trzy tygodnie nasz ślub. I z temi słowy wyszli, zakończył Karolek.  
Za trzy tygodnie mówisz, spytał zadumany Joachim, za trzy tygodnie? biedny Jurek...  
— On o tem nie powinien wiedzieć, zawołał raptownie Karolek, aż po spełnionym fakcie, to go ocali; mała do obecnej chwili nie wie, że bankructwo Roza było fałszywą wieścią tylko; jeśli się dowie, będzie chciała stosunki z Jerzym odnowić i zgubi go. Otoż, nie powiedz mu, nalegał gwałtownie Karolek.  
— Zobaczymy, odparł p. Joachim.

XIII.

Stara znajomość.

Jurek przyjechał... Ta wiadomość była wystarczającą, aby się pani Werygowa z łóżka podniosła. Pan Joachim rozjaśnił czoło —

a Karolek z sercem przepelnionym radością bezustannie biegał od swojego mieszkania do mieszkania pani Werygowej. Jerzego przywiozła Pola, a z nią także przyjechali Mozart z Lolą, jako już małżonkowie, i Katon. Pani Werygowa przyjęła syna jak to przewi dzieć można było z płaczem i lamentami. Jurek był ranny, ranny ciężko, kula przeszła mu piersi i zatrzymała się w okolicy kręgosłupa, z kądem wyjęcie jej było niepodobieństwem, lekarze liczyli tylko na szczęśliwe położenie kuli, która ciężkością swą spuszczać się na dół, mogła wprawdzie śmierć sprowadzić, ale także mogła i oprzeć się gdzieś szczęśliwie. a tem samym nie zdziałać szkody organizmowi całemu wielkiej. Inne jednak niebezpieczeństwo stokroć większe nasuwało się tutaj. Jurek od czasu swojego przybycia do Warszawy zapadał bezustannie na piersi, gorączka więc, która się wywiązała skutkiem rany, wpłynąć nie mogła dobrze na zdrowie już i tak nadwątlone chorego. Zmęczony przytem podróżą odległą i wrażeniami przebytych chwil ciężkich, zostawał między życiem a śmiercią. A na granicy tej szale więcej się przeważały ku śmierci. Jurek nie poznawał nikogo na okół siebie, ani płaczącej i rozpaczającej matki, ani Poli, która łóżka jego na chwilę nieopuszczała, ani Joachima, ani Loli z Mozartem, którzy chociaż sami szczęśliwi, nie mniej jednak szczerze zajmowali się zdrowiem Jurka, jak i reszta kochających go osób. W swoich sennych gorączkowych marzeniach, wymawiał jedno tylko imię, a nim było imię Milci. Zdawało mu się, że go kocha, że go ona a nie kto inny w chorobie pielęgnuje, i często gdy biedna Pola zalana łzami siedziała przy nim, w go rączce chwycił jej białą rękę i namiętnie całował w przekonaniu, że całuje ręką ukochanej Mihi. Katon równie jak Pola nie odstępował ani na chwilę łóżka przyjaciela, a gdy ona przypadkiem znużona czuwaniem, zasnęła, wpatrywał się w jej oblicze iście jakby był zakochanym. Czyżby się zakochał? Trudna na to odpowiedź. Może... Któż to odgadnąć zdoła. Kiedy jednakże byli sami i oboje czuwali, najbaczniejsze nawet oko dostrzec nie byłoby w stanie jakiegokolwiek bądź nawet zajęcia się ze strony Katona. Strapiony i niespokojony o los wychowania Góra co chwila otwierał drzwi pokoiku, w którym spoczywał Jurek, i co chwila dopytywał się u czuwających, czy przytomność nie wróciła. Pani Werygowa w odrętwieniu i boleści, której wielkość uczyniła ją prawie bezsilną, na domiar nieszczęścia zachorowała niebezpiecznie na zapalenie

mózgu. Karolek sprowadzał wszystkich najslawniejszych doktorów z całej Warszawy i całymi siłami dopomagał córce do szczęścia, które spodziewał się zdobyć. Niestety szczęście to motyl. Jak owo dziecię biegiesz za nim z siatką, aby schwycić, a on ucieka; ty się zmęczysz i ustaniesz w tej gonitwie, a on wolny uleci, choć tak blisko skrzydełkami trzepotał ci nad uchem. Chwilka upragniona nareszcie dla wszystkich nadeszła. Jurek oprzytomniał. Pewnego poranku otworzył zdziwione oczy, a ujrawszy przy łóżku swoim Połę, zdawał się niepojmować, z kądby się tutaj wzięła.

— Gdzież ja jestem, zapytał, co się ze mną stało i co się dzieje? Pani tu! przy moim łóżku? dodał zwracając się do Poli, której dziś zmęczonej, a pięknymi, pełnymi zdrowia rumieńcami ozdobię twarzyczki niegdyś, szanowny czytelnik niezawodnieby nie poznał.

— U siebie, cicho odparła Pola. Oh! jakże będzie rad pan Joachim, mama pańska, i z temi słowy wyszła z pokoju.

— Więc jestem w Warszawie?

— Tak.

— Ah! Katon przy mnie; opowiedz że mi, jak to się stało, wszakże przypominam sobie, że upadł na polu bitwy pod Miechowem, a dzisiaj tutaj jestem...

— Ze tutaj jesteś bracie mój, że żyjesz jeszcze, wszystko to zawdzięczasz jednej istocie, a nią rola...

— Poczciwa...

Która cię kocha nad życie i dowiodła swoim postępowaniem, że twojej miłości godna. Powinieneś jej też tem samem zapłacić uczuciem...

Biedna...

— Jakto?

— Bo ją dzisiaj czczę, szanuję, ale kochać nie będę.

— Dla czego?

— Bo kocham tamtą...

— Ależ tamta twój uczucia nie warta.

— Wiem o tem, ale ją kocham, zakończył rozmowę smutno Jurek.

W tej chwili wszedł do pokoju rozpromieniony Joachim i przy sunął się do łóżka Jurka, który uchwycił rękę jego i do ust serdecznie a gorąco przycisnął.

— Jak się miewasz Jerzy? zapytał.

— Dobrze, skoro ciebie mój ojciec widzę. Gdzież matka?



— Matka troszkę cierpiąca, od kilku dni nie wstaje z łóżka, ale to przemienie.

— Matka nie jest przy moim łóżku — o! to cierpienie jej niezawodnie małym nie jest; na Boga — nieukrywajcie nic przed mną, powiedźcie prawdę.

— Już ci ją powiedziałem, odparł poważnie Joachim i usiadł przy łóżku; po małej chwili jednak wpatrując się w znędzoną twarz Jurka, zapytał go łagodnie:

— Dla czego ztąd wyjechałeś?

Na blade policzki Jurka wystąpił rumieniec, milczał jednak i na zapytanie Joachima żadnej odpowiedzi nie dał. Góra nieprze stawał się weń wpatrywać i pytanie swoje powtórzył. —

— Wiem, dodał, żeś przedemną nigdy nie kłamał, spodziewani się że i obecnie tego uczynić nie pozwoli ci twoje przywiązanie ku mnie. Wychowywałem cię od lat najmłodszych — prowa dziłem każdy krok twój — na każdy czyn patrzyłem — sądzę, że do otwartości twojej mam prawo, które miłość i przywiązanie, jakie mam dla ciebie, nadaje. — Byłem dla ciebie zawsze nie surowym, karzącym nauczycielem, ale przyjacielem i pragnę nim zostać na całe życie; czyż utrzymywaniem w tajemnicy tego, co najwięcej dolega twojemu sercu, nie dasz mi do poznania, że przywiązanie twoje utraciłem, i że tem samym wypierasz się tej miłości i moją przy jaźnią gardzisz?

— Ojczy! ... szepnął Jurek tonem wymówki.

— Żądam od ciebie prawdy — i dlatego cię o nią zapytuję.

— Ojczy! ta prawda mnie wiele kosztuje.

— Wiem o tem i chcę ją wiedzieć.

— Tyś ją ojczy już dawno odgadł.

— Może, ale się mylić mogę i dla tego zwracam się do ciebie z zapytaniem.

— To tak trudno opowiadać.

— A więc ci dopomogę. Przyczyną twojego wyjazdu była kobieta?

— Tak!

— Z rozpaczy, że nie odpowiedziała ci sercem za serce — chciałeś umrzeć?

— Tak!

— Tą kobietą jest Emilia Sielska.

— I to wiesz ojczy?

— Matkę jej znałem jeszcze w młodości własnej.

— Prawda, przypominam sobie, kiedy raz w przytomności jej wymówiłem twoje ojczy nazwisko, poczęła się śmiać serdecznie, a zapytana o powód śmiechu odpowiedziała, że jesteś starą, dawną jej znajomością.

Teraz z kolei pan Joachim niecierpliwie poruszył się na krześle i zapytał Jerzego:

— Śmiała się mówisz?

— O! serdecznie.

— Zawsze jednaka, szepnął Góra do siebie. Więc ty kochasz jej córkę ?

— Jurek tym razem zamilczał, a milczenie to jego było na ten raz potwierdzeniem.

— Posłuchaj! opowiem ci powód śmiechu matki twojej ubóstwianej, gdy pierwszy raz wymówiłeś moje nazwisko. — Znaliśmy się prawda w dzieciństwie różni swoim towarzyskim położeniem, ale na równi stojący w obec tego uczucia, co się nazywa miłością; kochałem ją tak, jak ty kochasz dzisiaj jej córkę, a zapłaciła mi za miłość moją w ten sam sposób, jak i tobie zapłacono, a dziś śmieje się z tego, że kiedyś odważyłem się ją kochać. Toż samo będzie z tobą, po latach wielu spotka cię ten sam śmiech szyderczy od córki, który u matki słyszałeś; wydrą ci z serca ostatnie skarby, zbrudzą je i rzucają na śmiecie: odbiorą miłość, wiarę, nadzieję, a w końcu jeszcze rzucają kamieniem pogardy. Znasz życie dziecię moje, więcej w niem cierni niż kwiatów, więcej boleści niż rozkoszy, jeśli więc możesz synu mój, uniknij tego nowego nieszczęścia, przestań myśleć o niej.

— Nie mogę ojcze ! odparł Jurko, a Joachim z dziwnym jakimś przerażeniem spojrział na niego.

— Niemożesz? chcesz więc koniecznie abym cię ratował, abym na nieszczęście twoje skojarzył to małżeństwo. Bym cię sam własnowolnie wepchnął w przepaść, z której się nigdy nie wydobędziesz. Chcesz najpiękniejsze kwiaty życia oddać kobiecie, która je podepcze?

— Ja ją kocham ojcze! i jeśli moją nie będzie, umrę.

Joachim zerwał się z siedzenia. Słuchaj więc, będę się starał zadosyć uczynić twoim żądaniom, jeśli jednak kiedyś starą matkę wypędzisz, mnie w dom nie przyjmiesz, będzie to dziełem tej kobiety; ja się zaprę ciebie — i twojej przyjaźni.

— Ojcze! czy możesz nawet coś podobnego przypuścić? Ja ją kocham nad życie, ale uczciwym, twoim uczniem jestem i całe życie nim pozostanę.

Joachim wyszedł; Katon, który tej całej rozmowy słuchał uważnie, zwracając się do Jurka, zawołał:

— Zle czynisz przyjacielu.

— O! ty nie wiesz, jak ją kocham szalenie.

— Zginiesz bracie.

— Ale was kochać nie przestanę.

— Bóg to wiedzieć raczy.

— O niezawodnie!

— Kobieta może wszystko zrobić z siebie, będziesz patrzył się na świat przez jej oczy, mówił jej ustami, aż w końcu niestety ja sam twój przyjaciel będę musiał gardzić tobą.

— O! tak nie będzie drogi mój, ja bym sam sobą gardził...

Ale słuchaj Katonie, jak ci się zdaje, czy Joachimowi uda się wy

jednać dla mnie rękę Milci.

— Niewiem, odparł cierpko Katon.

— Ty się na mnie gniewasz? spytał z wymówką Jurko.

— Bynajmniej, widzę tylko że szukasz szczęścia gdy go masz pod bokiem.

— Mówisz o Poli?

— Tak!

Prawda, gdybym ją był wcześniej obaczył ? być może... dziś...

— Cóż dziś?

— Dziś już kocham inną.

— Kochasz ciało tylko, bo ducha i serca w niej nie ma.

— O! nie, ona tylko obalamucona radami matki, ale wierz

mi, ja to wszystko przeinaczę i wy, co dziś mówicie przeciw niej, będziecie uwielbiać ją potem.

— Daj Boże!

Rozmowę przerwało wejście Karolka, który o zdrowie Jerzego troskliwie bardzo dopytywać się począł. A otrzymawszy zadawalniającą odpowiedź, biuletyn poniósł ukochanej córce. Jerzy zmę

czony długą rozmową, pomimowoli oczy zamknął i zasnął. Podczas snu jego weszła do pokoju Pola. Katona już tam nie było; stanęła przy łóżku i rozplamionym okiem począła się wpatrywać w chorego. Jurek był piękny w całym tego słowa znaczeniu. Bładość twarzy i wypieczone rumieńce dodawały mu wdzięku i tem samym czyniły go jeszcze powabniejszym a więc niebezpieczniejszym dla Poli. Przysunęła się więc bliżej głowy chorego i cichy ale namiętny pocałunek złożyła na jego czole. Poetyczna nader była to scena. Co się zaś działo w serduszkach Poli? któż to sobie wyobrazić może ? Jerzego pocałunek ten, nieprzebudził. Być może gdyby czoła jego dotknęły się były usta Milci, ocknąłby się niezawodnie. Obecnie jakby uczuł na skroni muchę — kilkakrotnie tylko poruszył głową. Pola miała w ręku małe bukietki fiołków, włożyła go więc do szklanki z wodą stojącej na stoliku obok łóżka, sama zaś usiadła na krześle tem samym, na którym przed chwilą siedział Joachim. Jurek spał dobrą godzinę. Pola przez ten czas ani na chwilę nie spuściła z oczów twarzy jego. Nareszcie się przebudził i zdumione oczy swoje zwrócił na Polę.

— Pani znów tutaj? zapytał.

— Znów! czy panu to tak przykrem?

— Nie ... ale ...

— Ale pan nie chcesz, abym ja tutaj była? wszak prawda?

Nie obawiaj się pan, kocham cię to prawda, miłości tej zrzec się nie mogę, ale kocham cię nie egoistycznie ; dosyć mi będzie oglądać cię od czasu do czasu, posłuchać twojego głosu, i dla twego szczęścia zrzec się moich nadziei...

— Jaktó pani? ja ciebie nie rozumiem...

— Słuchaj, kochasz tamtą, to naturalne; ona wiele jest warta, mówię to w tem znaczeniu, że trzeba mieć wiele pieniędzy, aby

ją kupić.

— Pani!... zawołał Jurek.

— Poczekaj pan, nic unosz się, ja tego nie mówię przez złośliwość...

— A więc?

— Bóg mi dał wiele pieniędzy, tatko mówi, że to wynosi około dwóch milionów; za taką cenę ja sądzę, że ją kupisz, ja ci te moje pieniądze oddam, i niezawodnie będziesz szczęśliwym; pomo

wie o tem z ojcem, on się na io zgodzi, ho niezwykły mi odma wiać niczego.

— Jakto? pani sądziłaś choćby przez chwilę, że ja dar ten przyjmę; nie pani, do tego stopnia nie upadłem jeszcze i nio upadnę.

— Więc nie będziesz szczęśliwym.

— Nawet za cenę mojego szczęścia nigdy bym podobnej ofiary nie przyjął. Ale panno Paulino, jakkolwiek obraziłaś mnie pani swoją propozycją, jednak ja rozumiem, co to jest miłość i dla tego przebaczam pani ten policzek, na który nie zasłużyłem. Twierdzisz pani, że mnie kochasz, wzajemnością za to uczucie wypłacić ci się nie jestem w stanie, dla czego? wieszanie powiem ci pani, co masz uczynić, ale powiem, co bym ja uczynił, gdybym się w twojem znalazł położeniu.

Mów, mów, błagam cię o to! zawołała Pola gwałtownie.

— Ukochałbym całą ludzkość, ukochałbym nieszczęśliwych, zajrzał do najciemniejszych kątków biedy i nędzy, wsparłbym datkiem, otarł łzę nieszczęścia z oczów, pocieszał...

— I to by ci wystarczyło?

— Niezawodnie.

— Ha! więc usłucham twojej rady, szepnęła wstając ze stołka Pola, jeśli jednak poznasz kiedyś, że brak ci czegoś na świecie, jeśli poznasz, że źle uczyniłeś odpychając mnie od siebie, mówiła wśród łez ciągle Pola, jeśli znajdziesz się w moim położeniu, przyrzeknij mi jedno, że wtedy nie będziesz rozpacział, zniesiesz ten cios, jak ja go znoszę i wtedy przyjdiesz do mnie razem pracować dla tej ludzkości, razem odwiedzać kątki biedy i nędzy i razem pocieszać nieszczęśliwych... Cóż przyrzekasz?

— Przyrzekam...

Po tych słowach Pola podała drobną swą rączkę Jerzemu, który ją do ust przycisnął i rzekł:

— Więc rozchodzimy się z sobą bez żalu, bez urazy. Przy jaciółmi? Wszak prawda?

— Bądź zdrow, szepnęła Pola i szybko wybiegła z pokoju, aby nie dać poznać ukochanemu wielkiego wzruszenia, jakie nią owładnęło.

Tymczasem pan Joachim po rozmowie z Jurkiem strasznie z sobą toczył walkę — miał iść do kobiety, którą kochał niegdyś a która nim pogardziła, dziś zaś z miłości jego się śmieje i oto

miał iść do niej z prośbą o rękę córki dla swego wychowawca, wbrew przekonaniom swoim, i niewierząc sam w to, i słusznie, żeby córka takiej kobiety, jaką była kiedyś Filcia, mogła komukolwiek dać szczęście. Burzył się więc, niecierpliwił, chodził niespokojnie po komnacie, bo wspomnienia dawne odżyły w jego pamięci, przypomniał sobie najdrobniejsze szczegóły z dawnych stosunków swoich z Filcią, ów fortepian, owe dwa krzeselka, na których siedzieli obok siebie, i gdzie on, Góra, prostej chłopki dziecko, ośmielił się podnieść oczy na dziecię pańskich na wskroś salonów, i z krwi pańskiej zrodzone. Śmiałość, której mu poczciwi ludziska darować nie mogli. Natura ludzka ma to do siebie, że znieść nie może tego wszystkiego, co ponad zwykły tuzinkowy jej poziom głowę podniesie. Ludzie zaś, jak owe żaki w bajce, byle tylko ujrzeni sterczącą ponad wodą główkę poczciwej a śmiałej zaby, niezawodnie kamieniem po tępienia cisnąć nieomieszkają. Zwichną tem samym talent, zabiją polot ducha, energję i wolę, a z człowieka, który mógłby może wysoko stanąć i być użytecznym im samym, uczynią manekina nie zdolnego już do czynu i zabitego moralnie. Kto wie, czy Joachim srodze tak kiedyś zawiedziony w swoich nadziejach, nie byłby stanął wysoko na czele nowych dążeń i świętych przekonań, kto wie, czy niepoprowadziłby tłumy drogą, z której zbawienie wypaść mogło? Zwichnięty, stanął nad przepaścią i stał się do niczego nie zdolnym. Wychowywał dzieci tak jak wychowywał Jurka, stworzył z nich kilkudziesięciu dziwnych ludzi, którzy na pierwszy strzał z narodowych szeregów, na pierwszy odgłos trąbki z lasów ojczystych nierozbierając wcale, czy to co czynią, będzie z pożytkiem dla narodu, jednym tchem pobiegli na pole walki. Robił co mu kazało serce, więc wedle pojęć dzisiejszych źle robił. Myśmy winni być ludźmi ra chunku, wrołają na wszystkie strony. Joachim do takiego przekonania nagiąć się nie umiał. W ostatnich czasach zaniedbał swoje obowiązki, dla Jurka; kochał go, bo coś koniecznie kochać musiał, a kochał po swojemu jak dziwny. Dziś więc, gdy Jurek powiedział mu, że kocha szalenie Milcię, gdy mu oświadczył, iż jeśli jej posiadać nie będzie, umrze, pomimo przekonania swego, iż Milcia szczęścia Jurkowi nie da, po długich rozmyśleniach postanowił udać się do swojej starej znajomej pani Sielskiej, niegdyś Filomeny Nadymalskiej. Stare wspomnienia nadzwyczaj dobrze konserwują się w sercu i pamięci, a cóż dopiero mówić o wspomnieniach pierw

szej miłości. To też i Joachim blady, podobny raczej do zmartwych powstałego nieboszczyka, jak do człowieka żyjącego, z wielkiem biciem serca udał się w stronę mieszkania pani Sielskiej, która od niejakiego czasu przeniosła się gdzieindziej i spore dosyć zajmowała apartamenta. Drżąc prawie wszedł Joachim do jej mieszkania, delikatnie do drzwi zapukał a gdy zaproszenie wejścia usłyszał, sam niewiedział co czynić ze sobą, taki jakiś dziwny strach go opanował. Chciał się już nawet ode drzwi cofnąć, gdy służąca otworzyła takowe i na zapytanie, czy pani znajduje się w domu, twierdząco odpowiedziała.

Joachim z prawą ręką umieszczoną w zanadru pod samą górę zapiętego pałta, wszedł do pokoju świetnie umeblowanego, w którym pani Sielska zajmowała się lekturą, i spojrzął na przedmiot niegdyś tak wielce przez siebie uwielbiany. Niestety nie zostało się już śladów onej piękności, kiedyś tak uwielbionej przez całą Warszawę prawie. Przed nim siedziała kobieta, której cień nawet nieprzypominał dawnej znajomości Joachima.

— Z kimże przyjemność mam mówić? zapytała pani domu?

Joachim drgnął, głos przypomniał mu starą znajomość.

— Pani mnie nie poznaje? zapytał drżącym od wzruszenia głosem.

— Doprawdy, że nie mam przyjemności.

— Nic dziwnego, stare to czasy; pani o ile przypomnieć sobie mogę, nigdy szczególniejszą pamięcią się nie odznaczała.

— Lecz?

— Jestem Joachim Góra, niegdyś nauczyciel pani.

— Pan Góra! a doprawdy żeby nigdy pana poznać niemo gła; prawda obojeśmy się zmienili.

— Powierzchnownie być może, w sercu zawsze jednacy.

— No, siadaj pan, naśmiejemy się teraz z dawnych wspomnień... nieprawdaż?

— Nie pani, ja się nigdy ze świętych nie śmieję rzeczy.

— O! widzę, że pan na zawsze zostałeś dziwakiem, i nigdy się nie odmienisz.

— To właściwość charakterów.

— Nie... śmieszność.

— Znaczy się, że niezgodzimy się z sobą nigdy.

O pani, któż mówi dzisiaj o charakterach charakterem

jest ten, kto się do okoliczności nagiąć umie; teraz tego wymagają i świat i ludzie.

— Ludzie nie zawsze dobrych wymagają rzeczy.

— Bo zapatrują się ze stanowiska własnego interesu, co jest najrozumniejsze.

— Czy najlepsze? nie sądzę.

— To kwestye przekonań.

— Nie kwestye sumienia i uczciwości ?  
— O! ale pan zawsze jednaki; no, ot siadaj pan, nie marszcz brwi, a pogawędzimy sobie i jak dobrzy przyjaciele rozejdziemy się.  
— Ja przyszedłem do pani z interesem!  
— Więc nie dla tego, aby odnowić dawne wspomnienia?  
— Zbyt bolesne, niechaj spoczywają suem błogosławionych.  
— Choćbym je nawet wskrzesić chciała?  
— Uczucia umierają raz tylko.  
— O! niegrzeczny pan jesteś; kobiecie tak się nie odpowiada.  
— Być może, trudno jednak.  
— Ha! trudno, jeśli pan tak mówisz, więc powiedz mi pan przynajmniej, jaki to interes masz do mnie.  
— Interes człowieka, którego kocham nad życie.  
— Ależ kogo, mów pan prędzej.  
— Jerzego, znasz go.

Fana Jerzego?

— Tak pani.

A wiedz pan, że mnie ten interes zaczyna ciekawić bardzo.

— Pani go znasz i domyślasz w tej chwili lepiej odemnie.

— No panie, porzuć pan raz mistyfikację i przystąp do rzeczy.

— A więc posłuchaj pani, zanim jednak przystąpię do mojej prośby, powiem ci tylko tyle, że zatrałaś mi życie całe, że od owej chwili jestem automatem jakimś a nie człowiekiem, że zatra ciłem skarby życia mego, a z wspomnień nic nie zostało, więc w obec sumienia i Boga mam prawo wymagać od ciebie pani kompensaty za moje życie i błagam cię, uczyni mi ją. Znasz Jerzego Werygę ; zacy to i dzielny człowiek ; masz córkę, którą on nad życie kocha, dla której chciał się dać zabić; raniony i chory leży bliski śmierci błagani cię oddaj rękę twej córki jemu, inaczej ginie, zmarnieje, a ja do wyrzutów za moje życie dołączę jeszcze

wyrzuty za niego. Obciążą, one twoje sumienie, które spokojnie u nrzeć ci niepozwoła.

— Niezawodnie umrę na niestrawność, jeśli się pańska prze powiednia spełni.

Na taką odpowiedź Joachim nie wiedział co odpowiedzieć, spodziewał się wprawdzie odpowiedzi nieprzychylniej, ale cynizmu podobnego nigdy.

— Cóż dalej ? słucham pana.

— Gdyby tu szło o mnie, jużbym pani nic niemiał do powie dzenia, idzie tu jednak o najdroższą istotę na świecie, jaką posia dam. Zlituj się pani, niej odbieraj mu pociechy i nadziei, której brak niezawodnie go zabije.

— Według moich pojęć, na świecie panie jest dwa gatunki ludzi, eksploatujących czyli mądrych i eksploatowanych czyli głu pich. Proszę mi wierzyć, że nierozsądną nigdy zostać niemam ocho ty. Moja córka wychodzi za mąż za pana Aleksandra Kańskiego, bardzo bogatego obywatela z Litwy; byłoby z jej strony nierozsąd

kiem porzucać partje bogatą i karierę, jednym słowem dla czło-  
wieka, której niema. Córka moja należy do niemądrych kobiet.

— Jako i to zdanie jest zdaniem córki pani ?

— Nieinaczej.

— A córka pani — liczy lat?

— Szesnaście.

— O! cóż to będzie za kobieta, zawołał chwytając się za  
głowę Joachim.

— Rozumna i bogata, bo to stanowi szczęście.

— Więc gotowa się sprzedać, jak stary łachman na tandecie,  
gotowa wydrzeć serce z piersi, byle posiadać tylko garstkę nędzne-  
go złota; ach! prawda, na to, żeby z piersi wydrzeć serce, potrze-  
ba je przedewszystkiem złoto posiadać... Pani ! raz jeszcze proszę  
cię, błagam, zaklinam, na wszystko, co masz najświętszego, nieod-  
rzucaj mojej propozycji, bo ona nie zasługuje na to.

— Już panu odpowiedziałam.

— Pozwól mi przynajmniej z nią się rozmówić.

— Z ochotą, właśnie zdaje mi się że idzie.

W tej chwili wbiegła do pokoju rozpromieniona Milcia. Joa-  
chim zdumiał się, tak rażące było podobieństwo córki do jej matki  
z lat młodości.

Oto ona! wyrzekła wolno pani Sielska, wskazując ręką na  
przybyłą. — Pan Joachim Góra, dodała rekomendując Górę córce.

— A! pan Góra! miałam przyjemność często bardzo słyszeć  
o panu z ust pana Jerzego Werygi.

— Właśnie w jego interesie tutaj przychodzę.

— W jego? a cóż za interes może mieć do mnie pan Weryga?

— Leży ranny.

Ach! Boże, te nieszczęśliwe zaburzenia. Doprawdy dziwię się,  
lecz pocóż tam biegł, gdzie śmierć groziła, wreszcie to wcale nie  
godne człowieka rozumnego.

— Biegł tam, bo chciał umrzeć.

— Zkądże panu Werydze wzięło się tak gwałtowne pra-  
gnienie śmierci ?

— Bo znał panią.

— Jako ? ja miałabym tak straszne wzniecać pragnienie?

— Nie inaczej...

— Lecz dla czego?

— Bo panią kochał.

— Ależ panie, czyż to już jeden mnie kochał, a przecie  
nie umarł.

— Bo w niczem do Jerzego Werygi nie był podobny.

— A pan Weryga jest wcale przystojny i miły chłopiec,  
ale cóż, kiedy fatalnie biedny.

— Coż ztąd za wniosek? zapytał Joachim.

— Że kochać się w nim nie można, bo miłość przy suchych  
kartoflach i szklance wody, przyznasz pan, że wcale ponętą nio-



jest.

O. wypowiedziałaś pani największe bluźnierstwo, jakie w XIX. wieku kobieta powiedzieć może.

— Nie panie, powiedziałam to, co każdy rozumny człowiek w dziewiętnastym wieku powiedzieć musi; to dawne już panie czasy tych amantów, rzucających się na rozkaz damy swojej w paszczę tygrysów i lampartów po rękawiczkę. Minęły też czasy kobiet kochających do zapamiętania. Darmo, to usposobienie wieku.

Joachim chwycił się za głowę i zawołał:

Jakto, pani miałażbyś być taką kobietą? to niepodobna.

Śmiech Milci odpowiedział na ten wykrzyknik.

— Ależ pani dowiedz się, że Jerzy także biednym nie jest.

Idzie tu o jego ratunek i o jego życie.

— Słowność nasza, jest także cechą wieku; dałam już słowo pana Kańskiemu.

— Ależ on mi mówił, żeś go pani kochała kiedyś?

— Ot żartowaliśmy sobie.

— Czy można z takich żartować rzeczy?

— O naturalnie.

— I serce ci pani nawet nic nie wyrzuca?

Na te słowa Milcia spokojna z uśmiechem przyłożyła rękę do lewego boku i odparła chłodno:

— Doprawdy nie czuję, bije jak zwykle.

— A więc bądź pani zdrową; jeśli kiedyś będziesz w nędzy, jeśli ci zabraknie ciepłej ręki i serca, jeśli zginiesz bez tych, co dają w życiu zadowolenia, sama, opuszczona, jeśli wołać będziesz pomocy, a nikt ci jej nie poda, przyjm to jako karę za tego czło-wieka. Przekonania twoje zawiodą cię niezawodnie, zdradzisz wszy-stkich, jak zdradzasz tamtego dzisiaj, a pogarda aż do grobu to warzyszyć ci będzie.

— Pan zdajesz się być nieprzytomny, odparła Milcia z uśmiechem ironicznym na twarzy.

— O tak pani, obelga moja już na twojej twarzy może tylko uśmiech wywołać, o obrazie już nic nie mówię. Pani, gdzie ty z tem zajdziesz?

— Tam, gdzie wy nigdy nie będziecie.

— Być może, ale niezadzroszczę ci pani.

— Bo pan nie rozumiesz tego.

— O! nierozumiem i niechęć rozumieć, tobie zaś pani, coś takie dziecię na hańbę imienia kobiety wychowała, rzucam dziś już tą samą pogardę, którą kiedyś rzuca ci wszyscy ludzie serca.

— Mniejsza o nich, tak jak o pańskie zdanie mniejsza.

I z temi słowy jak szalony wybiegł Joachim z mieszkania swojej dawnej znajomej, w głowie i uszach ciągle szumiały mu jej cyniczne wyrazy. Nieprzypuszczał nigdy, aby na świecie istnieć mogła kobieta, która do takich przekonań ośmieliłaby się przyznać głośno w obec ludzi, bez zarumienienia nawet. Biedny bujał

jeszcze po niebie mimo siwizny i kilku dziesiątek lat na grzbie

cie, niechciał bowiem wierzyć wto, aby marzone niebo tak wiele zawierało błota. Długo jeszcze błąkał się po Warszawie, zanim wrócił do domu, gdzie Jurek uwiadomiony o wyjściu jego, z niecierpliwością oczekiwał rezultatów poselstwa. Doktor zapewnił Joachima, że najmniejsze nawet wzruszenie może Jerzego o śmierć przyprowadzić. Jak postąpić? zapytywał sam siebie nauczyciel, po wiedzieć wszystko?.., znaczy go zabić... ukrywać?... znaczy kłamać, z dwojga złego jednak wybrał mniej złe mogące wywołać skutki. Zadał więc sobie przymus i pomimo boleści skłamał pierwszy raz w życiu swoim, bo przybrał twarz w wesołość i uśmiech, i choć mu łzy się do oczów cisnęły, wszedł do pokoiku Jerzego rozpromieniony.

— A cóż ojciec? zawołał Jerzy.

— Jak najlepiej.

— Mówże! mów, a prędko, dodał gwałtownie.

— Ha! nic, prosiłem Sielskiej o rękę Milci dla ciebie, przyrzekła mi ją.

— A ona przyjdzie tutaj?

O nie, doktor zakazał i polecił, ażebyś pierw wyzdrowiał.

— Ja już zdrow jestem, modlącym głosem wołał Jurek, niech ją zobaczę, wyzdrowieję, zupełnie.

— Nic z tego bratku nio będzie, tyś jak widzę już zapomniał zupełnie o matce nawet, pod wrażeniem tej nowiny, którą ci przyniosłem. A matka twoja bardzo.,, bardzo niebezpiecznie chora.

— Na Doga mistrzu mój! i ty mi o tem dopiero teraz mówisz?

— Dos się o to nie pytał.

— Jurek chciał się zerwać z łóżka i pobiedz natychmiast do łóżka matki, siły go jednak zawiodły i musiał spokojnie leżąc na łóżku dowiadywać się jeszcze przez całe dwa tygodnie o zdrowiu jej, Milci jednakże jak niebyło tak niebyło. Niepokoiło go to bardzo, jednakże zawsze z nadzieją w sercu i pragnieniem oczekiwania ukochanej. Pani Werygowa tymczasem coraz gorzej się miała. Z każdym dniem czuła się coraz słabszą, aż dnia jednego Jurek już wstawać począł i powolnym krokiem odwiedził matkę, która w te mniej więcej ozwała się słowa:

— Słuchaj Jerzy dziecię moje! czuję że Pan Bóg do chwały swojej już mnie wkrótce powoła, siły opuszczają, w piersiach mniej życia, a na świecie coraz mniej także obowiązków, po cóż jaby

żyć dłużej miała. Wychowałam takiego jak ty syna, sądzę na pożytek ludzi i kraju, za co dzięki panu Joachimowi; trzeba wędrować do ojca, to darmo, śnił mi się dzisiaj. Przed zgonem chciałam ci dać jedną naukę, abys tę kobietę, którą kochasz porzucił.

— Matko moja! zawołał Jurek.

— Daj pokój, nie przerywaj mi; może już ostatni raz do ciebie w życiu mówię. Otoż słuchaj. Wiem, że ją kochasz, widziałam ją raz tylko, a powiem ci, ta kobieta mi się nie podoba. ona cię kochać nie może i nie będzie; wierz sercu matki, rzadko ono się myli. Porzuć tę myśl.

— Umrę, jeśli ją porzucę.

— Masz tutaj i do Boga i do ludzi kobietę, córkę Karolka; nienamawiam cię, ale jako matka mam obowiązek ci to powiedzieć, co uważam dla ciebie za rzecz zbawienną, między temi dwoma powinieneś wybrać Połę. To kobieta serca, tamta rozumu. Już skończyłam.

— O! mylisz się mateczko, tamta równie dobra, równie pocziwa.

— A teraz synu mój, dziecko moje najdroższe uklęknij i niech cię Bóg przez życie prowadzi, ja już odchodzę, i może u Boga w górze łaskę dla ciebie wyproszę.

— O! co mówisz mateczko, tyś dzisiaj znacznie zdrowsza przecie.

— Tak sądzisz, ale tak nie jest; posłałam już po księdza, idzie już z Panem Bogiem, słyszę głos dzwonka, nienagrzeszyłam wiele, ale i tak grzeszne ciało wiele przewinień ma do wyznania. Jurkowi łzy stanęły w oczach, ukląkł więc i począł całować matkę po rękach. Z lekka wysunęła mu je i unosząc w górę nad głowę, coraz słabszym szeptała głosem modlitwę.

W imię Ojca i Syna i Ducha, szepnęła czyniąc krzyż nad głowę syna, gdy wszedł ksiądz do pokoju.

Krótką była spowiedź chorej, w dziesięć minut już drzwi się otwarły i wszyscy domownicy weszli do pokoju, gdy kapłan udzielał namaszczenie ostatnie chorej.

Opodal łóżka stał zasmucony Joachim wraz z Jerzym.

Lola, Mozart, Katon i Pola i Karolek także się przy łóżku chorej

znaleźli. Jurek dotknięty ogromem bóleści, łzy nawet uronić nie mógł.

— Chora zwróciła oczy w stronę Jurka i szepnęła ledwie dosłyszczanym głosem :

— Panie Joachimie strzeż go i kochaj.

Do Jerzego zaś:

— Jerzy czcuj go.

A wy, jeśli wam kiedy co złego uczyniłam, przebaczcie.

I z temi słowy zakończyła doczesny żywot swój. Jurek został sierotą. Oprócz Joachima i dość uszczuplonego grona przyjaciół nam znanych, nic mu nie pozostało na ziemi.

XIV.

Lekarstwo.

Smutek kochającego syna, to jak smutek matki, któż go opo wiedzieć zdoła. Jurek był w rozpacz, rana jego pozwalała mu już wychodzić na świat. Pola i Katon strzegli go bezustannie, gdy Joachim zajmował się przygotowaniami do pogrzebu. Popadł on w dziwne jakieś odrętwienie i zdawał się niesłyszeć, co się naokoło niego działo. Na pogrzebie zebrała się niewielka gromadka ludzi, darmo jednak oczy Jurka szukały twarzy Milci. Pomimo tego, że wiedziała o śmierci pani Werygowej, gdyż jej o tem Kański doniósł, nieuważała jednak za stosowne fatygować się tak daleko, wreszcie z jakiego tytułu? zapytywała siebie.

Skończył się tedy i pogrzeb i trumnę zasypali ziemią, i żał przeminął, bo cóż stałego na świecie, nawet piramidy egipskie kiedyś zapewne się przewrócą. Jerzy przychodził już do równowagi w cierpieniu. Joachim z Katonem pewnego wieczora długo bardzo rozmawiali z sobą o miłości Jurka ku Milci. I jeden i drugi go dzili się na to, że związek ten jest niemożliwym, że Milcia sama zerwała tę nitkę, która łączyła ją z Jerzym, i że czy prędzej czy później, biedny Jerzy rozczarowanym być musi. Było to w sobotę, nazajutrz miał się odbyć ślub Kańskiego z Milcią w kościele św. Jana o godzinie . z południa. Postanowili więc jednym zamachem wyleczyć go z miłości, która podkopywała wszystkie zdrowe siły jego organizmu i zaprowadziwszy go do kościoła podczas ślubu, dać dowodnie poznać, czy ta kobieta kochała go kiedy i czy mógł

być as ma szczęśliwym. Oprócz nich nikt więcej o tem lekarstwie niewiedział, Katon tylko tego wieczora szepnął do Poli:

— Jutro się los pani rostrzyga.

— Jaktó!

— Jutro Jurek ostatecznie wyleczonym być musi!

— Czy to pan mówisz na serjo! nie żartujesz ze mnie?

— O niezawodnie.

Pola się uśmiechnęła i rozpromieniona opuściła Katona. Ten gorącym jakimś namiętym popatrzał za nią okiem, i w duchu dodał:

— Mój Boże! czemuż ja tak jak on szczęśliwym być nie mogę?

Nazajutrz nibyto przypadkowo wyszedłszy na przechadzkę, Katon pociągnął Jerzego do kościoła św. Jana ; Joachim umieścił się po drugiej stronie kościoła obok pomnika marszałka Mała chowskiego. Jurek w dziwnie apatycznym usposobieniu usiadł w bo cznej ławce i zdawał się modlić. Nagle przy drzwiach kościoła

dziwny szmer jakiś się począł a turkot dał poznać zajeżdżające karety. Jerzy zdawał się nic nie słyszeć zatopiony w modlitwie. Nagle przez drzwi wielkie tłumem wchodzić poczęto. Chwilka, a panna młoda ubrana w godowe szaty i mirtowy wianek na czole, ukazała się całej zaciekawionej gromadzie. Jeden tylko Jerzy nie widział jej jeszcze ; Katon bacznie obserwował pacjenta. Wreszcie i Jerzy zwrócił oczy na obchód weselny i drgnął cały.

— Czy widzisz, zapytał głośno Katona.

— Co?

— Ją.

— Kogo?

— Milcie! nie, to nie ona, to być nie może, to niepodobieństwo.

Jerzy korpus swój cały naprzód pochylił i wpatrywał się z dziwnym natężeniem w pannę młodą. Oczy mu się iskrzyły, na twarz wystąpił chorobliwy, suchotniczy rumieniec. Organy zagrały „Veni creator”, Jerzy pociągnął za sobą Katona.

— Chodzi zawołał.

— Przed ołtarzem stała para nowożeńców, ksiądz pontyfikalnie ubrany wyszedł i począł odmawiać modlitwy przedwstępne, wreszcie zwrócił się ku panu młodemu.

— Aleksandrze! zapytał silnym głosem, czy masz wolną a nieprzymuszoną woję pojąc za małżonkę tę, którą przed sobą oto widzisz?

— Mam, odparł pewnym głosem zapytany.

— A ty Emilio czy masz wolną a nieprzymuszoną woję pojąc za małżonka, którego tu przed sobą widzisz ?

— Mam, odparła głośno i stanowczo Milcia.

Jurek chwycił znów za rękę Katona i silnie go ścisnął.

Słyszałeś? ledwie dosłyszalnym głosem szepnął. To ona!

Tu zakaszłał się i strumień krwi z ust mu buchnął. Sparł się na ramionach Katona i szeptał:

— Kłamie, nawet w obec Boga kłamie.

Przysiąg nic nie przerywało, młodzi narzeczeni widocznie za nadto byli szczęśliwi, aby na cudze uważać cierpienia. Gdy ksiądz wymówił ostatnie słowa a za nim powtarzała je pewnym zawsze głosem Milcia, Jerzego już nie było w kościele ; świeży atak krwi zmusił Katona wyprowadzić go z kościoła, zaledwie jednak zdołał go ocucić, a karety odwoziły na godową ucztę; złoty sen biednego marzyciela, ten znikł też gdzieś nagle i nigdzie go odszukać nie można było. Darńo go po całym mieście wszyscy szukali znajomi, Pola uszczęśliwiona nadzieją, jaką jej Katon uczynił, wróciła do domu i przed klęcznikiem długo modliła się prosząc o pomyślność dla swego nieszczęśliwego serca. Już zmierzchać się poczęło, gdy nagle wpadł do jej pokoju Jerzy; cóż z tym człowiekiem się stało? dosyć było spojrzeć na twarz jego, aby odgadnąć wszystkie miotające nim uczucia.

— Panie Jerzy! co panu? zawołała przerażeniem postępując ku przybyłemu Pola. Takiś pan zmieniony, takiś pan blady, wy dajesz mi się bardzo, bardzo cierpiący.

Nie pani, odparł Jurek, to przejdzie; czy wiesz po co do ciebie przyszedłem ?

— Ależ panie!

Kiedyś przyobiecałem ci to pani i chcę spełnić. Tamta popełniła dzisiejszym czynem zbrodnię, przyszedłem więc do ciebie pani, pracować razem, razem kochać i razem cierpieć. Boże. i chwycił się za piersi, nowa struga krwi pobiegła mu z ust, biedny Jurek upadł zemdlony na podłogę. Pola stanęła jakby piorunem rażona.

— Boże! zawołała po małej pauzie, kiedy wszyscy domownicy zbiegli się na łoskot, jaki Jerzy swym upadkiem zdziałał, szczęście, które mi dajesz, miałożby być tylko uludnem marzeniem.

Niestety Jerzy zapóźno rzeczywiście zażądał wspólnej pracy od Poli, siły marnował i niewystarczyły mu one. Ciągłe krwiotoki z każdą chwilą umniejszały chwile życia. Pod wieczór zaledwie przyszedł do przytomności i smutnie po otaczających powiódł oczami; czuł że życie uciekało i żałować go się zdawał. Pola zrozpaczona, z rozwianymi włosami, z badającym spojrzeniem wlepiła w niego swoje oczy. Tym razem już ją pierwszą przywitał.

— Ty znów biedna pani przy mnie; o tak, miałem złe oczy, nieumiałem szukać, byłem ślepy, a szkoda, można było życie tak pięknie przeżyć z tobą razem, ręka w rękę, tymczasem ot i dosyć; jedna przykrość, jedno cierpienie, i wszystko przepadło jak bańka mydlana. Przebacz mi, przebacz pani, jam ci wiele złego wyrządził, nie wiedziałem doprawdy, żeś ty jedna z pośród wszystkich taka dobra i taką piękną masz duszę. Miałem oczy, które zachwycały się szychiem, a djamenty były dla nich oszlifowanym kamieniem. Słusznie bym za to pokutował. Trzeba umrzeć, to ostatnie słowo pożegnania.

— Nie! ty żyć będziesz, powetujemy stratę sił i czasu, wy jedziemy do Włoch, odzyskasz tam zdrowie i powrócimy nazad pracować dla swoich, ja ci będę dopomagać.

Jurek uśmiechnął się i wyszeptał:

— Zapóźno! niestety zapóźno! Ty ojczy mój, Katonie, Mo zarcie, Lolu, najdrożsi moi przebaczcie mi, wiele wam sprawiłem przykrości, ale też wiele sam cierpiałem.

— Joachimie! ojczy, podobno został mi się tam jakiś ma jątek? chciałbym nim rozrządzić, niema tu gdzie jakiego W bliz kości rejenta, aby akt spisał?

— A to niepotrzebne, ty żyć będziesz, wśród łkania odparł Joachim.

— Chciałbym, ale sił nicstarczy... proszę wypełnić moją wolę.

Posłano więc po rejenta, który natychmiast przyszedł.

— Ileż tam jest tego wszystkiego, zapytał Jerzy Joachima.

Tutaj Karolek wystąpił i złożył detaliczny rachunek z powie

rzonych funduszów Rozowi. Jurek spojrział na podany mu papier.

— Co? zawołał ze, zdziwieniem, trzy kroć sto tysięcy rubli, to być nie może?

Tak jest, bom twojemi pieniędzmi zarobił na eksploatacyi kamiennego węgla.

— A więc przed śmiercią jestem panem i mogę sobie zbytku jednego pozwolić. Tak, siadaj pan, dodał zwracając się do rejenta, i pisz.

Rejent po napisaniu zwykłych, formułek trzymał w ręku pióro, oczekując na rozkaz. Jurek dyktował:

— Na umyśle zdrowy majątek mój w ten sposób dzielę.

Joachimowi Górze zostawiam połowę tego, co mam z prawem rozrządzałości w taki sposób, w jaki za właściwy i stosowny uzna, resztę z wyjątkiem pięciu tysięcy rubli, której niżej zapisuje Wincentemu Wójcikowi i jego żonie. Pięć tysięcy rubli zaś wręczyć proszę... tu Jerzy chwilę się zatrzymał... potem ciągnął dalej: pani Emilii z Sielskich Kańskiej, słuszną bowiem rzeczą jest, abym jej zapłacił za pocałunki i przysięgi, któremi mnie darzyła; gdyby nieprzyjęła, ofiaruję pieniądze ten na instytut moralnie zaniedbanych dzieci, gdyby zaś wynagrodzenie uważała za małe, opiekun mój Joachim Góra po zlikwidowaniu rachunków i otaksowaniu każdego całusa, z funduszów jemu oddanych dodać raczy. Tu Jerzy osłabł, nie mógł już więcej nic mówić, pokazywał tylko ręką, aby mu co prędzej dano testament do podpisu.

Jerzy raz w życiu zdobył się na straszną złośliwość, a to w ostatniej prawie godzinie życia swego właśnie w owym testamencie. Pióro mu podano, drżącą ręką nakreślił swoje nazwisko. Potem spuścił głowę na piersi, oczy zwrócił na Połę, schwyił ją za rękę a podniósłszy do ust, pocałował szepnąwszy :

— Przebacz mi! Wziął gromnicę do ręki i po cichu się modlił. Dziwnym trafem Pola z Katonem znaleźli się obok siebie, klęcząc przy łóżku przyjaciela. Nagle otworzył oczy i skinął na Mozarta, który do łóżka podszedł.

— Słuchaj, zagraj mi coś, tak po dawnemu, niechaj to będzie piosnka szczęścia, ja cię o to proszę ; tak mi zawsze rozkosznie słuchać było twoich tonów, niech je przy konaniu słyszę.

Mozart pomimo chęci wziął skrzypce, grał na nich dawne wspomnienia, wspólność przebytych chwil z konającym. Jerzy na łóżku się uśmiechał, Mozartowi łzy spadały na skrzypki, grał je

duak i skrzypce mu płakały. Wkrótce jakkolwiek uśmiech na twarzy Jerzego pozostał, nie mógł on już słyszeć jęczących tonów muzyki Mozarta, bo czysta dusza jego uleciała w przestwory, gromnica wypadła mu z ręki, głowa obwisła na ramieniu. A Lola widząc to, poczęła odmawiać modlitwy za konających. Szczęście i nieszczęście skończył jeden ten sam wieczny rezultat wszystkich zabiegów ludzkich, śmierć. — Lekarstwo użyte dla Jerzego było za silne.

Połą darmo uspakajali wszyscy ; rozpacz tak ją oświadczyła, iż odchodziła prawie od przytomności. Nagle Katon jak tygrys raniony, zerwał się ze stolka i głośno zawołał :

— Fraka! fraka daj mi Mozarcie, ja pójdę, zaniósę jej zaraz ten rachunek i zapłacę za śmierć i zmarnowane życie tego człowieka. Poczem prędko ubrawszy się, jak szalony wybiegł z mieszkania.

Gwarno i ochoczo szedł mazur na weselu Milci. Znajoma młodzież Kańskiego, to jest młodzież ta, która pomimo walki nie znajdowała się w szeregach narodowych, tańczyła zapamiętale wlaśnie wtedy, gdy Jurek przy dźwięku gry Mozarta kończył pełne cierpienie życie. Nadobne panie w objęciach warszawskich motylków tonęły rozkoszując się ich gracyą w tańcu. Wesołość panowała powszechnie, a rej wodziła panna młoda, nadobna Milcia. Nagle od strony drzwi wchodowych, jakiś szmer powstał a wesołość i gwar ustały.

Było to coś w rodzaju, jakby ukazanie się komandora lekkomyślnemu DonŻuanowi.

Pary stanęły. Na środku pokoju stał Katon cały czarno ubrany z papierem w rękę.

— Co? Pan sobie życzy, pytał Kański podbiegając ku przybyłemu nieespokojnie.

— Chciałbym się widzieć z pańską małżonką, mam do niej pilny i ważny interea,

— Ależ w tej chwili?

— Dopóki się z nią nie zobaczę, nie wyjdę... to moje ostatnie słowo,

— Ależ to wejście do mnie.... tak natarczywe.

— Wszystko mi jedno, jak państwo nazwiecie moją wizytę, ja

przybyłem tutaj i nie wyjdę dopóty, dopóki nie spełnię tego, co mi poruczono.

— A więc służę panu, zawołała zniecierpliwiona tem zjawieniem się Katona Milcia.

— Nie pani ! ja tutaj mój interes załatwić mogę.



— Więc słucham.

— Przed chwilą pani, skonał dawny jej znajomy Jerzy Weryga.

Milcią zbladła, po chwili zdobyła się jednak na odwagę i odparła:

— Cóż mnie ta śmierć obchodzić może ?

— A tak... masz pani słuszość, ta śmierć nic cię nieobchodzi, bo inaczej gdyby cię była obchodziła, starałabyś się jej nie dopuścić. Nie przychodzę też tutaj dla tego, aby ci tę śmierć wyrzucać. O! kobiety takie jak ty, nigdy nie czują wyrzutów, więc moje na nioby się nie przydały, byłyby tylko grochem na ścianę rzuconym. Ale wiedz pani o tem, że są ludzie na świecie, którym czasami niewolno wyrządzać bezkarnie krzywd. Otoż i Jerzy Weryga do takich należał. Zemścił się na tobie, wprowadzając nie w taki sposób, jaki mógłby ci dokuczyć pani wiele—ale w sposób równie okropny i straszny dla ludzi serca bo piętnujący czoło twoje pani wzgarda jego ust umierających. — Przysięgałaś Jerzemu, że go kochasz, na to czyste i nieskalane czoło kładłaś swoje świętokradzkie i brudne pocałunki, przysięgałaś temi splamionymi ustami miłość, a potem ją zdeptałaś w sposób niegodny i zbrodniczy. Pocałunki takiej przysięgi przyjmują się tylko od tych, którym kłamstwo nic rumieni czoła, a uczciwość pozwala rękę po dać ; sprzedałaś się dzisiejszemu twojemu narzeczonemu, możesz więc słusze pretensje, aby ci Jerzy za twoje pocałunki zapłacił. A wice płaci. Oto je masz szanowna Pani. I rzuciwszy papier pod nogi zalękłej i niewiedzącej co z saba ma czynić Milci, z zaciśniętymi ustami wybiegł szybko z pokoju.

Żaden ze złotych motylów nic ujął się za znieważoną panną młodą, Kański tylko chodził od jednego do drugiego gościa z upewnieniem, że wyszły młody człowiek jest znanym od dawna warjatem. Milcia zaś rzucony jej papier pod nogi, za ślubny gors swój schowała, po chwilce wybiegła do bocznego pokoju, a odczytawszy dokument, roześmiała się i szepnęła:

— Dziwny, doprawdy (kiwnij, ale szkoda że nie więcej; chociaż pięć tysięcy rubli za kilka pocałunków tylko, to i tak nie źle. XV.

Zakończenie.

Ha! tak tedy i koniec, nanudziwszy was cierpliwi czytelnicy moi, przychodzę do tego punktu w powieści, na którym zwykle kończą wszyscy powieściopisarzy to jest. żenią jednych, zabijają innych i tak rozwiązuje się intryga. Gdzie sens moralny? zapytuję jeden. Co się stało z innymi postaciami wprowadzonymi do powieści, pyta drugi. Jakże ich były dalsze koleje, trzeci i tak jednym słowem każdy się chce czegoś dowiedzieć na końcu, a cię kawsu nawet przy pierwszym już arkuszu powieści zaglądają do zakończenia, aby się tam wywiedzieć o losach wprowadzonych przez autora osób.

Wyprowadziłem przed oczy wasze czytelnicy moi, ludzi serca, to jest tych ludzi, co kierując się zawsze szlachetnymi popędami, tylko zyskują na świecie miano szaleńców, warjatów, dziwnych. W dzisiejszym wieku chemicznych zapalek i posagów, dziwni tacy to już rzadkość, którą prawie niepodobieństwem spotkać na szerokim świecie. Dziś liczymy, obrachuwujemy plus i minus, tworzymy zamiast małżeństwa spółki handlowe, które często w reługę trzech w prostą się zamieniają. Hipoteką naszego małżeńskiego szczęścia jest rachunek, z kąd też pomimo wielkiej nieomylności w cyfrach, przed którymi z taką pokorą schylamy głowy, często bardzo strasznie się mylimy, a miast plusów w rezultacie straszne otrzymujemy minusy

Odpowiedzcie mi jednak: wszak wszyscy prawie ludzie, którzy wprowadziłeś do powieści, wyszli jak najgorzej, choć byli przecież ludźmi serca. Milcia zaś kobieta, która liczyła, jest szczęśliwą, i będzie nią niezawodnie. Na to odpowiem wam, że bogatoremowie moi rzeczywiście byli szczęśliwymi. Sokrates uważał szczytem szczęścia dla siebie, umrzeć za ojczyznę, i spełniło się to szczęście jego — był więc szczęśliwym. A przed samą śmiercią jego, jak na czole męczenników światłość szczęścia pałała, Cezara ostatniem słowem było: „Niech żyje Polska”. Czyż człowiek, któryby szczęśli

wym nie był, mógł tak ochoczo jak on zawołać. Mozart ożenił się z Lolą, wszyscy nazywali to dziwactwem, pomimo to Mozart był szczęśliwym. Nawet Jurek, co wśród pieśni Mozartowych skrzypek ducha wyzionął, i temu przy zgonie te dźwięki wystarczyły i ten był szczęśliwym, bo szczęście stanowi zawsze własne wewnętrzne zadowolenie, ale nie jak to raz już powiedziałem, wygody życia. Przystąpmy jednak na serjo do zakończenia. Uwagi, te niech każdy z was sam sobie dopiewa w duszy. Redaktor dopomina się o koniec, a więc:

Rok temu dziwnym, trafem znalazłem się w Warszawie na Powązkowskim cmentarzu. Błądziłem po drogach i ścieżkach, odczytywałem napisy, chcąc coś dopowiedziawszy z duszy własnej, napisać na tle cmentarnych dziejów. Nagle ujrzałem staruszkę zgarbionego opierającego się na kiju, który dążył w stronę południową cmentarza. Zaciekawila mię ta postać i podążyłem też za nim, nagle stanął przed jakimś grobowcem, na którym położona płyta marmurowa dała mi poznać doczesne wieczne mieszkanie Jerzego Werygi. Starzec ukląkł, zmówił pacierz, a potem począł obierać chwast, który wyrósł pomiędzy kwiatkami okalającymi marmur. Potem usiadł na kamiennej ławeczce tuż około grobowca postawionej, otworzył księgę i czytać począł. W kwadrans zaledwie przyszedł drugi starszek w towarzystwie jednak młodej jakiejś osoby, za chwilę znów przyszło jakieś młode małżeństwo z dwojgiem jasnowłosych dzieciaczków.

— A cóż to dziś tak długo kazaliście czekać na siebie? za pyta! najpierw przybyły staruszek, doprawdy już tęsknić zacząłem

do was.

— Gość nas wstrzymał, odezwał się drugi staruszek.

— A któż taki ?

— O to niespodzianka panie Joachimie, zgadnij panie sieju kochaneńki, zgadnij ?

— Ale zkąd! nie mogę.

— Pan Doktor przyjechał, ozwał się jasnowłosy chłopczyk.

— Co? Katon? poczciwy Katon, to niepodobna !

— Tak Katon przyjechał, odparł towarzysz damy, którą dwoje jasnowłosych aniołków „mama” nazywało.

— Dla czegóż tu nic przyszedł ?

— Oto idzie, zawołał chłopczyk wskazując na poważną twarz zdala postępującego mężczyzny.

— Prawda! chodź! chodź tutaj niegodziwcze, tak dawno nie pisałeś, mówił staruszek do całującego go z rozrzewnieniem przybysza. .

— Miałem sam przyjechać. To cóż więc było pisać.

— No siadaj tu na grobie naszego biednego przyjaciela.

— Prawda, to grób jego, pozwolisz przedewszystkiem pacierz zmówić.

i ukląkł i modlił się.

Przybyszem był Katon wysłany kosztem Joachima na obejżenie zagranicznych uniwersytetów. Katon zbogacony wiedzą, chciał pracować dla swoich, co też i uczynił. Dziś już bowiem, jakkolwiek ten i ów nieraz go dziwnym nazwie za to, że honoryów od biednych nic bierze, to jednak niema ani jednego czło-wieka, któryby mógł powiedzieć coś złego o doktorze Katonie. Drugi staruszek to pan Karolek z Połą, na którą bardzo dziwnymi oczami spogląda młody i przystojny doktor. Co się zaś w sercu Poli dzieje, o tem nic dowiedzieć się nie mogłem. Małżeństwo, to państwo Wójcik z dziećmi, których szczęście dotąd niczem zamaconem nie było; kochają się jak dawniej, a widome ślady ich miłości jeszcze bardziej ją powiększyły. Za pieniądze Jurka kupili sobie dom w Warszawie, ową kamienicę pod Lwem rozdartym i wszyscy tam mieszkają zgodnie i szczęśliwie, odwiedzając bardzo często grób I Jerzego. Tego dnia właśnie byli tam, gdy mnie losy poniosły na Powązki.

— Przepraszani państwa. Czy nie mógłbym się ich zapytać, co się stało z panią Emilią z Sielskich Kańską, zapytałem przybliżając się do ich kola.

Pola pokraśniała, Katon zasepił się i odparł:

— Ja panu powiem. Obecnie prowadzi trzecią sprawę roz-wodową z jakimś niemieckim baronem, bawi w Rzymie, tam ją spotkałem ; zaczęła mnie na ulicy prośbą o pożyczkę kilku ty-sięcy franków na prowadzenie owego procesu, skarżąc się przytem na niegodziwość swego ostatniego męża, który podobno miłość swoją począł jej dosyć dotkliwie objawiać i dla tego opuściła go.

Obecnie, jak mi to sama mówiła, kocha się w niej jakiś włoski

książę, który ma tylko jedną wadę pomimo to że kocha a nią jest bezpieczeństwo.

— A owe pięć tysięcy rubli, odebrała?

Na trzeci dzień po pogrzebie Jerzego, odpowiedział smutnie staruszek.

Kiwnąłem ze smutkiem głową. Bo przyznam się wam, że takiej odpowiedzi wcale się nie spodziewałem.

Dziękuję jednak nu ziemi i niebie rzeczy, o których filozofom się me śniło. Na teraz przyrzekam wam czytelnicy moi, jeśli kiedy usłyszycie coś jeszcze o losach którego z żyjących moich bohaterów, skleić nowy jaki szkic powieściowy, dziś proszę was o pobłażliwość dla jej autora, i przebaczenie, jeśli czasem was za wiele nudził, co jest już winą gadulstwa wrodzonego wszystkim oraczom pióra i wielkimi głoskami na pociechę własną wypisuję. Koniec.

Kraków .